

Ray Bradbury

451° Fahrenheita

Tłumaczył Adam Kaska

Wydanie oryginalne: 1953

Wydanie polskie: 1960

TMN

*451° Fahrenheita — to temperatura, w której
papier zaczyna się tlić i płonie...*

Część pierwsza

Ognisko i salamandra

Przyjemnie było palić.

Sprawiało specjalną przyjemność patrzeć, jak ogień pożera wszystko, jak wszystko czernieje i się zmienia. Gdy wielki wąż pluł jadowitą naftą na świat, Montag zaciskał w pięściach mosiężne okucie, krew huczała mu w głowie, a jego dłonie były dłońmi jakiegoś cudownego dyrygenta prowadzącego wszelkie symfonie płomieni i pożarów, by zniszczyć różne strzępy i zwęglone ruiny historii. W symbolicznym, oznaczonym numerem 451 hełmie na swej obojętnej głowie i oczami jak pomarańczowe płomienie na myśl o tym, co zaraz nastąpi, szarpał zapalacz i dom wybuchał żarłoczną pożogą, która rozjarzała wieczorne niebo czerwienią, żółcią i czernią. Kroczył wśród roju iskier. Miał ochotę, jak by powtarzając żart z czasów dzieciństwa, wsunąć do paleniska ślazowego lizaka na patyku, podczas gdy trzepoczące, gołębioskrzydłe książki zamierały na ganku i trawniku przed domem lub unosiły się w sypiących iskrami wirach i odlatywały na wietrze poczerńiały od żaru.

Montag uśmiechał się dzikim uśmiechem wszystkich mężczyzn osmalonych i cofających się przed płomieniem.

Wiedział, że kiedy powróci do strażnicy, może skinąć do swego odbicia w lustrze — będzie wyglądał jak uczerniony korkiem aktor, który gra Murzyna. Później, idąc spać, będzie czuł w ciemności nadal ściągnięte dzikim uśmiechem mięśnie twarzy. Ten uśmiech nigdy nie schodził mu z ust odkąd pamiętał.

Zdjął brunatnego koloru hełm i wypolerował go; starannie powiesił ogniotrwałą kurtkę; wziął obfity natrysk, a następnie, pogwizdując, z rękami w kieszeniach, pospacerował po górnym piętrze strażnicy i wpadł w otwór włazu. W ostatniej chwili, gdy nieszczęście zdawało się nieuniknione, wy dobył ręce z kieszeni i zahamował upadek chwytając się złocistego słupa. Zjechał w dół i zatrzymał się ze skrzypem — obcasy o jeden cal nad betonową podłogą parteru.

Wyszedł ze strażnicy i pomaszerował uśpioną ulicą ku kolei podziemnej, do miejsca, gdzie milczący pneumatyczny pociąg ślizgał się bezdźwięcznie wzdłuż naoliwionego kanału w ziemi i wyrzucił Montaga z wielkim sykiem ciepłego powietrza na eskalator o kremowych stopniach, prowadzący do przedmieścia.

Pogwizdując wznosił się na eskalatorze w spokojną cichą noc. Podszedł ku skrzyżowaniu ulic, myśląc po trochu o wszystkim i o niczym w szczególności. Jednak, zanim dotarł do rogu, zwolnił kroku, jak gdyby skądś zerwał się wiatr, jak by ktoś zawołał jego imię.

Podczas kilku ostatnich nocy ogarniały go najbardziej niepewne uczucia w związku z tym chodnikiem za rogiem, prowadzącym w świetle gwiazd ku jego domowi. Zdawało mu się, że tuż przed jego nadejściem ktoś się tam znajdował. Atmosfera była naładowana szczególnym spokojem, jak by ktoś tam czekał po cichu i tylko przed chwilą po prostu wsiąkł w cień i pozwolił przejść Montagowi. Możliwe, że jego nos wyczuwał delikatny zapach, może skóra na dłoniach czy twarzy reagowała na zwykłą temperaturę w tym właśnie miejscu, gdzie pobyt jakiejś osoby mógł od razu ocieplić bezpośrednią atmosferę o dziesięć stopni. To było niepojęte. Za każdym razem, gdy skręcał za róg, widział tylko biały, nie używany, garbaty chodnik, chociaż jednej nocy coś jak by zniknęło szybko na trawniku, zanim zdążył dobrze spojrzeć czy wypowiedzieć słowo.

Ale dziś zwolnił tak bardzo, że omal nie stanął w miejscu. Jakiś jego wewnętrzny zmysł wybiegając w przód usłyszał najdelikatniejszy szmer. Oddech? A może tylko atmosfera była zgęszczona jedynie dlatego, że ktoś stał tam bardzo spokojnie i czekał?

Skręcił za róg.

Jesienne liście sypały się na oświecony księżycem bruk w taki sposób, że dziewczyna, która tamtędy szła, wyglądała jak przytwierdzona do przesuwającego się chodnika, jak by ruch wiatru i liści unosił ją naprzód. Głowę miała nieco pochyloną, patrzyła, jak jej buty poruszają się wśród krążących liści. Twarz była szczupła i biała jak mleko i widniał w niej rys szlachetnego niedosytu, który dotyka wszystkiego z niezmordowaną ciekawością. Był to prawie wyraz ciągłego zdziwienia. Ciemne oczy spoglądały tak bacznie na świat, że nie mógł im ująć ani jeden ruch. Miała białą i szeleszczącą sukienkę. Zdawało mu się, że słyszy niemal poruszenia jej dłoni, gdy szła, a potem nieskończenie cichutki szmer, biały ruch jej obracającej się twarzy, kiedy odkryła, że znajduje się tuż koło mężczyzny, który stoi na bruku, czekając.

Drzewa w górze z wielkim szelestem spuściły swój suchy deszcz. Dziewczyna zatrzymała się i wyglądała tak, jak by chciała się cofnąć ze zdziwieniem, lecz zamiast tego stała nadal patrząc na Montaga oczyma tak ciemnymi, błyszczącymi i żywymi, że zdawało mu się, iż powiedział coś cudownego. Wiedział jednak, że jego usta poruszyły się tylko, by powiedzieć „halo”, a potem, gdy ona patrzyła jak zahipnotyzowana na salamandrę na jego rękawie i tarczę z feniksem na piersi, odezwał się znowu.

— Niewątpliwie — rzekł — pani jest naszą nową sąsiadką?

— A pan musi być... — uniosła oczy znad symbolów jego zawodu — ...strażakiem.

— Przeciągnęła to słowo.

— Jak pani to dziwnie powiedziała.

— Poznałabym... poznałabym nawet z zamkniętymi oczami — rzekła wolno.

— Co... woń nafty? Moja żona zawsze się skarży — zaśmiał się. — Tego nigdy nie można zmyć całkowicie.

— Nie, nie można — stwierdziła z pełnym szacunku podziwem.

Czuł, że obchodzi go dokoła, obraca go na wszystkie strony, potrząsa nim spokojnie i wypróżnia mu kieszenie nie ruszywszy się nawet z miejsca.

— Nafta — oświadczył, ponieważ milczenie się przedłużało — jest dla mnie tylko perfumą.

— Naprawdę?

— Oczywiście. Czemu nie?

Przez chwilę zastanawiała się nad tym. — Nie wiem. — Odwróciła twarz w kierunku ich domu. — Nie będzie pan miał nic przeciwko temu, jeśli pójde z panem razem? Jestem Klarysa McClellan.

— Klarysa. Guy Montag. Chodźmy. Co pani tak spaceruje po nocy? Ile pani ma lat?

Szli po srebrzystym bruku wśród powiewającej ciepłem i chłodem nocy. W powietrzu unosił się najdelikatniejszy zapach świeżych moreli i poziomek, aż Montag rozejrzał się dokoła i uświadomił sobie, że to niemożliwe o tej porze roku.

To tylko dziewczynę, rozmawiającą z nim teraz, otaczał taki zapach, a jej twarzyczka jaśniała jak śnieg w księżycowej poświacie. Wiedział, że rozmyśla nad jego pytaniami, szukając możliwie najlepszej odpowiedzi.

— No — powiedziała — mam siedemnaście lat i jestem pomyłona. Mój wujek mówi, że to zawsze idzie w parze. Kiedy ludzie pytają cię o wiek, powiada, mów zawsze, że masz siedemnaście lat i chysia. Czy to nie przyjemna pora na spacer? Lubię wachać rzeczy i patrzeć na nie, a czasami nie śpię przez całą noc, tylko spaceruję i czekam na wschód słońca.

Szli znowu w milczeniu, a w końcu ona rzekła z namysłem:

— Wie pan, że wcale się pana nie boję.

Był zaskoczony. — A dlaczego miałyby się pani bać?

— Wielu ludzi się boi. To znaczy, boi się strażaków. Ale mimo wszystko jest pan przecież tylko człowiekiem.

Widział się w jej oczach, widział, że jest zawieszony w dwóch połyskujących kroplach jasnej wody, ciemny i malutki, z najdrobniejszymi szczegółami, liniami koło ust i wszystkim, jak gdyby jej oczy były dwoma cudownymi kawałkami fioletowego bursztynu, które mogą schwycić żywą istotę i zachować ją w nietkniętym stanie. Twarz

dziewczyny, zwrócona ku niemu, przypominała kruchy mleczny kryształ promieniujący miękkim i stałym światłem. Nie było to histeryczne światło elektryczności, lecz... co? Lecz dziwnie przyjemne i niezwykle, i szlachetnie migotliwe światło świecy. Pewnego razu, kiedy był jeszcze dzieckiem, podczas jakiejś awarii w elektrowni jego matka znalazła i zapaliła ostatnią świecę, i wtedy nastąpiła krótka godzina ponownego odkrycia, godzina takiego oświetlenia, że przestrzeń straciła swe rozległe wymiary i ściągnęła się wygodnie wokół nich, a oni sami, matka i syn, oderwani od świata, przekształcili się zupełnie i mieli nadzieję, że naprawa uszkodzenia nie nastąpi zbyt szybko...

I nagle odezwała się Klarysa McClellan:

— Czy mogę o coś zapytać? Jak długo pracuje pan jako strażak?

— Od dwudziestego roku życia. Zacząłem dziesięć lat temu.

— Czy kiedykolwiek przeczytał pan jakąś z tych książek, które pan pali?

Roześmiał się. — To byłoby przeciwko prawu!

— Och! Rzeczywiście.

— To niegorsza robota. W poniedziałek spali Ednę Millay, we wtorek Whitmana, w środę Faulknera, spali ich na popiół, a potem spali popioły. To nasze oficjalne hasło.

Szli dalej, a dziewczyna spytała: — Czy to prawda, że dawno temu strażacy gasili pożary, zamiast je rozniecać?

— Nie. Domy zawsze były ogniotrwałe, może pani mi wierzyć na słowo.

— Dziwne. Słyszałam raz, że bardzo dawno temu domy zapalały się przez przypadek i potrzebni byli strażacy, żeby gasić płomienie.

Roześmiał się.

Spojrzała nań szybko. — Dlaczego się pan śmieje?

— Nie wiem. — Znowu się roześmiał i urwał.

— Śmieje się pan, kiedy nie powiedziałam nic śmiesznego, i odpowiada pan z mieszcą, nie zatrzymując się nawet, by pomyśleć, o co pytałam.

Stanął. — Pani jest naprawdę niesamowita — rzekł patrząc na nią. — Nie ma pani żadnego respektu?

— Nie myślałam pana obrażać. Sądzę, że to wszystko polega na tym, że za bardzo lubię obserwować ludzi.

— No, dobra, a czy to dla pani nic nie znaczy? — Dotknął palcem cyfry 451 wyhaftowanej na jego czarnym rękawie.

— Tak — szepnęła. Przyspieszyła kroku. — Czy obserwował pan kiedy odrzutowe samochody, jak pędzą po bulwarach w tamtą stronę?

— Zmieniła pani temat!

— Czasami myślę, że kierowcy nie wiedzą, co to jest trawa czy kwiaty, bo nigdy nie widzą ich spokojnie — rzekła. — Gdyby pokazać kierowcy zieloną mazaninę, powiedziałby: O tak! To trawa. Różowa mazanina? To ogród różany! Białe zamazane plamy

to domy. Brązowe plamy to krowy. Raz mój wujek jechał wolno autostradą. Robił czterdzieści mil na godzinę i wsadzili go do aresztu na dwa dni. To śmieszne i smutne, prawda?

— Pani myśli o zbyt wielu różnych rzeczach. — powiedział Montag niepewnie.

— Rzadko oglądam „salonowe ściany”, nie chodzę na wyścigi czy do lunaparków. Więc, jak sądzę, mam mnóstwo czasu na dziwne myśli. Widział pan kiedy na wsi tablice ogłoszeniowe długie na dwieście stóp? Wie pan, że kiedyś te tablice miały tylko dwadzieścia stóp długości? Ale samochody zaczęły pędzić tak szybko, że musiano wydłużyć ogłoszenia, żeby były czytelne.

— Nie wiedziałem o tym! — Montag zaśmiał się urywanie.

— Na pewno wiem jeszcze coś, czego pan nie wie. Rano jest rosa na trawie.

Nagle nie mógł sobie przypomnieć, czy o tym wiedział, czy nie, i to go poirytowało.

— A kiedy się popatrzy tam... — skinęła w kierunku nieba — to widać człowieka na księżycu.

Nie patrzył tam od dawna.

Resztę drogi przebyli w milczeniu, ona zamyślona, a on w jakiejś ściskającej i niewygodnej ciszy rzucał na dziewczynę oskarżycielskie spojrzenia. Kiedy dotarli do jej domu, płonęły w nim wszystkie światła.

— Co się tu dzieje? — Montag rzadko widział tyle światel w domu.

— Ach, po prostu mama, ojciec i wujek siedzą razem i rozmawiają. To zupełnie coś w tym rodzaju, jak by ktoś chodził pieszo, tylko że rzadziej spotykane. Mój wujek przy innej okazji — czy o tym panu mówiłam? — został aresztowany za to, że chodził pieszo. Och, my jesteśmy bardzo niezwykli.

— Ależ o czym wy rozmawiacie?

Roześmiała się na to. — Dobranoc! — Ruszyła na swoją ścieżkę. Nagle, jak by jej się coś przypomniało, zawróciła, by spojrzeć na niego z zaciekawieniem. — Czy jest pan szczęśliwy? — spytała.

— Że co? — krzyknął.

Lecz jej już nie było... Biegła w księżycowej poświacie. Frontowe drzwi domu zamknęły się cicho.

Szczęśliwy! Co za nonsens!

Przestał się śmiać.

Włożył dłoń do uformowanego na kształt rękawiczki zamka we frontowych drzwiach domu. Drzwi rozsunęły się.

Oczywiście, jestem szczęśliwy. Co ona sobie myśli? Czy nie jestem? — pytał milczące pokoje. Zatrzymał się spoglądając na kratę wentylatora w hallu i nagle przypomniał sobie, że coś leży w ukryciu za kratą, coś, co zdawało się teraz na niego spoglądać. Szybko odwrócił oczy.

Cóż za dziwne spotkanie i dziwna noc. Nie przypominał sobie nic w tym rodzaju od czasu pewnego popołudnia przed rokiem, kiedy spotkał w parku jakiegoś starego mężczyznę i zaczęli obaj rozmawiać.

Montag potrząsnął głową. Popatrzył na pustą ścianę. Była na niej twarz dziewczyny, naprawdę piękna we wspomnieniu: właściwie zdumiewająca. Dziewczyna miała bardzo małą twarzyczkę jak tarcza małego zegara, kiedy widzi się go niewyraźnie w ciemnym pokoju o północy, gdy człowiek budzi się, chce sprawdzić czas i widzi zegar wskazujący mu godzinę, minutę i sekundę, w białym milczeniu i żarze, z całą pewnością i świadomością tego, co ma powiedzieć o nocy przechodzącej szybko ku dalszej ciemności, lecz dążącej również ku nowemu słońcu.

— Co? — zapytał Montag swoją drugą jaźń, owego podświadomego idiotę, który czasami wyrywał się bełkocząc bez sensu, zupełnie niezależnie od woli, przyzwyczajenia i świadomości.

Znów spojrział na ścianę. Jakże jej twarz przypomina również lustro! Nieprawdopodobne! Iluż to znałeś ludzi, którzy odbijałoby na ciebie tve własne światło? O wiele częściej ludzie są — szukał podobieństwa i znalazł je w swym zawodzie — pochodniami płonącymi, póki nie zgasną w podmuchu wiatru. Jak rzadko twarze innych ludzi biorą od ciebie i odrzucają ci twój własny wyraz, najbardziej skrytą myśl?

Jakąż niewiarygodną siłę utożsamienia ma ta dziewczyna: jest jak zaciekawione dziecko w teatrze kukiełkowym, uprzedza każde drgnięcie powieki, każdy gest ręki, każdy ruch palca na chwilę przedtem, zanim się zaczął. Jak długo szli razem? Trzy minuty? Pięć? Jakże długi ten czas wydaje się teraz. Jak olbrzymią postacią jest na scenie przed nim, jakież cień rzuca na ścianę swym szczupłym ciałem! Czuł, że gdy zaswędzi go oko, to ona mrugnie. A gdy mięśnie jego szczęk naprężą się niedostrzegalnie, ona ziewnie na długo przed nim.

Ale, pomyślał, teraz mi to dopiero przyszło do głowy: zdaje się, że ona jak by czekała na mnie na ulicy, tak diabelnie późno w nocy...

Otworzył drzwi sypialni.

Miał uczucie, jak gdyby wchodził do chłodnej marmurowej sali mauzoleum po zachodzie księżyca. Całkowita ciemność, ani odblasku srebrnego światła księżyca, okna szczelnie zamknięte, komora grobowa, gdzie nie przenika ani jeden dźwięk z wielkiego miasta. Pokój nie był pusty. Nasłuchiwał.

Cichutkie jak taniec komara brzęczenie w powietrzu, elektryczny pomruk roju oskrytego w specjalnym różowo-ciepłym gnieździe. Muzyka była prawie wystarczająco głośna, by mógł rozróżnić melodię.

Czuł, jak jego uśmiech ześlizguje się, topi, zwija jak warstwa łożu, jak wosk jakiejś fantastycznej świecy, która paliła się zbyt długo, a teraz gaśnie i pełga. Ciemność. Nie

jest szczęśliwy. Nie jest szczęśliwy. Powtarzał w duchu te słowa. Uznał to za prawdziwy stan rzeczy. Nosił szczęście jak maskę, a dziewczyna uciekła przez trawnik z maską i nie było sposobu, by pójść, zapukać do jej drzwi i poprosić, by oddała ją z powrotem.

Nie zapalając światła wyobrażał sobie, jak ten pokój wygląda. Jego żona wyciągnięta na łóżku, nie nakryta i zimna jak posąg na wieku grobowca, jej oczy przytwierdzone do sufitu niewidzialnymi stalowymi niciami, nieruchome. A w jej uszach tkwią muszelki, mikroskopijne odbiorniki radiowe, wciśnięte szczelnie, i elektronowy ocean dźwięku, muzyki i mowy, napływający bez przerwy na wybrzeże jej bezsensownego umysłu. Pokój był naprawdę pusty. Każdej nocy fale przybywały i unosiły ją w wielkich przypływach, płynęła na nich, z szeroko otwartymi oczyma, ku porankowi. W ciągu ostatnich dwu lat nie było nocy, żeby Mildred nie płynęła w tym morzu, nie nurkowała w nim głęboko i radośnie.

Pokój był chłodny, ale mimo to Montag nie mógł oddychać. Nie chciał rozsuwać zasłon i otwierać francuskiego okna, bo nie miał ochoty, by światło księżycy weszło do pokoju. Tak więc z uczuciem człowieka, który umrze w ciągu godziny z braku powietrza, wymacał drogę ku swemu odkrytemu, oddzielnemu i w związku z tym zimnemu łóżku.

Na chwilę przedtem, nim jego stopa trafiła ten przedmiot na podłodze, wiedział, że nań trafi. Było to podobne do uczucia, które miał przed skręceniem za róg, kiedy to o mało nie wywrócił dziewczyny. Jego stopa, kiedy była jeszcze w powietrzu wysyłając przed sobą wibracje, odbierała z powrotem echa od małej przeszkody na drodze. Stopa trąciła coś. Rozległo się głuche brzęknięcie i jakiś przedmiot potoczył się w ciemność.

Stał bardzo prosto i przysłuchiwał się osobie na ciemnym łóżku w całkowicie pozbawionej wyrazu nocy. Oddech kobiety był tak lekki, że poruszyłby jedynie najdrobniejsze strzępki życia, listek, czarne piórko, pojedyncze włókienko włosa.

Nadal nie chciał odsłaniać okna. Wyciągnął zapalacz, dotknął salamandry wygrawerowanej na srebrnej tarczy, pstryknął...

Dwa księżycowe kamienie patrzyły na niego w świetle maleńkiego płomyka: dwa blade kamienie księżycowe zagrzebane w strumieniu czystej wody, nad którymi przebiega życie świata, nie dotykając ich.

— Mildred!

Jej twarz była jak pokryta śniegiem wyspa, na którą może padać deszcz, lecz ona nie czuje deszczu; nad którą mogą przechodzić chmury, rzucając ruchome cienie, ale ona nie czuje żadnych cieni. Rozbrzmiewał tylko śpiew mikroskopijnych os w jej zatkniętych uszach, oczy były jak szkło, a oddech wchodził i wychodził miękko, leciutko z jej nozdrzy, zaś ona nie troszczyła się o to, czy wchodzi, czy wychodzi; wchodzi czy wychodzi.

Przedmiot, który odrzucił nogą, połyskiwał teraz pod łóżkiem Montaga. Kryształowa buteleczka tabletek nasennych, w której jeszcze dziś rano znajdowało się trzydzieści drażetek, leżała teraz bez zakrętki i pusta w świetle płomyka.

Gdy tak stał, niebo nad jego domem zaryczało. Rozległ się straszliwy rwący łoskot, jak by dwie olbrzymie ręce rozdierały dziesięć tysięcy mil czarnego płótna wzdłuż szwu. Montag jak by coś przecięło na pół. Czuł, że pierś ma przerąbaną toporem. Przelatywały odrzutowe bombowce, przelatywały, przelatywały, jeden dwa, jeden dwa, jeden dwa, sześć, dziewięć, dwanaście, jeden i jeden, i jeden, i następny, i następny, i następny — one to wrzeszczały zamiast Montaga. Otworzył usta, ryk odrzutowców wpadał i wypadał spomiędzy jego odkrytych zębów. Dom trząsł się. Płomyk zgasł w ręku Montaga. Księżycowe kamienie zniknęły. Poczuł, że jego ręka zanurza się w ciemności, szukając telefonu.

Odrzutowce przeleciały. Czuł, że jego usta poruszają się przy muszli telefonu. „Szpital pogotowia”. Okropny szept.

Czuł, że huk czarnych odrzutowców zmiażdżył gwiazdy na proszek i że rankiem ich pył pokryje ziemię jak niesamowity śnieg. To ten idiota tak myślał, gdy Montag stał drżąc w ciemności, poruszając bez przerwy ustami.

Mieli tę maszynę. Właściwie mieli dwie maszyny. Jedna z nich niby czarna kobra wpełzała do żołądka człowieka jak do rozbrzmiewającej echem studni, szukając starej wody i starego czasu tam zebranego. Wypijała zielone coś, co bulgocząc wolno napływało ku górze. Czy piła ciemność? Czy wysysała wszystkie trucizny nagromadzone latami? Pożywiała się w milczeniu, tylko od czasu do czasu rozlegał się sporadyczny odgłos wewnętrznego krztuszenia się i ślepego poszukiwania. Miała oko. Obojętny operator maszyny mógł, nakładając specjalny hełm optyczny, zajrzeć do duszy osoby, której żołądek wypompowywał. Co oko widziało? Nie mówił. Widział, ale nie widział tego, co widziało oko. Cała operacja przypominała kopanie rowu w ogródku. Kobieta na łóżku nie była niczym więcej jak twardą warstwą marmuru, na którą się natknęli. W każdym razie działajcie dalej, usuńcie nudę, wysysajcie pustkę, jeśli czegoś takiego mogą dokonać skurcze ssącego węża. Operator stał paląc papierosa. Druga maszyna pracowała również.

Drugą maszynę obsługiwał inny obojętny osobnik w czerwonawobrazowym kitlu z nieplamiącej tkaniny. Jego maszyna wypompowywała z ciała całą krew zastępując ją świeżą krwią i serum.

— Trzeba ich czyścić na oba sposoby — powiedział operator stojąc nad milczącą kobietą. — Żadna korzyść z czystego żołądka, jeśli się nie oczyści krwi. Jak zostawić to świństwo w krwi, to krew łupie mózg jak młotkiem, buch, parę tysięcy razy, a mózg nie wytrzymuje i wysiada.

— Skończyliście już? — spytał Montag.

— Tylko tak sobie mówiłem.

— Skończyliście już? — spytał Montag.

Zatrzasnęli maszyny. — Skończyliśmy. — Jego gniew nie robił na nich najmniejszego wrażenia. Stali, dym z papierosów kłębił się wokół ich nosów i wpadał w oczy, ale żaden z nich nawet nie mrugnął ani nie przymknął powieki. — Należy się pięćdziesiąt dolarów.

— Przed wszystkim, dlaczego mi nie mówicie, czy ona wyzdrowieje?

— Jasne. Wszystko będzie klawo. Całą truciznę mamy tu w walizce, nic jej teraz nie może zaszkodzić. Jak już mówiłem, zabieramy stare, wpychamy nowe i człowiek jest zdrowy.

— Żaden z was nie jest doktorem. Dlaczego nie przysyłają lekarzy z pogotowia?

— Do diabła! — Papieros operatora poruszył się na jego wardze. — Takich przypadków mamy dziewięć albo dziesięć co noc. Kiedy to się zaczęło parę lat temu, trzeba było zbudować specjalne maszyny. Z optycznymi soczewkami — jasna rzecz, to było nowe; reszta jest stara jak świat. Do takiego wypadku nie trzeba doktora: wystarczy dwóch zręcznych chłopaków, żeby w pół godziny załatwili całą sprawę. No... — ruszył ku drzwiom. — Musimy już zwiewać. Właśnie dostałem kolejne wezwanie przez muszelki radiowe. Dziesięć przecnic stąd. Znowu ktoś zajrzał do butelki z pastylkami. Niech pan dzwoni do nas, gdybyśmy jeszcze byli potrzebni. Trzymać ją w spokoju. Daliśmy jej środek pobudzający. Obudzi się głodna. Cześć.

I mężczyźni z papierosami w wąskich ustach, mężczyźni o oczach węży-okularników zabrali swe bagaże — maszynę i tubę, walizkę z płynną melancholią i powolny ciemny muł pozbawionej nazwy substancji — i pomaszerowali do drzwi.

Montag opadł na krzesło i popatrzył na żonę. Jej oczy były teraz lekko przymknięte. Wyciągnął rękę, by poczuć ciepło oddechu na swej dłoni.

— Mildred — powiedział wreszcie.

Za dużo nas jest, myślał. Jest nas miliardy, a to za dużo. Nikt nikogo nie zna. Przychodzą obcy i gwałcą cię. Przychodzą obcy i wycinają ci serce. Przychodzą obcy i zabierają ci krew. Dobry Boże, kim są ci ludzie? Nigdy w życiu nie widziałem ich przedtem.

Minęło pół godziny.

Prąd krwi w tej kobiecie był nowy i wydawało się, że uczynił z nią coś nowego. Jej policzki były bardzo różowe, a wargi bardzo świeże i pełne barwy, wyglądały słodko i spokojnie. Czyjaś krew. Gdyby tak jeszcze czyjeś ciało, mózg i pamięć. Gdyby tylko mogli zabrać jej mózg do pralni, wypróżnić jego zakamarki, wyparować, wyczyścić, przemodelować i oddać go rano. Gdyby tylko...

Wstał, rozsunał zasłony i otworzył okno, by wpuścić nocne powietrze. Była godzina druga nad ranem. Klarysa McClellan na ulicy, jego podejście, ciemny pokój i stopa potrącająca kryształową butelką, czy to było zaledwie godzinę temu? Tylko godzinę, ale świat stopił się całkowicie i powstał na nowo w innej i bezbarwnej formie.

Śmiech nadleciał nad zabarwioną księżycem murawą od domu Klarysy, jej ojca, matki i wuja, którzy uśmiechali się tak spokojnie i poważnie. Zaskakiwało, że ich śmiech był swobodny i serdeczny, a nie wymuszony w jakikolwiek sposób, przybywał z domu tak jasno oświetlonego o tak późnej porze, podczas gdy inne domy stały osamotnione w ciemności. Montag słyszał głosy mówiące, mówiące, ofiarujące, mówiące, splatające i rozplatające swą hipnotyczną tkaninę.

Wyszedł przez francuskie okno i przebył trawnik, nie myśląc nawet o tym. Stał wśród cieni przed rozgadany domem i przyszło mu do głowy, że mógłby nawet zapukać do tych drzwi i szepnąć: „Pozwólcie mi wejść. Nie chcę nic mówić. Chcę tylko posłuchać. O czymże wy rozmawiacie?”

Lecz zamiast tego stał tam, bardzo chłodny, o twarzy jak lodowa maska, słuchając głosu mężczyzny (może wuja?) ciągnącego bez pośpiechu:

— Właściwie żyjemy w epoce sloganu „Po użyciu — wyrzucić”. Wszystko, każdy materiał, wyrzuca się po użyciu. Wysmarkaj się w pierwszego lepszego człowieka, jak w chusteczkę papierową, zwiń go w kłębek, wyrzuć, spuść wodę. Sięgnij po następnego, wysmarkaj się, zwiń w kłębek, spuść wodę. Każdy jedzie na reputacji drugiego. Jak można od człowieka wymagać, by popierał miejscową drużynę, kiedy nie ma nawet programu ani nie zna nazwisk? Na przykład, jakie noszą koszulki członkowie tej drużyny, kiedy wychodzą na boisko?

Montag cofnął się do swego domu, pozostawiając okno otwarte, dotknął czoła Mildred, starannie ją przykrył, a następnie położył się. Światło księżyca padało na jego kości policzkowe i bruzdy na zamyślonym czole, światło księżyca przesączało się do oczu formując na nich srebrną kataraktę.

Kropla deszczu. Klarysa. Druga kropla. Mildred. Trzecia. Wujek. Czwarta. Dzisiejszy pożar. Jeden, Klarysa. Dwa, Mildred. Trzy, wujek, ogień, drażetki nasenne, materiał ludzki, wyrzucić po użyciu, każdy jedzie na reputacji, wysmarkaj się, zwiń, spuść. Jeden, dwa, trzy, jeden, dwa, trzy! Deszcz. Burza. Wuj śmieje się. Piorun spada z nieba. Ulewa zatapia cały świat. Ogień tryska wulkanem. Wszystko pędzi dokoła w przeraźliwym ryku, szerokim jak rzeka potokiem ku rankowi.

— Teraz już nic w ogóle nie wiem — powiedział i rozpuścił na języku pastylkę nasenną.

O dziewiątej rano łóżko Mildred było puste.

Montag zerwał się szybko z bijącym sercem, popędził przez hali i zatrzymał się przy drzwiach kuchennych.

Grzanka wyskoczyła ze srebrnego toster. Pajęcza metalowa dłoń chwyciła grzanekę i posmarowała ją masłem.

Mildred patrzyła, jak automat kładzie grzanekę na jej talerzu. W obu jej uszach tkwiły elektronowe pszczoły, których brzęczenie zabijało czas. Nagle podniosła wzrok, zobaczyła męża i skinęła głową.

— Czujesz się dobrze? — spytał.

W ciągu dziesięciu lat obcowania z muszelkowymi odbiornikami stała się specjalistką od czytania z ruchu warg. Skinęła znowu. Nastawiła toster na nowy kawałek chleba. Montag usiadł.

Jego żona powiedziała: — Nie wiem, dlaczego jestem taka głodna.

— Ty...

— Jestem strasznie głodna.

— W nocy... — zaczął.

— Źle spałam. Nie mogę tego zrozumieć.

— Dziś w nocy... — zaczął znowu.

Obserwowała obojętnie jego wargi: — Więc co było w nocy?

— Nie pamiętasz?

— Co? Urządzaliśmy jakieś pijaństwo czy coś w tym rodzaju? Czuję się, jak bym miała kaca. Boże, ależ jestem głodna. Kto był?

— Parę osób — powiedział.

— Właśnie tak i myślałam. — Żuła grzanekę. — Ścisła mnie w dołku, ale jestem głodna, jak bym nic w ustach nie miała. Mam nadzieję, że nie wygłupiałam się na tym przyjęciu?

— Nie — odparł spokojnie.

Toster wręczył mu kawałek chleba z masłem. Trzymał go w ręku i czuł się skrępowany.

— Ty też nieszczególnie wyglądasz — powiedziała jego żona.

Późnym popołudniem padał deszcz i świat był ciemnoszary. Montag stał w hallu domu przypinając tarczę z płonąca na niej pomarańczową salamandrą. Stał i przez długi czas patrzył na wentylator klimatyzacyjny. Jego żona w salonie telewizyjnym przerwała czytanie skryptu na tyle, by podnieść głowę. — Halo — zawołała. — Ten człowiek myśli!

— Tak — odparł. — Chciałem z tobą porozmawiać, — Urwał. — Zażyłaś wszystkie pastylki ze swojej buteleczki dzisiejszej nocy.

— Och, niemożliwe — powiedziała zaskoczona.

— Butelka była próżna.

— Nie zrobiłabym czegoś takiego. Dlaczego miałabym to zrobić? — spytała.

— Możliwe, że wzięłaś dwie drażetki i zapomniałaś o tym. Potem wzięłaś dwie następne i zapomniałaś znowu, i znowu zażyłaś dwie. Wtedy byłaś tak oszołomiona, że zażywałaś je dalej, aż połknęłaś trzydzieści czy czterdzieści.

— Do licha — powiedziała — po co miałabym zrobić takie głupstwo i do czego mi to byłoby potrzebne?

— Nie wiem — odparł.

Zupełnie wyraźnie czekała, aż on sobie pójdzie. — Nie zrobiłabym tego — rzekła. — Nigdy, gdybym nawet żyła miliard lat.

— No dobrze, jeśli tak mówisz... — powiedział.

— Tak właśnie mówię. — Odwróciła się do swego skryptu.

— Co dziś dają? — zapytał ze znużeniem.

Nie podniosła głowy znad skryptu. — To jest sztuka, która idzie na obwodzie czterościennym za dziesięć minut. Nadesłali mi moją rolę dziś rano. Wiesz, oni piszą Sztuki z opuszczoną jedną rolą. To nowy pomysł. Kapłanka ogniska domowego, to znaczy ja, gra tę brakującą rolę. Kiedy przychodzi czas na te opuszczone wiersze, oni patrzą na mnie z trzech ścian, a ja je wypowiadam. Tu na przykład mężczyzna mówi: „Co sądzisz o tym całym pomysle, Heleno?” — i spogląda na mnie. A ja siedzę tutaj na środku, rozumiesz, i mówię... mówię... — Urwała i przesunęła palcem po wierszu w manuskrypcie. — „Myślę, że to świetne!” A potem oni grają dalej, aż on powie: „Zgadzasz się z tym, Heleno?” a ja na to: „Oczywiście!” Czy to nie zabawne, Guy?

Stał w hallu patrząc na nią.

— Pyszna zabawa — powiedziała.

— O czym jest ta sztuka?

— Już ci mówiłam. Tam są ci ludzie: Bob, Ruth i Helena...

— Och.

— To naprawdę zabawne. A byłoby jeszcze zabawniejsze, gdybyśmy mogli sobie zainstalować czwartą ścianę. Jak sobie wyobrażasz, kiedy odłożymy dość pieniędzy, żeby rozwalić tę zwykłą ścianę i założyć ścianę telewizyjną? To kosztuje przecież zaledwie dwa tysiące dolarów.

— Jedna trzecia mojej rocznej pensji.

— Tylko dwa tysiące dolarów — powtórzyła. — Sądzę, że powinieneś o mnie też od czasu do czasu pomyśleć. Gdybyśmy mieli czwartą ścianę, to byłaby zupełnie tak, jak by ten pokój nie był nasz, lecz stale zmieniał się w pokoje różnych egzotycznych ludzi wszelkiego rodzaju. Moglibyśmy się obyć bez paru drobnostek.

— Już się obywamy bez różnych drobnostek, żeby zapłacić za trzecią ścianę. To było zaledwie dwa miesiące temu, pamiętasz?

— Dopiero? — Siedziała patrząc na niego przez długą chwilę. — Więc do widzenia, kochany.

— Do widzenia. — Zatrzymał się i odwrócił. — Czy ta sztuka ma szczęśliwe zakończenie?

— Nie doczytałam do końca.

Podszedł, przeczytał ostatnią stronę, kiwnął głową, złożył skrypt i oddał żonie. Wyszedł z domu na deszcz.

Deszcz zmniejszał się. Dziewczyna spacerowała środkiem chodnika z zadartą głową, a nieliczne krople padały jej na twarz. Uśmiechnęła się, gdy zobaczyła Montaga.

— Halo!

Powiedział: „halo!” a potem spytał:

— No i co pani teraz robi?

— Nadal jestem pomyłona. Deszcz jest przyjemny. Lubię spacerować po deszczu.

— Nie sądzę, żebym ja to lubił. — rzekł.

— Na pewno polubiłby pan, gdyby pan spróbował.

— Nigdy nie próbowałem.

Oblizła wargi. — Deszcz ma nawet przyjemny smak.

— Czy pani stale tak chodzi dokoła, próbując wszystkiego po jednym razie?

— Czasami po dwa razy. — Popatrzyła na coś, co trzymała w ręku.

— Co pani tam ma? — zapytał.

— Sądzę, że to jeden z ostatnich mniszków w tym roku. Nie myślałam, że jeszcze jeden znajdzie o tej porze. Słyszał pan kiedy o tym, że tym kwiatem łaskocze się pod brodą? Proszę, — Dotknęła kwiatem swego podbródka śmiejąc się.

— Po co?

— Jeśli się zetrze, to znaczy, że jestem zakochana. No co, stał się?

Nie miał innej rady, więc spojrzał.

— No? — spytała.

— Zażółciła się pani.

— Świetnie. Teraz spróbujmy na panu.

— Na mnie to nie będzie działało.

— Proszę. — Zanim zdążył się poruszyć, dotknęła go mniszkiem pod brodą. Odskoczył do tyłu, a ona roześmiała się. — Proszę stać spokojnie!

Zerknęła mu pod brodę i nachmurzyła się.

— No? — spytał.

— Co za wstyd — powiedziała. — Pan się w nikim nie kocha.

— Owszem, Kocham!

— Nie widać.

— Och, jestem bardzo zakochany! — Usiłował przybrać odpowiedni wyraz twarzy, ale nie potrafił. — Bardzo!

— Och, proszę, niech pan nie robi takiej miny.

— To ten mniszek — powiedział. — Pani go zużyła całkowicie na siebie. Dlatego na mnie nie działa.

— Oczywiście, to musi być prawda. Och, teraz pana zdenerwowałam. Widzę to. Bardzo przepraszam. Naprawdę. — Dotknęła jego łokcia.

— Nie, nie — powiedział szybko. — Nie szkodzi.

— Muszę już iść, więc niech pan powie, że się pan na mnie nie gniewa.

— Nie gniewam się. Jestem trochę podenerwowany, to prawda.

— Muszę teraz iść do psychiatry. Kazali mi chodzić. Wymyślam różne rzeczy i opowiadam mu. Nie wiem, co on o mnie sądzi. Powiada, że ze mnie prawdziwa cebula! Wciąż musi zdejmować warstwę po warstwie.

— Jestem skłonny przypuszczać, że pani naprawdę potrzeba psychiatry — rzekł Montag.

— Pan tego nie mówi na serio.

Zrobił głęboki wdech i wydech i w końcu powiedział: — Nie, nie mówię serio.

— Psychiatra chce wiedzieć, dlaczego wychodzę i włóczę się po lasach, obserwuję ptaki i zbieram motyle. Pokażę panu któregoś dnia moją kolekcję.

— Dobrze.

— Chcą wiedzieć, co robię z całym moim czasem. Mówię im, że niekiedy po prostu siedzę i myślę. Ale nie chcę powiedzieć, o czym myślę. Wzięłam ich do galopu. A czasami mówię, że lubię przechylić głowę, o w ten sposób, żeby deszcz wpadał mi w usta. Smakuje zupełnie jak wino. Próbował pan kiedy?

— Nie, ja...

— Przebaczył mi pan, prawda?

— Tak. — Zastanawiał się nad tym. — Tak, oczywiście. Bóg wie dlaczego. Pani jest niesamowita, denerwująca, ale jakoś łatwo pani przebaczać. Więc ma pani siedemnaście lat?

— Tak... kończę w następnym miesiącu.

— Jakie to dziwne. Jakie nieprawdopodobne. Moja żona ma trzydzieści, a jednak zdaje się niekiedy, że pani jest o wiele starsza. Nie mogę tego pojąć.

— Pan sam jest dziwny, panie Montag. Czasami nawet zapominam, że pan jest strażakiem. Przepraszam, czy znowu pana denerwuję?

— Niech pani mówi dalej.

— Jak to się zaczęło? Jak pan w to wpadł? Jak pan sobie wybrał zawód i jak pan wpadł na pomysł, żeby wziąć się do tej roboty? Pan nie jest podobny do innych. Widziałam paru. Wiem. Kiedy mówię, pan patrzy na mnie. Kiedy powiedziałam coś o księżycu, pan popatrzył na księżyc, wczoraj w nocy. Inni nigdy by tego nie zrobili. Inni by odeszli i zostawili mnie. Albo groziliby mi. Nikt dziś nie ma czasu dla kogoś drugiego. Pan jest jednym z tych nielicznych, którzy poświęcili mi chwilę uwagi. Dlatego też myślę, że to takie dziwne, iż jest pan strażakiem. Po prostu wydaje się to w jakiś sposób nieodpowiednie dla pana.

Czuł, że jego ciało dzieli się na gorąco i chłód, miękkość i twardość, drzenie i spokój, dwie połówki trące jedna o drugą.

— Niech pani lepiej idzie na tę wizytę — powiedział.

A ona pobiegła i zostawiła go na deszczu.

I wtedy bardzo wolno odchodząc odchylił głowę, tylko na kilka chwil, i otworzył usta...

Mechaniczny pies spał, lecz nie spał, żył i nie żył w swej delikatnie pomrukującej, delikatnie wibrującej, łagodnie oświetlonej psiarni w ciemnym zakątku strażnicy. Szare światło nocy, księżycowe światło otwartego nieba obramowane wielkim oknem dotykało tu i ówdzie mosiądzu, miedzi i stali lekko drżącej bestii. Światło migotało na kawałkach rubinowego szkła i czułych, naelektryzowanych nylonowych włosach nozdrzy stworzenia, które drżało leciutko, a osiem jego łap na wykładanych gumą stopach wystawało spod niego jak nogi pająka.

Montag ześliznął się po mosiężnym słupie. Wyszedł, by popatrzeć na miasto. Chmury rozproszyły się, zapalił papierosa i wrócił, by schyliwszy się popatrzeć na psa. Pies wyglądał jak ogromna pszczoła, która wróciła z jakiegoś pola, gdzie zbierała miód pełen jadowitej trucizny, szaleństwa i nocnych mar, jej odwłok napęczniał od tego zbyt obfitego nektaru, a teraz śpi, by w ten sposób pozbyć się zła.

— Halo — szepnął Montag, jak zwykle zafascynowany martwą bestią, żywą bestią.

Nocą, kiedy robiło się nudno, a zdarzało się to każdej nocy, strażacy ześlizgiwali się po mosiężnych słupach, nastawiali cykające zespoły węcchowe psa, wypuszczali w strażnicy szczury, czasami kurczęta, czasami koty, które miano utopić, i zakładali się, którego szczura, kota czy kurczę pies uchwyci najpierw. Zwierzęta puszczano wolno. W trzy sekundy później zabawa była skończona, szczur, kot czy kurczę schwymane w połowie korytarza, ściśnięte w miękkich łapach, podczas gdy długa, pusta w środku stalowa igła wysuwała się z pyska psa, by zastrzyknąć potężne ładunki morfiny czy prokainy. Ofiary wrzucano potem do spalarni. Gra zaczynała się na nowo.

Kiedy się to działo, Montag przeważnie pozostawał na górze. Zdarzyło mu się raz, dwa lata temu, że założył się z najlepszymi graczami, przegrał tygodniową pensję i miał potem do czynienia z wybuchem wściekłości Mildred, Mildred z nabrzmiałymi żyłami na czole i twarzą w czerwonych plamach. Ale teraz leżał nocami na pryczy, zwrócony twarzą ku ścianie, nasłuchując wybuchów śmiechu na dole, fortepianowych pasaży szczurzych łapek, skrzypcowego popiskiwanego myszy i wielkiej cienieści, ruchliwej ciszy psa krążącego jak ćma w ostrym świetle. Pies znajdował, przytrzymywał swą ofiarę, zapuszczał igłę i wracał do swej budy, by zamrzeć, jak gdyby ktoś przekreślił wyłącznik.

Montag dotknął nozdrzy psa.

Pies zawarczał.

Montag odskoczył.

Pies do połowy podniósł się w swej budzie i patrzył na niego zielononiebieskim neonowym światłem migoczącym w nagle zaktywizowanych żarówkach ocznych. Zawarczał znowu, strasznym zgrzytającym połączeniem elektrycznego trzasku i skwierczącej słoniny, chrzęstu metalu i trybów, które zdawały się zardzewiałe i zużyte w ciągłej czujności.

— Nie, nie, psinko — powiedział Montag z bijącym sercem.

Widział, jak srebrna igła wysunęła się na cał, schowała, wysunęła się znowu. Charkot gotował się w bestii, a bestia patrzyła na człowieka.

Montag cofnął się. Pies wysunął się na krok ze swej budy. Montag chwycił jedną ręką mosiężny słupek. Słupek reagując ruszył w górę i spokojnie wyniósł go przez otwór w suficie. Szedł słabo oświetlonym pokładem pierwszego piętra. Drżał cały, a jego twarz była zielonoblada. W dole pies przykucnął znowu na swych ośmiu niewiarygodnych owdzich nogach i znowu pomrukiwał do siebie, jego wielopryzmatowe oczy były teraz spokojne.

Montag stał przy otworze alarmowym, czekając, aż minie strach. Za nim czterej mężczyźni przy stoliku do kart pod zielonym abażurem w rogu zerknęli na niego, lecz nic nie powiedzieli. Tylko mężczyzna w: kapitańskiej czapce ze znakiem feniksa, wreszcie zaniepokojony, trzymając karty w ręku, odezwał się przez długą salę:

— Montag...?

— Nie lubi mnie — powiedział Montag.

— Co? Pies? — Kapitan przypatrywał się swoim kartom. — Głupstwa. On nie umie lubić czy nie lubić. Tylko „funkcjonuje”. To zupełnie jak lekcja balistyki. Ma tor lotu, który dla niego ustalamy. Trzyma się go ściśle. Sam się nacelowuje, ładuje i odpala. To tylko miedziany drut, suche baterie i elektryczność.

Montag przełknął. — Jego kalkulatory mogą być nastawiane na wszelkie zestawienia: tyle a tyle aminokwasów, tyle siarki, tyle tłuszczu, tyle alkaliów. Dobrze mówię?

— Każdy to wie.

— Wszystkie te chemiczne zestawy i procenty nas wszystkich, którzy pracujemy w strażnicy, są spisane w centralnej kartotece na dole. Byłaby łatwe dla każdego włączyć częściową kombinację do „pamięci” psa, powiedzmy, lekkie uczulenie na aminokwasy. To by wywołało to, co pies właśnie zrobił: zareagował na mnie.

— Cholera — powiedział kapitan.

— Podrażniony, ale jeszcze nie całkowicie zły. Tylko tyle „pamięci” mu ktoś włączył, że zawarczał, gdy go dotknąłem.

— Kto mógłby coś podobnego zrobić? — zapytał kapitan. — Nie masz tu przecież wrogów, Guy.

— Nie mam pojęcia.

— Każemy naszym technikom, żeby jutro sprawdzili psa.

— Nie pierwszy raz już mi groził. W ubiegłym miesiącu to się zdarzyło dwa razy.

— Wszystko załatwimy. Nie martw się.

Ale Montag nie ruszył się z miejsca i tylko stał, myśląc o kracie wentylatora w hallu i o tym, co leżało ukryte za tą kratą. Jeśli ktoś w strażnicy wie o wentylatorze, czy przypadkiem nie „powiedział” psu...?

— Zastanawiam się — powiedział Montag — o czym ten pies rozmyśla nocami? Czy naprawdę zaczyna na nas reagować? Zimno mi się robi.

— Nie myśli o niczym, o czym nie chcemy, żeby myślał.

— To smutne — rzekł Montag spokojnie — ponieważ wszystko, cośmy w niego włożyli, to tylko ściganie, chwywanie i zabijanie. Co za hańba, że on nie wie o niczym innym.

Beatty parsknął lekko. — Do diabła! Ten pies to tylko ładna maszynka, dobra strzelba, która potrafi łapać sobie cel i zawsze trafia w czarny punkt.

— Dlatego właśnie — powiedział Montag — nie chcę być jego kolejną ofiarą.

— O co chodzi? Nie masz chyba nic na sumieniu?

Montag szybko podniósł wzrok.

Przed nim stał Beatty, spoglądając nieruchomo, podczas gdy jego usta otworzyły się i zaczęły śmiać się bardzo cicho.

Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem dni. Ilekroć wychodził z domu, zawsze w jakiś sposób spotykał Klarysę. Raz widział, że strząsała włoskie orzechy, innym razem siedziała na murawie robiąc na drutach niebieski sweter, trzy czy cztery razy znalazł na ganku bukiet późnych kwiatów czy garść kasztanów w woreczku lub kilka jesiennych liści ładnie przypiętych na białym papierze umocowanym pluskiewką do drzwi. Codziennie Klarysa odprowadzała go do rogu. Pewnego dnia padał deszcz, następnego była pogoda, później dął mocny wiatr, kolejny dzień był cichy i pogodny, zaś następny po tym pogodnym był jak upalne lato, a Klarysa późnym popołudniem miała całą twarz opaloną.

— Dlaczego tak jest? — zapytał pewnego razu przy wejściu do kolei podziemnej.

— Czuję się tak, jak bym panią znał od wielu lat.

— Ponieważ pana lubię — powiedziała — i nic od pana nie chcę. I ponieważ znamy się nawzajem.

— Przy pani czuję się bardzo stary i zupełnie jak ojciec.

— A teraz niech pan wytłumaczy — rzekła — dlaczego nie ma pan córek podobnych do mnie, kiedy pan tak lubi dzieci?

— Nie wiem.

— Żartuje pan!

— Chciałem powiedzieć... — zatrzymał się i potrząsnął głową. — Więc, moja żona... ona w ogóle nigdy nie chciała mieć dzieci.

Dziewczyna przestała się uśmiechać. — Przepraszam. Naprawdę myślałam, że pan sobie ze mnie żartuje. Głupia jestem.

— Nie, nie — powiedział. — To było dobre pytanie. Minął już długi czas od chwili, kiedy ktoś zatroszczył się, by o to spytać. Słuszne pytanie.

— Mówmy o czym innym. Czy wachał pan kiedy stare liście? Proszę. Pachną cynamonem.

— Ależ tak, do pewnego stopnia przypominają cynamon.

Popatrzyła na niego czystymi ciemnymi oczami. — Pan zawsze wydaje się wstrząśnięty.

— To po prostu dlatego, że nie miałem czasu...

— Czy popatrzył pan na te rozciągnięte tablice ogłoszeniowe, jak panu mówiłam?

— Sądzę, że tak. Tak. — Musiał się roześmiać.

— Pański śmiech brzmi teraz o wiele przyjemniej niż dawniej.

— Naprawdę?

— Bardziej swobodnie.

Czuł się wesoło i lekko. — Dlaczego nie chodzi pani do szkoły? Widzę, jak pani spaceruje po całych dniach.

— Och, obejdą się beze mnie — powiedziała. — Mówią, że jestem nietowarzyska i aspołeczna. Nie mieszam się do niczego. To takie dziwne. W rzeczy samej jestem bardzo towarzyska i „społeczna”. Wszystko zależy od tego, co kto uważa za społeczne, prawda? Społeczne to znaczy dla mnie rozmowa z panem o rzeczach takich jak te. — Zagrzechotała kilkoma kasztanami, które spadły z drzewa na frontowym podwórku. — Albo rozmowa o tym, jaki dziwny jest świat. Lubię przebywać z ludźmi. Ale nie uważam za społeczne, jeśli się zbiera gromadę ludzi i nie pozwala im mówić. A pan? Lekcja telewizji, lekcja koszykówki, baseballu czy biegów, następna godzina nagrań historycznych czy malowania obrazów i znów sport, ale czy pan wie, że nigdy nie zadajemy pytań, a przynajmniej większość nie zadaje? Oni po prostu wbijają w człowieka odpowiedzi, bim, bam, bim. A potem trzeba siedzieć dalsze cztery godziny na wykładach nauczyciela filmu. To dla mnie w ogóle nie jest społeczne. To tylko kupa lejków i mnóstwo wody, którą się nalewa i wylewa, a oni mówią nam, że to wino. Tak nas wymagają do końca dnia, że nie potrafimy już nic innego tylko iść do łóżka albo do lunaparku, by potrać ludzi, wybijać szyby w wybijalni okien czy rozbijać samochody wielką stalową kulą w rozbijalni samochodów. Albo wyjeżdżać samochodami i pędzić po ulicach, próbując zobaczyć, jak blisko da się podjechać do latarni, bawić się w jazdę bez trzymania kierownicy czy obtrącanie panewek. Przypuszczam, że wszystko, co o mnie mówią, to prawda. Nie mam przyjaciół. To podobno dowodzi, że jestem nienormalna. Lecz każdy, kogo znam, albo wrzeszczy i tańczy dokoła jak dziki, albo tłucze innych. Zauważył pan, jak ludzie teraz kaleczą się nawzajem?

— Mówi pani, jak by pani była bardzo stara.

— Czasami jestem wprost staruszką. Boję się młodych ludzi w moim wieku. Zabijają jeden drugiego. Czy zawsze tak było? Mój wujek mówi, że nie. Tylko w ostatnim roku sześciu moich przyjaciół zostało zastrzelonych. Dziesięciu zginęło w katastrofach samochodowych. Boję się kolegów, a oni mnie nie lubią, bo się ich boję. Mój wujek powiada, że jego dziadek pamiętał, kiedy dzieci nie zabijały się nawzajem. Ale to było bardzo dawno temu i wszystko wyglądało inaczej. Mój wujek powiada, że wtedy wierzono w odpowiedzialność. Wie pan, jestem odpowiedzialna. Przed laty dostawałam w skórę, kiedy było potrzeba. Wszystkie zakupy po sklepach i porządki w domu robię własnoręcznie.

Ale najbardziej ze wszystkiego — mówiła dalej — lubię obserwować ludzi. Czasami jeżdżę kolejką podziemną przez cały dzień i patrzę na ludzi, i słucham ich. Chcę tylko wyobrazić sobie, kim oni są, czego chcą i dokąd jadą. Od czasu do czasu nawet chodzę do lunaparków i jeżdżę w odrzutowych samochodach, kiedy się ścigają o północy na granicy miasta, a policja nie troszczy się o to, jeśli są ubezpieczeni. Jak długo każdy ma dziesięć tysięcy ubezpieczenia, wszystko jest w porządku. Czasami podkradam się i słucham w kolejach podziemnych. Albo słucham przy kioskach z wodą sodową i wie pan co?

— Co?

— Ludzie o niczym nie mówią.

— Och, muszą przecież!

— Nie, nie mówią. Wyliczają mnóstwo samochodów czy sukien, czy basenów pływackich i powiadają, jakie to eleganckie! Ale wszyscy powtarzają to samo i każdy mówi identycznie to co inni. A przez większość czasu w kawiarniach puszczają automaty z dowcipami, przeważnie te same dowcipy, albo włączają ścianę muzyczną i wszystkie te barwne wzory poruszające się w górę i w dół, ale nic poza kolorem i wszystko abstrakcyjne. A w muzeach... był pan tam w ogóle? Wszystko abstrakcyjne. Przynajmniej teraz tak jest. Mój wujek mówi, że kiedyś było inaczej. Dawno temu obrazy mówiły coś, a nawet przedstawiały ludzi.

— Wujek mówi, wujek mówi. Pani wujek musi być niezwykłym człowiekiem?

— Jest. Na pewno jest. No, muszę już iść. Do widzenia, panie Montag!

— Do widzenia.

Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem dni: strażnica.

— Montag, siadasz na ten słup jak ptak na gałązkę.

Trzeci dzień.

— Montag, widziałem, że wchodziłeś przez tylne drzwi. Czy pies cię zaczepia?

— Nie, nie.

Czwarty dzień.

— Montag, śmieszna historia. Słyszałem, jak dzisiaj o tym mówili. Strażak w Seattle celowo nastawił mechanicznego psa na swój własny skład chemiczny i puścił go. Jak ci się podoba takie samobójstwo?

Pięć, sześć, siedem dni.

A wtedy Klarysa zniknęła. Owo popołudnie wydało mu się dziwne, ale wynikało to z tego, że nigdzie jej nie widział. Trawnik był pusty, ulica pusta, i jeśli nawet najpierw sobie nie uświadamiał, że mu jej brak czy że jej wygląda, faktem było, że gdy doszedł do kolei podziemnej, czuł się dziwnie nieswojo. Coś się zmieniło, jego przyzwyczajenie zostało zakłócone. Proste przyzwyczajenie zapewne, ustalone w ciągu kilku krótkich dni, a jednak...? O mało nie zawrócił, by dać jej czas na zjawienie się. Był pewny, że gdyby jeszcze raz przeszedł tą samą drogą, wszystko ułożyłoby się doskonale. Ale było już za późno i przybycie pociągu położyło koniec temu zamiarowi.

Trzepot kart, ruchy rąk, powiek, dudnienie mówiącego zegara na suficie strażnicy... „pierwsza trzydzieści pięć, czwartek, czwartego listopada... pierwsza trzydzieści sześć... pierwsza trzydzieści siedem po północy...” Klaskanie kart na brudnym stole... Wszystkie dźwięki dolatywały do Montaga zza jego zamkniętych powiek, zza bariery, którą wznosił na chwilę. Czuł strażnicę pełną blasku, światła i milczenia, mosiężnych barw, kolorów monet, złota, srebra. Niewidzialni ludzie z drugiej strony stołu wzdychali nad swymi kartami, czekali... „pierwsza czterdzieści pięć...” Zegar mówiący żałobnie wygłosił zimną godzinę zimnej nocy jeszcze zimniejszego roku.

— Co ci jest, Montag?

Montag otworzył oczy.

Radio brzęczało gdzieś niedaleko: „...wojna może być wypowiedziana w każdej chwili. Nasz kraj jest gotów bronić swej...”

Strażnica zadrżała od wielkiego lotu odrzutowców wygwizdujących jedyną nutę na czarnym nocnym niebie.

Montag zamrugał oczami. Beatty patrzył na niego, jak by oglądał posąg w muzeum. W każdej chwili Beatty mógł wstać i podejść do niego, sondując, badając jego winę i świadomość. Winę? Co za winę?

— Twoja kolejka, Montag.

Montag patrzył na tych mężczyzn, których twarze były opalone tysiącem prawdziwych i dziesiątkiem tysięcy wyimaginowanych pożarów, a praca strażacka barwiła rumieńcem ich policzki i rozpalala gorączką oczy; na tych mężczyzn, którzy nie mrużąc oka patrzyli na płomyki platynowych zapalaczy, kiedy zapalali swe wiecznie dymiące fajki. Ich węglowo-czarne włosy, brwi koloru sadzy i błękitnawe, jak by posmarowane popiołem policzki w tych miejscach, gdzie były wygolone, to są cechy dziedzicz-

ne. Montag wzdrygnął się, otwierając usta. Czy widział kiedykolwiek strażaka, który nie miałby czarnych włosów, czarnych brwi, zaciętej twarzy i wygolonych na błękitnostalowy kolor policzków? Ci wszyscy ludzie byli lustrzanym odbiciem jego samego! Czyżby strażaków dobierano ze względu na ich wygląd jak i skłonności? Przylegała do nich barwa popiołów i pogorzeliisk, otaczał stały zaduch spalenizny unoszący się z ich fajek. Oto kapitan Beatty w tumanach tytoniowego dymu. Beatty otwierający świeżą paczkę tytoniu, zginiatający celofan, który trzeszczy jak ogień.

Montag patrzył na karty w dłoni. — Ja... myślałem. O tym pożarze w ostatnim tygodniu. O tym człowieku, którego bibliotekę wykończyliśmy. Co się z nim stało?

— Zabrali go do szpitala wariatów.

— On nie był szalony.

Beatty spokojnie ułożył karty. — Każdy jest szalony, komu się zdaje, że potrafi oszukać rząd i nas.

— Próbowałem sobie wyobrazić — powiedział Montag — jak to się odczuwa. Chodzi mi o to, jak by strażacy palili nasze domy i nasze książki.

— My nie mamy książek.

— Ale gdybyśmy mieli.

— A masz?

Beatty powoli mrugał oczami.

— Nie. — Montag wpatrywał się nad głowami kolegów w ścianę z wypisanym na maszynie milionem tytułów zakazanych książek. Te tytuły podskakiwały w ogniu, płonąc od lat pod toporkiem Montaga i jego wężem, który tryskał nie wodą, lecz naftą.

— Nie. — Ale w jego duszy zerwał się zimny wiatr i dmuchał delikatnie z kratki wentylatora, mroząc mu twarz. I znów zobaczył siebie samego, jak rozmawia z jakimś starym człowiekiem, bardzo starym człowiekiem, a wiatr z parku był również zimny.

Montag zawahał się. — Czy... czy zawsze tak było? Strażnica, nasza praca...? Chciałem powiedzieć, że przed wielu, wielu laty...

— Przed wielu, wielu laty? — powtórzył kapitan. — A to co za wyrażenie?

Głupcze, pomyślał Montag, sam się wydałeś. Podczas ostatniego pożaru wziął książką z baśniami i rzucił okiem na jedną tylko linijkę. — Chciałem powiedzieć — rzekł — że za dawnych czasów, kiedy domy nie były jeszcze całkowicie ogniotrwałe... — Nagle zdało mu się, że jakiś o wiele młodszy głos mówi za niego. Otworzył usta i to właśnie Klarysa McClellan przemówiła: — Czy strażacy nie gasili pożarów, zamiast je rozniecać i podtrzymywać?

— Co aa bzdury! — Stoneman i Black wyciągnęli regulaminy, które zawierały również krótkie dane historyczne o strażach ogniowych w Ameryce, i wskazali miejsce, gdzie Montag, choć od dawna zaznajomiony z regulaminem, mógł przeczytać:

„Utworzona w 1790, by palić w koloniach książki pozostające pod wpływem angielskim. Pierwszy strażak: Benjamin Franklin.

Zasada 1. Na alarm wyruszaj natychmiast.

2. Szybko rozniecaj ogień.

3. Pal wszystko.

4. Natychmiast melduj się z powrotem na strażnicy.

5. Bądź gotów na następne alarmy.”

Wszyscy patrzyli na Montaga. Nie ruszał się.

Zabrział alarm.

Dzwonek w suficie kopnął sam siebie dwieście razy. Nagle pozostały tylko cztery wolne krzesła. Karty jak zamieć śnieżna spadły na podłogę. Mosiężny słup zadrżał. Ludzie zniknęli.

Montag siedział na krześle. W dole pomarańczowy smok kaszląc obudził się do życia.

Montag ześliznął się po słupie niby człowiek we śnie.

Mechaniczny pies podskakiwał w psiarni, jego oczy jarzyły się zielonym płomieniem.

— Montag, zapomniałeś hełmu!

Porwał hełm z wieszaka przy ścianie, pobiegł skoczył i już ich nie było, wiatr bił jak młotem w ryku ich syreny i potężnym grzmocie metalu!

Był to dwupiętrowy dom o łuskowatym dachu; w starej części miasta, stojący już przynajmniej jedno stulecie, ale jak wszystkie domy pokryto go przed wielu laty ogniotrwałą warstwą ochronną i to; tylko ona, jak się zdawało, powstrzymywała go od runięcia.

— Tutaj!

Maszyna zatrzymała się z trzaskiem. Beatty, Stoneman i Black pobiegli chodnikiem, nagle ohydni i tłusci w swych niezgrabnych ogniotrwałych kurtkach. Montag biegł za nimi.

Wyłamali frontowe drzwi i chwycili kobietę, choć nie ruszała się, nie próbowała uciekać. Stała tylko, kołysząc się z boku na bok utkwivszy oczy w pustej ścianie, jak gdyby zadano jej straszliwy cios w głowę. Poruszała językiem w ustach, a jej oczy wyglądały tak, jak by chciała coś sobie przypomnieć, a potem nagle to sobie przypomniała i jej język poruszył się znowu:

— Bądź mężczyzną, mistrzu Ridley. Z Bożą pomocą zapalimy dziś w Anglii taką świecę, że, jak wierzę, nigdy nie da się jej zagasić.

— Dostyc tego! — krzyknął Beatty. — Gdzie one są?

Uderzył ją w twarz z zadziwiającą obojętnością i powtórzył pytanie. Oczy starej kobiety ześrodkowały się na twarzy Beatty'ego.

— Wiecie, gdzie są, bo inaczej nie bylibyście tutaj — rzekła.

Stoneman wyciągnął kartkę telefonicznego alarmu ze skargą wypisaną przez kalkę na odwrocie.

„Mam podstawy, by podejrzewać poddasze. Klonowa 11, Stare Miasto.

E. B.”

— To musi być pani Blake, moja sąsiadka — powiedziała kobieta widząc inicjały.

— Dobra jest, chłopaki, bierzcie się do roboty!

W następnej chwili byli już w zapleśniałej czerni, rąbali srebrnymi toporkami drzwi, które zresztą wcale nie były zamknięte, popychając się, zataczając jak rozbawieni chłopcy i krzycząc: — Hej! — Fontanna książek trysnęła na Montaga, gdy z drzeniem wspinał się po stromej klatce schodowej. Jaka nieprzyjemna historia! Zawsze dotychczas wszystko odbywało się tak jak zapalenie świecy. Policja przybywała pierwsza, zaklejała plastrami usta ofiary, wiązała ją i wywoziła w swych połyskujących owadokształtnych samochodach, tak więc, gdy się przyjeżdżało na miejsce, zastawało się pusty dom. Nie szkodziło się nikomu, szkodziło się tylko rzeczom! A ponieważ rzeczom nie można właściwie zaszkodzić, ponieważ rzeczy nic nie czują, rzeczy nie krzyczą i nie jęczą, jak ta kobieta może zacząć krzyczeć i jęczeć, nie było nic, co by mogło później niepokoić sumienie. Po prostu wprowadzało się porządek. Zasadniczo zwykła praca dozorczy domu. Wszystko na swoje właściwe miejsce. Szybko dawajcie naftę! Kto ma zapalki?!

Ale dzisiejszej nocy ktoś się pomylił. Ta kobieta psuła cały rytuał. Strażacy robili zbyt wiele hałasu, śmieli się, dowcipkowali, by zagłuszyć jej straszliwe oskarżycielskie milczenie. Ona sprawiała, że puste pokoje ryczały oskarżeniami i strząsały delikatny pył winy, który wchłaniały nozdrza strażaków, gdy tak biegali dokoła. To nie było honorowo ani właściwie. Montag czuł bezmierną irytację. Nie powinna tu się znajdować, u licha!

Książki bombardowały jego plecy, ramiona, jego odwróconą ku górze twarz. Książka wpadła jak biały gołąb w jego dłonie, z trzepotem skrzydeł, prawie posłuszenie. W mętym pełgającym świetle jedna strona zwisała i była jak śnieżne pióro, a na niej delikatnie malowały się słowa. W całym pośpiechu i rozgorączkowaniu Montagowi pozostał tylko moment, by przeczytać jedną linijkę, lecz płonęła ona w jego umyśle przez następną minutę, jak by wryto ją rozpaloną stalą. „Czas zasnął w słońcu popołudnia.” Rzucił książkę. Natychmiast inna wpadła w jego ręce.

— Montag, chodź tutaj!

Ręka Montaga zamknęła się jak usta, miażdżyła książkę przyciskając ją z dzikim zachwytem, z szaleństwem bezmyślności do piersi. Ludzie na górze wyrzucali czasopiśma całymi szuflami w zakurzone powietrze. Padały jak zarżnięte ptaki, a kobieta stała w dole niby mała dziewczynka wśród martwych ciał.

Montag nie zrobił nic. To jego dłoń zrobiła wszystko, jego ręka z własnym mózgiem, ze świadomością i ciekawością w każdym drżącym palcu stała się złodziejem. Teraz przesunęła książkę pod ramię, przycisnęła ją mocno do spoczonej pachy, wysunęła się pusta z magicznym wywijasem. Patrzcie! Niewinna! Patrzcie!

Wstrząśnięty wpatrywał się w tę białą dłoń. Wyciągnął ją daleko, jak by był dalekowiedzem. Przysunął ją blisko, jak by był ślepy.

— Montag!

Wzdrygnął się.

— Nie stój tam jak idiota!

Książki leżały niby stopy ryb przeznaczonych do suszenia. Ludzie tańczyli, poślizgiwali się i przewracali na nie. Tytuły połyskiwały swymi złotymi oczyma, padały, znikaly.

— Nafty!

Pompowali chłodny płyn z oznaczonych numerem 451 zbiorników, które mieli na plecach. Zaleli każdą książkę, wypełnili pokoje.

Popędzili na dół, a Montag, potykając się, za nimi, w oparach nafty.

— Chodź, kobieto!

Kobieta klęczała wśród książek, dotykając przemoczonej skóry i tektury, czytając pozłacane tytuły palcami, podczas gdy jej oczy oskarżały Montaga.

— Nie możecie zabrać mi moich książek — powiedziała.

— Znasz prawo — rzekł Beatty. — Gdzie twój zdrowy rozsądek? Żadna z tych książek nie zgadza się z drugą. Byłaś tu zamknięta od lat w prawdziwej wieży Babel. Zostaw to! Ludzie z tych książek nigdy nie żyli. Chodź teraz!

Potrząsnęła głową.

— Cały ten dom będzie spalony — rzekł Beatty.

Strażacy niezgrabnie podeszli do drzwi. Zerkali na Montaga, który stał koło kobiety.

— Przecież nie zostawicie jej tutaj? — zaprotestował.

— Kiedy nie chce iść.

— No, to ją zmuscie!

Beatty podniósł dłoń, w której krył się zapalacz.

— Musimy wracać do strażnicy — rzekł. — Poza tym ci fanatycy zawsze próbują samobójstwa. Stara historia.

Montag położył dłoń na łokciu kobiety. — Może pani iść ze mną?

— Nie — powiedziała. — W każdym razie dziękuję panu.

— Liczę do dziesięciu — odezwał się Beatty. — Jeden. Dwa.

— Proszę — nalegał Montag.

— Odejdź — rzekła kobieta.

— Trzy. Cztery.

— Dalej. — Montag szarpnął kobietę.

Kobieta odpowiedziała spokojnie.

— Chcę tu zostać.

— Pięc. Sześć.

— Może pan nie liczyć dalej — rzekła. Rozwarła lekko palce jednej dłoni. A na tej dłoni był jeden mały przedmiot.

Zwykła kuchenna zapalka.

Na jej widok strażacy rzucili się do ucieczki. Kapitan Beatty zachowując swą godność wycofał się z wolna przez frontowe drzwi, jego różowa twarz była rozpalona i polyskująca od tysiąca pożarów i nocnych podnieceń. Boże, pomyślał Montag, przecież to prawda! Alarmy zawsze odbywają się w nocy. Nigdy za dnia! Czy to dlatego, że nocą ogień piękniej wygląda? Lepszy spektakl, ładniejszy pokaz? Na różowej twarzy Beatty'ego widniał teraz lekki odcień przerażenia. Dłoń kobiety zwinęła się wokół pojedynczej zapalki. Opary nafty rozkwitwały wokół niej. Montag czuł, że ukryta książka łomocze jak serce o jego pierś.

— Odejdź — powiedziała kobieta i Montag uświadomił sobie, że wycofuje się coraz dalej ku drzwiom, za Beattym, po schodach, przez trawnik, gdzie nafciana ścieżka biegła jak ślad jakiegoś jadowitego węża.

Kobieta wyszła na frontowy ganek i mierzyła ich spokojnie oczami, a jej spokój był potępieniem. Stała bez ruchu.

Beatty poruszył palcami, by podpalić naftę.

Spóźnił się. Montag wstrzymał oddech.

Kobieta na ganku wychyliła się z pogardą i potarła zapalką o barierę.

Ludzie wybiegali z domów na ulicę.

Nie mówili nic podczas powrotu do strażnicy. Nie patrzyli na siebie. Montag siedział na przednim siedzeniu z Beattym i Blackiem. Nie palili nawet fajek. Siedzieli tylko patrząc przez szybę wielkiej salamandry, gdy zakręcili na rogu i milcząco jechali dalej.

— Mistrzu Ridley — odezwał się wreszcie Montag.

— Co? — spytał Beatty.

— Powiedziała: „Mistrzu Ridley”. Powiedziała jakąś dziwną rzecz, kiedy weszliśmy. „Bądź mężczyzną — powiedziała. — mistrzu Ridley.” Coś takiego, coś, coś...

— „Z Bożą pomocą zapalimy dziś w Anglii taką świecę, że, jak wierzę, nigdy nie da się jej zagasić” — rzekł Beatty. Stoneman zerknął na kapitana, Montag również.

Beatty potarł podbródek. — Pewien człowiek nazwiskiem Latimer powiedział to do innego, który się nazywał Nicholas Ridley, kiedy palono ich żywcem w Oksfordzie za herezję, 16 października 1555 roku.

Montag i Stoneman patrzyli znowu na ulicę przesuwającą się pod kołami maszyny.

— Mam w głowie pełno różnych kawałków i okruchów — powiedział Beatty.
— Większość kapitanów straży ogniowej musi być taka. Czasami zadziwiam samego siebie. Uważaj, Stoneman!

Stoneman zahamował wóz. — Cholera! — zaklął Beatty. — Minąłeś ulicę, gdzie skręcamy do strażnicy.

— Kto tam?

— A kto może być — odpowiedział pytaniem Montag, opierając się w ciemności o zamknięte drzwi.

Jego żona odezwała się wreszcie: — Dobrze, zapal światło.

— Nie chcę światła.

— No, to kładź się do łóżka.

Słyszał, jak żona przewraca się niecierpliwie, sprężyny skrzypiały.

— Jesteś pijany? — spytała.

A więc to ta ręka zaczęła wszystko. Czuł, że jedna ręka, a potem druga rozpina marynarkę, a później puszcza ją na podłogę. Wyciągnął spodnie nad otchłanią i z kolei pozwolił im upaść w ciemność. Jego dłonie zostały więc zainfekowane i niebawem to samo stanie się z ramionami. Czuł, że trucizna rozszerza się do jego przegubów, łokci i barków, a potem przeskok — od jednej łopatki do drugiej — jak iskra przeskakująca między dwoma biegunami. Jego dłonie, były zgłodniałe. A jego oczy zaczynały odczuwać głód, jak gdyby musiały patrzeć na coś, na wszystko.

Żona spytała: — Co ty tam robisz?

Balansował w przestrzeni z książką w spoconych zimnych palcach.

W minutę później powiedziała: — No, nie stój tam, na samym środku pokoju.

Wydał z siebie jakiś cichy dźwięk.

— Co? — spytała.

Odpowiedział serią cichych dźwięków. Potoczył się ku łóżku i niezdarnie wsunął książkę pod chłodną poduszkę. Padł na łóżko, a jego żona krzyknęła, wystraszona. Leżał od niej daleko, po drugiej stronie pokoju, na zimowej wyspie, oddzielonej pustym morzem. Mówiła do niego, jak mu się zdawało, przez długą chwilę, mówiła o tym i owym, a były to tylko słowa, jak słowa, które słyszał kiedyś w pokoju dziecinnym, wypowiedziane przez dwuletnie dziecko budujące kształty słów, gaworzące po dziecinnemu, czyniące piękne dźwięki i po długiej chwili spostrzegł, że Mildred porusza się po pokoju, podchodzi do jego łóżka i kładzie mu rękę na policzku. Wiedział, że gdy zdjęła mu rękę z policzka, jej dłoń była mokra.

Późno w nocy spojrzął na Mildred. Nie spała. Cichutka melodia tańczyła w powietrzu, muszelka znów tkwiła w jej uchu, a Mildred słuchała odległych ludzi w odległych miejscach, jej oczy były otwarte i wpatrzone w sążnie ciemności nad nią, na suficie.

Czy nie istnieje stary dowcip o żonie, która tak wiele rozmawiała przez telefon, że jej zrozpaczony małżonek pobiegł do najbliższego sklepu i zatelefonował do niej, żeby zapytać, co będzie na obiad? Dobrze, dlaczegoś nie kupił sobie radiomuszli nadawczej i nie mówisz do swojej żony późno w nocy, pomrukiem, szeptem, krzykiem, wrzaskiem, wyciem? Ale o czym byś szeptał, co byś wył? Co możesz powiedzieć?

I nagle ona stała się tak obca, aż nie mógł uwierzyć, że ją w ogóle zna. Znajdował się w czyimś domu, jak w tym innym dowcipie o jegomościu, który wrócił po pijanemu do domu w nocy, otworzył niewłaściwe drzwi, wszedł do cudzego pokoju, spał z obcą kobietą i wyszedł rano do pracy, a żadne z nich nic nie spostrzegło.

— Millie...? — szepnął.

— Co?

— Nie chciałem cię przestraszyć. Chciałbym tylko wiedzieć...

— No?

— Kiedyśmy się spotkali? I gdzie?

— Kiedyśmy się spotkali, po co? — zapytała.

— Chciałem wiedzieć... po raz pierwszy.

Wiedział, że marszczy czoło w ciemności.

Wyjaśnił dalej. — Kiedyśmy się po raz pierwszy spotkali, gdzie to było i kiedy?

— No, to było w...

Utknęła.

— Nie wiem — rzekła.

Zrobiło mu się zimno. — Nie możesz sobie przypomnieć?

— To już tak dawno.

— Tylko dziesięć lat, tylko dziesięć!

— Nie denerwuj się, daj mi pomyśleć. — Zaśmiała się dziwnym śmieszkiem, który wznosił się i opadał. — Zabawne, jakie to zabawne, żeby nie pamiętać, gdzie i kiedy się spotkało własną żonę albo własnego męża.

Leżał, powoli przecierając sobie oczy, czoło i kark. Obiema rękami zasłaniał oczy i uciskał je, jak by chciał wcisnąć pamięć na miejsce. Nagle zapragnął wiedzieć ponad wszystko w życiu, gdzie poznał Mildred.

— Nie ma znaczenia. — Teraz była w łazience. Słyszał szum wody, a potem słyszał, że żona coś przetyka.

— Nie, chyba nie — powiedział.

Usiłował liczyć, ile razy przełknęła, i myślał o odwiedzinach dwóch mężczyzn o cynkowych twarzach, z papierosami w wąskich ustach, i wężu o elektronowym oku wpeł-

zającym w dół przez warstwy nocy i kamienia, i zatęchłej źródlanej wody. Chciał zawołać do niej: Ile już zażyłaś dziś w nocy pastylek! Ile weźmiesz jeszcze nie wiedząc o tym? I tak dalej, co godzina! Albo może nie dziś w nocy, jutro w nocy! A ja nie będę spał dziś w nocy ani jutro w nocy przez długi czas, teraz, kiedy się to zaczęło! I myślał o niej, jak leżała na łóżku, i dwóch technik stojących prosto nad nią, nie pochyłonych z zainteresowaniem, ale tylko stojących prosto z założonymi rękami. I przypomniał sobie, jak myślał, że jeśli umrze, to on z pewnością nie będzie płakał, gdyż byłaby to śmierć nieznamomej, twarzy z ulicy, fotografii gazetowej. I nagle wydało mu się to tak bardzo złe, że zaczął wtedy płakać, nie ze względu na śmierć, lecz na myśl o tym, że mógłby nie płakać ze względu na śmierć, głupi pusty mężczyzna obok głupiej pustej kobiety, podczas gdy głodny wąż czynił ją jeszcze bardziej pustą.

Jak człowiek staje się tak pusty? — dziwił się. Kto go tak wysysa? I ten okropny kwiat następnego dnia, ten mniszek! To podsumowało wszystko, prawda? „Co za wstyd! Pan nikogo nie kocha!” A dlaczego nie?

No, czy nie istnieje ściana między nim a Mildred, jeśli o to chodzi? Dosłownie nie tylko jedna ściana, ale, na razie, trzy! A jakie przy tym kosztowne! A ciocie, wujowie, kuzyni, siostrzenice, siostrzeńcy, którzy żyją w tych ścianach, bełkocząca gromada małą, która nie mówi nic, nic, nic, a mówi to głośno, głośno, głośno. Zaczął nazywać ich „rodzinką” od samego początku. „Jak się czuje dzisiaj wuj Louis?” „Kto?” „A ciocia Maude?” Najbardziej ważne wspomnienie, jakie miał o Mildred naprawdę, to jako o małej dziewczynce w borze bez drzew (jakie dziwne!) albo raczej małej dziewczynce zagubionej na płaskowyżu, gdzie kiedyś były drzewa (można było dokoła wyczuć wspomnienie o ich kształtach), siedzącej w środku „izby mieszkalnej”. Izby mieszkalnej — jaka doskonała współczesna etykieta. Kiedykolwiek wracał do domu, ściany zawsze mówiły do Mildred:

- Coś trzeba zrobić!
- Tak, coś trzeba zrobić!
- Dobrze, nie stójmy tu i nie gadajmy!
- Zróbmy coś!
- Jestem taki wściekły, że chce mi się splunąć!

O czym to wszystko? Mildred nie mogła powiedzieć. Kto był wściekły i na kogo? Mildred nie bardzo wiedziała. Co mieli robić? No, mówiła Mildred, poczekaj, to zobaczysz.

Czekał więc, by zobaczyć.

Burza dźwięków buchała ze ścian. Muzyka bombardowała go z taką gwałtownością, że niemal wyrывała kości ze ścięgien. Miał wrażenie, że szczęka mu wibruje, że oczy kołują w głowie. Był ofiarą zderzenia. Kiedy się to kończyło, czuł się jak człowiek, którego zrzucono ze skały, kręcono na wirówce i ciśnięto później w wodospad, który spa-

dał i spadał w próżnię i próżnię, i nigdy — prawie — nie dotykał dna — nigdy — nigdy — prawie — nie, nie prawie — nie dotykał dna... i spadał tak prędko, że nie dotykał również brzegów... nigdy... prawie... nie dotykał czegokolwiek.

Pioruny milkły. Muzyka zamierała.

— Koniec — mówiła Mildred.

I to było naprawdę godne uwagi. Coś się działo. Jeśli nawet ludzie na ścianach pokoju ledwie się ruszyli i nic właściwie nie zostało rozstrzygnięte, odnosiło się wrażenie, że ktoś włączył gigantyczną pralkę albo wsysał cię w gigantyczną próżnię. Topiłeś się w muzyce i czystej kakofonii. Montag wychodził z pokoju pocąc się, na granicy omdlenia. Za nim Mildred siedziała nadal w swym fotelu, a głosy zaczynały na nowo:

— No, teraz wszystko będzie w porządku — mówiła „ciocia”.

— Nie bądź taka pewna — mówił „kuzyn”.

— No, tylko się nie denerwuj!

— Kto się denerwuje?

— Ty!

— Ja?

— Jesteś wściekły.

— Dlaczego mam być wściekły?

— Dlatego!

— To wszystko bardzo pięknie! — krzyczał Montag. — Ale o co oni są wściekli? Kim są ci ludzie? Kim jest ten mężczyzna i ta kobieta? Czy to mąż i żona, czy rozwiedzeni, narzeczeni, co? Dobry Boże, przecież tu się nic nie trzyma kupy.

— Oni... — mówiła Mildred. — Więc oni, oni się pokłócili, widzisz. Oni w ogóle dużo się kłócą. Powinieneś słuchać. Zdaje się, że to małżeństwo. Tak, to małżeństwo. No?

I jak by trzy ściany nie wystarczały, rychło miało być ich cztery, by spełnić marzenie do końca, i był otwarty wóz, a Mildred pędziła po mieście z szybkością stu mil na godzinę, on krzyczał do niej a ona do niego i oboje usiłowali usłyszeć, co się mówi, ale słyszeli tylko ryk wozu. — Przynajmniej trzymaj się minimum! — wrzeszczał. — Co? — krzyczała. — Zwolnij do pięćdziesięciu pięciu mil, minimum — krzyczał. — Że co? — pisnęła przeraźliwie. — Szybkość! — wrzasnął. A ona dodała gazu do stu pięciu mil pozbawiając go tchu w piersi.

Kiedy wyszli z wozu, miała uszy zapchane muszelkami.

Milczenie. Tylko wiatr poświstywał miękko.

— Mildred. — Poruszył się na łóżku.

Sięgnął i wyciągnął maleńkiego owada z jej ucha.

— Mildred... Mildred?

— No? — Jej głos był słabiutki.

Czuł, że jest jednym z tych stworów wepchniętych elektronowo w szczeliny fono-he-liochromowych ścian, że mówi, lecz mowa nie przenika kryształowej bariery. Mógł jedynie rozmawiać na migi, mając nadzieję, że się odwróci i ujrzy go. Nie mogli się dotknąć przez szkło.

— Mildred, czy znasz tę dziewczynę, o której ci opowiadałem?

— Jaką dziewczynę? — Prawie usnęła.

— Tę dziewczynę z sąsiedniego domu.

— Jaką dziewczynę z sąsiedniego domu?

— No, wiesz, tę gimnazistkę. Ma na imię Klarysa.

— Ach tak — powiedziała jego żona.

— Nie widziałem jej od kilku dni... od czterech dni, mówiąc dokładnie. Nie widziałś jej?

— Nie.

— Chciałem z tobą o niej pomówić. Jest dziwna.

— Och, wiem, o kogo ci chodzi.

— Myślałem, że powinnaś wiedzieć.

— Ona... — powiedziała Mildred w ciemnym pokoju.

— Co z nią? — spytał Montag.

— Miałam ci powiedzieć. Zapomniałam.

— Powiedz mi teraz. Co się stało?

— Zdaje się, że jej nie ma.

— Nie ma?

— Cała rodzina gdzieś się wyprowadziła. Ale jej nie ma na dobre. Zdaje się, że nie żyje.

— Chyba mówisz o kimś innym?

— Nie. To ta sama. McClellan. McClellan. Samochód ją przejechał. Cztery dni temu. Nie jestem pewna. Ale zdaje się, że nie żyje. Rodzina wyprowadziła się w każdym bądź razie. Nie wiem. Ale myślę, że nie żyje.

— Nie jesteś tego pewna?

— Nie. Nie całkiem. Ale dość pewna.

— Dlaczego nie powiedziałaś mi przedtem?

— Zapomniałam.

— Cztery dni temu!

— Zapomniałam o tym zupełnie.

— Cztery dni temu — powtórzył spokojnie, leżąc bez ruchu.

Leżeli w ciemnym pokoju nie ruszając się. — Dobranoc — powiedziała.

Usłyszał delikatny szelest. Jej ręka drgnęła. Elektryczny napastrzek poruszył się jak ważka na poduszce pod dotknięciem jej dłoni. Teraz znów tkwił pomrukując w jej uchu.

Nasłuchiwał, a żona nuciła pod nosem.

Za ścianami domu poruszał się cień, jesienny wiatr zrywał się i zanikał. Ale było coś jeszcze w ciszy, którą słyszał. Coś jak oddech muskający okno. Coś jak lekka fosforyzująca chmura, ruch jednego ogromnego październikowego liścia poruszającego się po trawniku tam i z powrotem.

Pies, pomyślał. Wypuścili go dzisiaj. Jest tu za ścianą. Gdybym otworzył okno...

Nie otworzył okna.

Rano miał dreszcze i gorączkę.

— Nie możesz być chory — powiedziała Mildred.

Zamknął rozgorączkowane oczy. — Jestem chory.

— Ale wczoraj w nocy byłeś zupełnie zdrow.

— Nie, nie byłem zdrowy. — Słyszał „rodzinkę” wrzeszczącą w salonie.

Mildred z zaciekawieniem stała nad jego łóżkiem. Czuł ją tam, widział nie otwierając oczu, jej włosy spalone chemikaliami na kruchą słomę, jej oczy jak by zasnuwane kataraktą, niewidzialną, ale pewnie ukrytą głęboko za źrenicami, uszminekowane wydęte wargi, ciało wązkie wychudzone przez dietę i białe jak słonina. Nie pamiętał już, jaka była, gdy była inna.

— Przyniesiesz mi aspiryny i wody?

— Musisz wstać — powiedziała. — Już jest południe. Spałeś pięć godzin dłużej niż zwykle.

— Wyłączysz salon? — spytał.

— To przecież moja „rodzinka”.

— Nie wyłączysz jej dla chorego męża?

— Dobrze, ściszę trochę.

Wyszła, z pokoju i wróciła nic nie zmieniawszy. — Czy tak lepiej?

— Dziękuję.

— To mój ulubiony program — powiedziała.

— A co z aspiryną?

— Nigdy dotychczas nie chorowałeś. — Wyszła znowu.

— No, ale teraz jestem chory. Nie pójdę wieczorem do pracy. Zadzwoń w moim imieniu do Beatty’ego.

— Zachowywałeś się dziwnie tej nocy. — Wróciła nucąc pod nosem.

— A gdzie aspiryna? — Spojrzył na szklankę wody, którą mu podała.

— Och. — Wyszła znowu do łazienki. — Czy coś się stało?

— Pożar, nic więcej.

— Miałam przyjemny wieczór — powiedziała w łazience.

— Co robiłaś?

— Patrzałam w salonie.

— Co dawali?

— Programy.

— Jakie programy?

— Te z najlepszych.

— Kto?

— Ach, wiesz, ta cała paczka.

— Tak, cała paczka, paczka, paczka. — Przycisnął bolące oczy i nagle zapach nafty zmusił go do wymiotów.

Mildred wróciła nucąc. Była zaskoczona. — Dlaczego to zrobiłeś?

Popatrzył z obrzydzeniem na podłogę. — Spaliliśmy starą kobietę razem z jej książkami.

— Dobrze, że to da się wyczyścić. — Wzięła szczotkę i zaczęła sprzątać dywan.

— Byłam wczoraj u Heleny.

— A nie masz własnego salonu do oglądania?

— Pewnie, ale przyjemnie jest kogoś odwiedzić.

Wyszła do salonu. Słyszał, jak śpiewa.

— Mildred! — zawołał.

Wróciła śpiewając, pstrykając lekko palcami do taktu.

— Nie spytasz się mnie o wczorajszą noc? — rzekł.

— No, więc co?

— Spaliliśmy tysiąc książek. Spaliliśmy kobietę.

— Więc?

Salon eksplodował hałasem.

— Spaliliśmy książki Dantego, Swifta i Marka Aureliusza.

— To zdaje się Europejczyk?

— Coś w tym rodzaju.

— Czy to nie był radykał?

— Nigdy go nie czytałem.

— To był radykał. — Mildred ociągała się przy telefonie. — Nie chcesz chyba, żebym dzwoniła do kapitana Beatty, co?

— Musisz!

— Nie krzycz!

— Nie krzyczę. — Poderwał się na łóżku, nagle rozwścieczony, czerwony, drżący. Salon ryczał w gorącym powietrzu. — Nie mogę do niego zadzwonić. Nie mogę mu powiedzieć, że jestem chory.

— Dlaczego?

Dlatego, że się boję, pomyślał. Dziecko udające chorobę. Bojące się dzwonić, ponieważ po chwili dyskusji rozmowa będzie wyglądała następująco: „Tak, kapitanie, już się czuję lepiej. Przyjdę o dziesiątej wieczorem.”

— Nie jesteś chory — powiedziała Mildred.

Montag opadł na łóżko. Sięgnął dłonią pod poduszkę. Ukryta książka tkwiła tam nadal.

— Mildred, co by to było, gdybym, no... na pewien czas rzucił moją pracę?

— Chcesz teraz rzucić wszystko? Po tylu latach pracy, ponieważ jednej nocy jakaś kobieta i jej książki...

— Gdybyś ją widziała, Millie!

— Ona jest dla mnie niczym. Nie powinna była mieć tych książek. Sama za to odpowiada, mogła o tym pomyśleć. Nienawidzę jej. Wyprowadziła cię z równowagi, a ty zaraz myślisz rzucić wszystko, zostać bez domu, bez pracy, bez niczego.

— Nie byłeś tam, nie widziałeś — powiedział. — Coś musi być w książkach, coś, czego nie możemy sobie wyobrazić, by zmusić kobietę, ażeby została w płonącym domu. Coś w tym musi być. Ty byś nie została za nic.

— To idiotka.

— Była równie rozsądna jak ty i ja, może nawet więcej, a my ją spaliliśmy.

— To są dla mnie bzdury. Woda.

— Nie, nie woda. Ogień. Widziałeś kiedy spalony dom? Tli się całymi dniami. Ten ogień będzie trwał we mnie do końca mojego życia. Boże! Próbowałem go zagasić w mojej duszy przez całą noc, całą noc. Jestem całkiem obłąkany od tych prób.

— Trzeba było o tym pomyśleć, zanim zostałeś strażakiem.

— Pomyśleć! — krzyknął. — Czy miałem jakiś wybór? Mój dziadek i ojciec byli strażakami. Poszedłem za nimi jak lunatyk.

Salon grał melodię taneczną.

— Dziś idziesz na wczesną zmianę — rzekła Mildred. — Powinieneś był wyjść już przed dwiema godzinami. Właśnie teraz mi się przypomniało.

— To nie tylko ta kobieta, która umarła — powiedział Montag. — Dziś w nocy myślałem o tej całej nafcie, którą zużyłem przez dziesięć lat. I myślałem o książkach. I po raz pierwszy uświadomiłem sobie, że za każdą z tych książek stoi jakiś człowiek. Jakiś człowiek musiał ją wymyślić. Jakiś człowiek przez długi czas musiał ją spisywać na papierze. A nigdy dotychczas nad tym się nie zastanawiałem.

Wstał z łóżka.

— Jakiemuś człowiekowi może zajęło całe życie spisanie tych myśli, obserwowanie świata i ludzi, a potem przychodzę ja i w dwie minuty ciach! wszystko skończone.

— Daj mi spokój — powiedziała Mildred. — Nic nie zrobiłam.

— Dać ci spokój! To bardzo ładnie, ale jak mogę dać spokój samemu sobie? Nam nie potrzeba spokoju. Potrzeba nam, by nas naprawdę dręczyło coś od czasu do czasu. Jak dawno naprawdę się martwiłaś? O coś ważnego, o coś realnego?

A potem przestał mówić, gdyż przypomniał sobie miniony tydzień i dwa białe kamienie wpatrujące się w sufit, i węża pompy z badawczym okiem, i dwóch mężczyzn o mydlanych twarzach, z papierosami poruszającymi się w ustach, kiedy mówili. Ale to była inna Mildred, ukryta tak głęboko wewnątrz tej Mildred i tak udręczona, naprawdę udręczona, że te dwie kobiety nigdy się nie spotkały. Odwrócił się.

Mildred powiedziała: — No i teraz się doigrałeś. Popatrz no, kto zajechał przed nasz dom.

— Nic mnie to nie obchodzi.

— Właśnie podjechał samochód z feniksem i mężczyzna w czarnej koszuli z pomarańczowym węzem wyhaftowanym na ramieniu idzie już do drzwi.

— Kapitan Beatty? — spytał.

— Kapitan Beatty.

Montag nie poruszył się, lecz stał wpatrując się w chłodną biel znajdującej się tuż przed nim ściany.

— Idź i wpuść go, dobrze? Powiedz mu, że jestem chory.

— Sam mu powiedz! — Zrobiła kilka kroków w jedną stronę, kilka w przeciwną i stanęła z rozszerzonymi oczami, kiedy automat przy frontowych drzwiach zawołał jej nazwisko bardzo miękko: „Pani Montag, pani Montag, ktoś przyszedł, ktoś przyszedł, pani Montag, pani Montag, ktoś przyszedł”.

Głos zamilkł.

Montag upewnił się, że książka jest dobrze ukryta pod poduszką, powoli wrócił do łóżka, przykrył się w pół siedzącej pozycji, a po chwili Mildred wyszła z pokoju i wkroczył kapitan Beatty z rękami w kieszeniach.

— Wyłącz pani tę „rodzinkę” — powiedział Beatty patrząc na wszystko dokoła, wyjąwszy Montaga i jego żonę.

Tym razem Mildred ruszyła biegiem. Piskliwe głosy przestały wrzeszczeć w salonie.

Kapitan Beatty usiadł w najwygodniejszym fotelu ze spokojnym wyrazem na swej ogorzałej twarzy. Powoli nabił i zapalił mosiężną fajkę i wypuścił wielki kłąb dymu.

— Pomyślałem sobie, że przyjadę i zobaczę, jak się czuje chory.

— W jaki sposób się pan domyślił?

Beatty uśmiechnął się ukazując swe cukierkowato różowe dziąsła i cukierkowatą biel zębów. — Widziałem to. Miałeś zamiar zadzwonić z prośbą o wolną noc.

Montag usiadł w łóżku.

— Dobra — powiedział Beatty. — Weź sobie wolną noc! — Przyglądał się pudełku wiecznych zapalek, na którego wieczku był napis: „Gwarancja — zapala się milion razy”

— i zaczął bezmyślnie pocierać chemiczną zapalną, zdmuchiwać, pocierać, zdmuchiwać, pocierać, mówić kilka słów, zdmuchiwać. Patrzył na płomyk. Zdmuchnął, popatrzył na dym. — Kiedy wyzdrowiejesz?

— Jutro. Może pojutrze. W poniedziałek.

Beatty ssał swą fajkę. — Każdy strażak przechodzi przez to wcześniej czy później. Potrzebuje tylko zrozumienia, by wiedzieć, jak się toczy świat. Musi znać historię naszego zawodu. Teraz nie szkolą rekrutów, tak jak dawniej. Cholerny błąd. — Kłęb dymu. — Tylko naczelnicy straży pamiętają teraz te rzeczy. — Kłęb dymu. — Ja cię w to wprowadzę.

Mildred kręciła się nerwowo.

Beatty'emu zajęło całą minutę wygodne usadowienie się i przystąpienie do rzeczy.

— Pytasz, kiedy się to wszystko zaczęło, ta nasza praca, jak do tego doszło, gdzie, w jakim czasie? Dobra, więc powiem, że właściwie zaczęło się to w okresie tak zwanej wojny domowej. Nawet jeśli nasz regulamin twierdzi, że straż założono wcześniej. Faktem jest, że nie rozwijaliśmy się właściwie, póki fotografia nie osiągnęła właściwego poziomu. Potem... film w początkach dwudziestego stulecia. Radio. Telewizja. Wszystko zaczęło przybierać skalę masową.

Montag siedział w łóżku, nie ruszając się.

— Ponieważ wszystko było masowe, stało się prostsze — mówił Beatty. — Niegdyś książki zwracały się do niewielu ludzi, rozproszonych tu i ówdzie. Mogły sobie pozwolić na odrębność. Świat był obszerny. Ale potem świat stał się pełen oczu, łokci i ust. Podwójny, potrójny, poczwórny wzrost zaludnienia. Filmy, audycje radiowe i czasopiśma zniżyły się w pewnym sensie do poziomu jakiegoś normatywu na proszek puddingowy, rozumiesz mnie?

— Chyba tak.

Beatty przyglądał się smugom dymu, który rozwiesił w powietrzu. — Wyobraź sobie, że wyświetlasz film. Człowiek dziewiętnastego stulecia ze swymi końmi, psami, powozami, powolnym tempem. Potem w dwudziestym stuleciu nastaw aparat na szybsze tempo. Książki się skraca. Streszczenia. Wybory. Sensacyjne dzienniki. Wszystko skondensowane w dowcipie, wszystko zmierza do błyskawicznego zakończenia.

— Zakończenia — skinęła Mildred.

— Klasyków obcina się, by ich dopasować do piętnastominutowych audycji radiowych, następnie obcina dalej, by tekst zmieścił się na szpalcie, której przeczytanie zajmuje dwie minuty, a wreszcie wyciska się do dziesięcio — czy dwunastowierszowego streszczenia w słowniku. Przesadzam oczywiście. Słowniki były dla informacji. Ale istniało wielu ludzi, których jedyna wiedza o Hamlecie (znasz na pewno ten tytuł, Montag, choć pani on chyba ledwie obił się o uszy, pani Montag), których jedyna, jak powiadam, wiedza o Hamlecie ograniczała się do jednostronicowego streszczenia w książce: „Teraz

nareszcie możecie przeczytać wszystkich klasyków i utrzymać się na równym poziomie z waszymi sąsiadami.” Rozumiesz? Z pokoju dzieciennego do uniwersytetu i z powrotem do pokoju dzieciennego, oto nasz intelektualny schemat przez ostatnie pięć stuleci czy nawet więcej.

Mildred wstała i zaczęła kręcić się po pokoju, biorąc różne przedmioty i kładąc je znowu na miejsce. Beatty nie zwracał na nią uwagi i kontynuował:

— Puść teraz nasz film, Montag, jeszcze szybciej. Trzask prask, pif paf, buch, bach, szach mach, wyjdź, wejdź, czego, jak, gdzie, co, ech? Uch! Buch! Bij! Pierz! Bierz! Wiej! Lej! Bim, bam, bum! Streszczenia streszczeń, streszczenia streszczeń streszczeń. Polityka? Jedna szpalta, dwa zdania, tytuł! Nagle wszystko znika! Obracaj umysł człowieka tak szybko wśród wirujących rąk redaktorów, eksploatatorów, radiowców, że centryfuga odrzuca wszelką niepotrzebną, zajmującą czas myśl!

Mildred wygładzała prześcieradło na łóżku. Montag czuł, jak jego serce podskoczyło, gdy wyrównywała poduszkę. Teraz wzięła go za ramię, żeby się odsunął, tak by mogła wyciągnąć poduszkę, poprawić ją i położyć z powrotem — a może wykrzyknąć przy tym albo wytrzeszczyć oczy czy po prostu sięgnąć ręką i spytać: „Co to jest?” — i ze wzruszającą niewinnością pokazać ukrytą książkę.

— Czas nauki skrócono, programy zredukowano, zarzucono filozofię, historię i języki, angielski i ortografię stopniowo lekceważono coraz bardziej, aż wreszcie prawie kompletnie zignorowano. Wzrasta tempo życia, liczy się posada, po pracy rozrywka. Po co uczyć się czegokolwiek poza naciskaniem guzików, przekręcaniem kontaktów, dociskaniem śrubek i nakrętek?

— Pozwól mi poprawić poduszkę — powiedziała Mildred.

— Nie! — szepnął Montag.

— Zamek błyskawiczny zastępuje guziki, a człowiek już nie ma nawet czasu, by myśleć ubierając się o świcie — podczas owej filozoficznej godziny a stąd melancholijnej godziny.

Mildred powiedziała: — Pozwól.

— Odejdź — rzekł Montag.

— Życie staje się wielkim młynem, Montag: zostaje tylko łup, cup i ojej!

— Ojej — powiedziała Mildred szarpiąc poduszkę.

— Na miłość boską, daj mi spokój! — krzyknął Montag wściekle.

Beatty otworzył szeroko oczy.

Dłoń Mildred zastępną pod poduszką. Jej palce wymacały zarysy książki i gdy pojęła, co oznacza ten kształt, na jej twarzy odbiło się zaskoczenie, a potem osłupienie. Usta otworzyły się, by zadać pytanie...

— Opróżnij teatry pozostawiając tylko klaunów i wstaw do pokoiów szklane ściany, po których migają piękne barwy jak confetti czy krew, czy, powiedzmy, wiśniak lub wino. Lubisz baseball, prawda, Montag?

— Baseball to przyjemna gra.

Teraz Beatty był prawie niewidoczny, słycać było tylko głos zza zasłony dymu.

— Co to jest? — zapytała Mildred prawie z zachwytem. Montag odepchnął jej rękę.

— Co tam jest?

— Usiądź! — wrzasnął Montag. Odskoczyła z próżnymi lękami. — Rozmawiamy!

Beatty kontynuował, jak by nic się nie zdarzyło. — Lubisz grać w kręgle, prawda, Montag?

— Owszem.

— A golfa lubisz?

— Golf to przyjemna gra.

— Koszykówkę?

— Przyjemna gra.

— Bilard, szermierkę, rugby?

— Wszystko przyjemne gry.

— Więcej sportu dla każdego, więcej zespołowego ducha, radości, a człowiek nie potrzebuje myśleć, co? Organizuj więc i super-organizuj super-super-sporty. Więcej rysunków w książkach. Więcej ilustracji. Umysł chłonie coraz mniej i mniej. Niecierpliwość. Autostrady pełne tłumów pędzących dokądś i nigdzie. Benzynowi uchodźcy. Miasta zamieniają się w hotele dla automobilistów, tłumy nomadów poruszają się z miejsca na miejsce wedle faz księżyca, nocując w pokoju, w którym ty byłeś dziś w południe, a ja wczoraj w nocy.

Mildred wyszła zatraskując za sobą drzwi. Telewizyjne „ciotki” i „wujkowie” zaczęli się śmiać w salonie.

— Weźmy teraz mniejszości w naszej cywilizacji. Im gęściejsze zaludnienie, tym więcej mniejszości. Uważaj, żebyś nie dotknął czymś sympatyków psów, sympatyków kotów, doktorów, adwokatów, kupców, dyrektorów, mormonów, baptystów, unitarystów, potomków Chińczyków, Szwedów, Włochów, Niemców, teksańczyków, brooklińczyków, Irlandczyków, mieszkańców Oregonu czy Meksyku. Ludzie w danej książce, sztuce czy programie telewizyjnym nie reprezentują jakichkolwiek rzeczywistych malarzy, kartografów, mechaników i tym podobnie. Im większy jest twój rynek, Montag, tym mniej możesz się zajmować sprawami dyskusyjnymi, pamiętaj o tym! Wszystkie te drobne mniejszości mniejszości, na które trzeba uważać. Autorzy pełni złych myśli, zatrzaśnijcie swe maszyny do pisania! Autorzy zrobili to. Czasopisma stały się przyjemną mieszanką waniliowej tapioki. Książki, jak mówili ci cholernie snobistyczni krytycy, były jak brudne mydliny. Nic dziwnego, że nikt nie chce kupować książek — mówili krytycy. Lecz publiczność, wiedząc, czego jej potrzeba, wybierając szczęśliwie, pozwoliła przeżyć tylko książkom z komiksami. I trójwymiarowym czasopismom pornograficznym, oczywiście. I to byłoby wszystko, Montag. To nie przyszło od rządu. Początkowo nie było

żadnego nakazu, deklaracji, cenzury. Nie! Technologia, eksploatacja masowa i nacisk mniejszości załatwiły całą sprawę. Bogu dzięki. Dziś dzięki nim możemy być szczęśliwi przez cały czas, wolno człowiekowi czytać komiksy czy pisma fachowe.

— Tak, ale co ze strażakami w takim razie? — zapytał Montag.

— Ach — Beatty pochylił się ku przodowi w delikatnym oparze dymu z fajki. — Cóż łatwiejszego do wytłumaczenia i naturalniejszego? Gdy szkoły zaczęły wypuszczać coraz więcej biegaczy, skoczków, wyścigowców, żuźlowców, kopaczy i chwytaczy, miotaczy i pływaków zamiast badaczy, krytyków, naukowców i twórców, słowo „intelektualista” stało się obelgą, na co zresztą zasługiwało. Człowiek zawsze boi się czegoś nieznanego. Z pewnością pamiętasz chłopca w twojej klasie, który był wyjątkowo „inteligentny”, recytował na wrywki i umiał zawsze odpowiedzieć na pytania, podczas gdy inni siedzieli jak ołowiane bożki i nienawidzili go. I czy właśnie tego chłopca nie wybieraliście sobie do bicia i torturowania po lekcjach? Oczywiście, że tak było. Wszyscy musimy być podobni jeden do drugiego. Wszyscy nie rodzą się wolni i równi, jak Konstytucja powiada, lecz każdego trzeba uczynić równym. Każdy człowiek — wizerunkiem innego człowieka. Wtedy wszyscy są szczęśliwi, bo nie ma gór, by się przed nimi zginać ze strachem i porównywać się z nimi. Taki Książka to naładowana broń w sąsiednim domu. Spal ją. Rozładuj broń. Rozbij mózg człowieka. Skąd wiadomo, kto mógłby się stać celem czytanego faceta? Ja? Nie mam zamiaru znosić tego choćby przez minutę. I tak, kiedy domy stały się całkowicie ogniotrwałe na całym świecie (miałeś rację w swoim przypuszczeniu wczoraj w nocy), niepotrzebni już byli strażacy do dawnych celów. Otrzymali nowe zadania jako strażnicy spokoju naszego ducha, przyrządy naszego zrozumiałego i słusznego strachu, żeby nie okazać się niższymi; stali się oficjalnymi cenzorami, sędziami i egzekutorami. To jesteś ty, Montag, i to jestem ja.

Drzwi do salonu otworzyły się i stanęła w nich Mildred patrząc na Beatty'ego, a potem na Montaga. Za nią ściany pokoju migotały zielonymi, żółtymi i pomarańczowymi fajerwerkami, syczącymi i pękającymi przy akompaniamencie muzyki składającej się prawie wyłącznie z łoskotu bębnów, tam-tamów i cymbałów. Jej usta poruszały się i mówiła coś, ale hałas ją zagłuszał.

Beatty wytrząsnął fajkę na różową dłoń i przyglądał się popiołom, jak by były symbolem, którego znaczenie należy ustalić i zbadać.

— Musisz zrozumieć, że nasza cywilizacja jest tak rozległa, że nie możemy sobie pozwolić na denerwowanie i niepokojenie mniejszości. Zapytaj samego siebie, czego przede wszystkim pragniemy w naszym kraju? Ludzie chcą być szczęśliwi, prawda? Czy nie słyszałeś tego przez całe życie? Chcę być szczęśliwy, mówią wszyscy. No i czy nie są? Czy nie zapewniamy im ruchu, nie zapewniamy im rozrywki? Przecież po to tylko żyjemy, nieprawda? Szukamy przyjemności, szukamy podniet. A musisz przyznać, że nasza kultura dostarcza tego w dużych ilościach.

— Tak.

Montag mógł czytać z ust stojącej w progu Mildred. Starał: się nie patrzeć na jej usta, gdyż wtedy Beatty mógłby się również odwrócić i także odczytać, co Mildred mówi.

— Murzyni nie lubią książki „Mały czarny Sambo”? Spal ją. Białym ludziom nie podoba się „Chata wuja Toma”? Spal ją. Ktoś napisał książkę o tytoniu i raku płuc? Fabrykanci papierosów płaczą? Spal ją. Zadowolenie, Montag. Spokój, Montag. Wyrzuć swe troski za okno. A najlepiej do spalarni. Pogrzeby są ponure i pogańskie? Wyeliminuj je również. W pięć minut po swej śmierci zmarły znajduje się już w drodze do Wielkiego Kanału, spalarnie zaopatrzone w helikoptery rozrzucone są po całym kraju. W dziesięć minut po śmierci człowiek jest garstką czarnego pyłu. Nie troszcz się o jednostki godne upamiętnienia. Zapomnij o nich. Pal wszystkich, pal wszystko. Ogień jest jasny i jest czysty.

Fajerwerki zagasły w salonie za plecami Mildred. I jednocześnie Mildred przestała mówić — cudowny zbieg okoliczności. Montag wstrzymał oddech.

— W sąsiednim domu mieszkała pewna dziewczyna — powiedział wolno. — Teraz jej nie ma, podobno nie żyje. Nie mogę sobie nawet przypomnieć jej twarzy. Ale była inna. Jak... jak ona mogła się zdarzyć?

Beatty uśmiechnął się.

— Tu i ówdzie takie rzeczy się trafiają — powiedział. — Klarysa McClellan? Mamy dossier jej rodziny. Obserwowaliśmy ją starannie. Dziedzictwo i otoczenie to dziwna rzecz. Człowiek nie może się pozbyć swych starych fanaberii w ciągu zaledwie kilku lat. Środowisko domowe może zniszczyć wiele z tego, co wpaja szkoła. Dlatego też obniżamy wiek przedszkolny z roku na rok, tak że teraz porywamy dzieci do przedszkola prawie prosto z kołyski. Mieliśmy kilka fałszywych alarmów o McClellanach, kiedy mieszkali w Chicago. Nigdy nie znaleźliśmy u nich książek. Wujek ma zabazgraną kartotekę: antyspołeczny. Dziewczyna? To była bomba z zapalnikiem zegarowym. Jestem pewny, z tego, co widziałem w jej kartotece szkolnej, że rodzina miała duży wpływ na jej podświadomość. Nie chciała wiedzieć, jak jakaś rzecz jest zrobiona, lecz dlaczego. To bywa niekiedy kłopotliwe. Człowiek zaczyna wciąż pytać dlaczego? I jeśli to trwa dłużej, staje się bardzo nieszczęśliwy. Lepiej dla tej dziewczyny, że umarła.

— Tak, umarła.

— Na szczęście takich dziwaków nie spotyka się często. Wiemy, jak zdusić większość z nich w zarodku. Nie można zbudować domu bez gwoździ i drzewa. Jeśli nie chcesz zbudować domu, schowaj gwoździe i drzewo. Jeśli nie chcesz, by człowiek był nieszczęśliwy z powodu polityki, nie pokazuj mu dwóch stron zagadnienia, by go zdenerwować — pokaż mu tylko jedną stronę. A najlepiej nie pokazuj mu żadnej. Niech zapomni, że istnieje coś takiego jak wojna. Jeśli rząd jest niedołączny, lekkomyślny i zdiera skórę podatkami, lepiej niech taki zostanie, niżby ludzie mieli się martwić z tego powo-

du. Przede wszystkim spokój, Montag. Daj ludziom konkursy, które można wygrywać pamiętając słowa popularnych przebojów, nazwy stolic stanowych i ile kukurydzy wyhodowano w Iowie w ubiegłym roku. Napchaj ich niezapalnymi faktami, wbij w nich tak cholernie pełno suchych faktów, żeby czuli się nasyceni i niebywałe „zdolni” posiadając taką wiedzę. Wtedy będzie im się zdawało, że myślą, i będą mieli poczucie ruchu nie poruszając się. I będą szczęśliwi, ponieważ fakty tego rodzaju nigdy się nie zmieniają. Nie dawaj im żadnego śliskiego materiału w rodzaju filozofii czy socjologii, by wiązała te fakty. W ten sposób osiąga się tylko melancholię. Człowiek, który potrafi rozłożyć na części ścianę telewizyjną i złożyć ją z powrotem, a większość ludzi w dzisiejszych czasach to potrafi, jest szczęśliwszy od tego, który usiłuje obliczyć, zmierzyć i rozwiązać zagadkę wszechświata, bo tego nie da się obliczyć i rozwiązać, a człowiek czuje się potem tylko diabelnie przygnębiony i samotny. Wiem, bo sam próbowałem. Do diabła z tymi A więc bierzmy się do naszych klubów i przyjęć, naszych akrobatów i magików, naszych zabijaków, odrzutowych samochodów, motocyklowych helikopterów, seksu i heroiny. Jak najwięcej wszystkiego, co się łączy z odruchem warunkowym. Jeśli dramat jest zły, jeśli film nie mówi nic, jeśli sztuka jest pusta, zastrzyknij mi wrzask megafonu. Wtedy mi się zdaje, że reaguję na sztukę, choć jest to tylko fizyczny odruch na wi-brację. Ale nie dbam o to. Lubię po prostu solidną rozrywkę.

Beatty wstał.

— Muszę iść — rzekł. — Odczyt skończony. Mam nadzieję, że wszystko wyjaśniłem. Musisz zapamiętać jedną ważną rzecz, Montag: my, ty, ja i inni, jesteśmy dziećmi szczęścia. Przeciwstawiamy się słabemu zresztą naporowi tych, którzy chcą, by wszyscy byli nieszczęśliwi wskutek sprzecznych teorii oraz myśli. My zatykamy palcami szczelinę w grobli. Trzymaj je mocno. Nie pozwól potokowi melancholii i ponurej filozofii zatopić naszego świata. Polegamy na tobie. Pewnie sobie nawet nie uświadamiasz, jak jesteś ważny, jak jesteśmy ważni, dla naszego szczęśliwego świata w jego obecnym kształcie.

Beatty potrząsnął bezwładną ręką Montagą. Montag nadal siedział, jak gdyby dom walił się wokół niego, a on nie mógł się ruszyć w łóżku. Mildred zniknęła w drugim pokoju.

— Jeszcze jedna ostatnia sprawa — powiedział Beatty. — Przynajmniej raz w swojej karierze każdy strażak dostaje czegoś w rodzaju świerzbu. Ciekawi go, co mówią książki. Och, podrapać to swędzenie, co? Otóż, Montag, daję ci na to moje słowo, bo w swoim czasie trochę czytałem, by wiedzieć, z czym będę miał do czynienia, że książki nie mówią nic! Nic, czego byś mógł uczyć innych czy w to wierzyć. Mówią one o nieistniejących ludziach, tworcach wyobraźni, jeśli należą do literatury pięknej. Jeśli nie należą do tej literatury, to jeszcze gorzej: jeden profesor nazywa drugiego idiotą, jeden filozof wrzeszczy, by zagłuszyć drugiego. Wszyscy biegają w kółko strącając gwiazdy i gasząc słońce. Gdy się z nimi zadasz, jesteś stracony.

— No dobrze, a co, jeśli strażak przypadkowo, naprawdę bez żadnych intencji, weźmie sobie do domu książkę?

Montag skurczył się. Otwarte drzwi spoglądały na niego swym wielkim pustym okiem.

— Naturalny błąd. Zwykła ciekawość — powiedział Beatty. — Specjalnie się tym nie niepokoimy ani nie denerwujemy. Pozwalamy strażakowi trzymać książkę przez dwadzieścia cztery godziny, a jeśli jej do tego czasu nie spali, to po prostu przyjeżdżamy, by spalić ją za niego.

— Oczywiście. — Montagowi zaschło w ustach.

— No, więc, Montag. Przyjdiesz dziś na drugą, późniejszą zmianę? Może zobaczymy się dziś w nocy?

— Nie wiem — powiedział Montag.

— Co? — Beatty wyglądał na nieco zaskoczonego.

Montag zamknął oczy. — Przyjdę później. Może.

— Naprawdę będzie cię nam brakowało, gdybyś się nie zjawił — rzekł Beatty w zamysleniu wkładając fajkę do kieszeni.

Nigdy tam nie pójdę, myślał Montag.

— No, to najlepszego — rzekł Beatty. Zawrócił i wyszedł przez otwarte drzwi.

Montag obserwował z okna, jak Beatty odjeżdża w swym jaskrawoczerwonym samochodzie z czarnymi jak węgiel drzewny oponami.

Po drugiej stronie ulicy stały inne domy o płaskich frontowych ścianach. Co to mówiła Klarysa pewnego popołudnia? „Nie ma werand. A ludzie dawniej siadywali na nich wieczorem rozmawiając, kiedy mieli ochotę rozmawiać, kołyszając się na bujakach, albo nie rozmawiali, kiedy nie mieli ochoty rozmawiać. Czasami po prostu siedzieli sobie i rozmyślali o różnych rzeczach, zastanawiali się nad nimi. — Mój wujek powiada, że architekci pozbyli się werand, ponieważ nie wyglądały ładnie. Lecz mój wujek powiada również, że to było tylko racjonalistyczne wyjaśnienie; prawdziwy powód jest raczej inny: po prostu nie chcieli, by ludzie siadywali w ten sposób bez zajęcia, huśtając się i rozmawiając. To była niewłaściwa odmiana życia społecznego. Ludzie rozmawiali za wiele. I mieli czas na myślenie. Tak więc zlikwidowano werandy. I ogródki również. Niewiele już zostało teraz takich ogródków, gdzie by można posiedzieć. I niech pan popatrzy na meble. Nie ma już foteli na biegunach. Były za wygodne. Trzeba było, żeby ludzie wstali i zaczęli biegać dokoła. Mój wujek powiada... i... mój wujek... mój wujek...” — jej głos cichł coraz bardziej i zamilkł.

Montag odwrócił się i popatrzył na swą żonę, która siedziała pośrodku salonu rozmawiając ze spikerem, który z kolei mówił do niej. „Pani Montag” — mówił. Potem kilka zdań. „Pani Montag...” — coś innego i jeszcze innego. Urządzenie konwersyjne, które kosztowało sto dolarów, automatycznie wstawiało jej nazwisko, ilekroć spiker zwracał się do swych anonimowych słuchaczy, pozostawiając puste miejsce, gdzie można było umieścić właściwe sylaby. Specjalny wycinkowy przełącznik falowy zmieniał telewizowany obraz spikera w okolicy ust, by wydawało się, że precyzyjnie wymawia odpowiednie samogłoski i spółgłoski. Był przyjacielem, bez wątpienia, i to dobrym przyjacielem. „Pani Montag, a teraz proszę spojrzeć.”

Odwróciła głowę. Chociaż najwidoczniej nie słuchała.

Montag powiedział: — Jestem tylko o jeden krok od tego, by nie iść dziś do pracy, nie iść do pracy jutro i nigdy więcej nie pracować w strażnicy.

— Pójdiesz do pracy dziś w nocy, co? — spytała Mildred.

— Jeszcze nie zdecydowałem. Teraz mam okropne uczucie, że chciałbym wszystko tłuc i rozbijać.

— Idź, weź samochód.

— Nie, dziękuję.

— Klucze do samochodu leżą na nocnym stoliku. Zawsze jeżdżę szybko, kiedy się czuję w ten sposób. Jeśli człowiek zaczyna robić dziewięćdziesiąt pięć mil na godzinę, od razu czuje się cudownie. Czasami jeżdżę przez całą noc i wracam nad ranem, a ty nic o tym nie wiesz. Za miastem jest wesoło. Człowiek przejeżdża króliki, a niekiedy nawet psa. Idź, weź samochód.

— Nie, nie chcę tym razem. Chciałbym się utrzymać w tym dziwnym nastroju. Boże, ale mnie wzięło. Nie wiem, co to jest. Czuję się cholernie nieszczęśliwy. Jestem wściekły i nie wiem dlaczego. Czuję się, jak bym przybierał na wadze. Czuję się za gruby. Czuję się, jak bym gromadził mnóstwo rzeczy, a nie wiedział co. Mogę nawet zacząć czytać książki.

— Wsadzą cię przecież do więzienia, prawda? — Popatrzyła na niego, jak by się znajdował za szklaną ścianą.

Zaczął się ubierać, krążąc niespokojnie po sypialni.

— Tak, i to byłby dobry pomysł. Zanim zrobię komuś krzywdę. Słyszałaś Beatty'ego? Słyszałaś, co on mówi? To mądry facet. Ma rację. Szczęście jest ważne. Przyjemność to wszystko. A jednak siedziałem, powtarzając sobie: Nie jestem szczęśliwy. Nie jestem szczęśliwy.

— A ja jestem — Mildred promieniała. — I czuję się z tego dumna.

— Muszę coś zrobić — powiedział Montag. — Nawet nie wiem jeszcze co, ale zrobię coś wielkiego.

— Mam już po same uszy słuchania takich bzdur — rzekła Mildred znowu zwracając się do spikera.

Montag nacisnął guzik w ścianie i spiker oniemiał.

— Millie? — Zrobił przerwę. — To jest twój dom tak samo jak mój. Zdaje mi się, że powinienem ci teraz coś powiedzieć. Właściwie powinienem cię o tym zawiadomić już wcześniej, ale nie chciałem się do tego przyznać nawet sam przed sobą. Mam coś, co chciałbym, żebyś zobaczyła, co odkładałem od czasu do czasu i ukrywałem przez cały ostatni rok, sam nie wiem dlaczego, ale tak postąpiłem i nigdy ci nie powiedziałem.

Wziął krzesło i wolno przesunął je do hallu koło drzwi wejściowych; wszedł na krzesło i stał przez chwilę jak posąg na piedestale, a Mildred stała czekając w dole. Następnie wyciągnął kratę urządzenia klimatyzacyjnego, sięgnął głęboko w prawą stronę, wyjął kolejną płytę metalu, a następnie książkę. Nie patrząc rzucił ją na podłogę. Znow sięgnął, wyjął dwie książki, ruszył ręką i upuścił obie książki na podłogę. I tak dalej poruszał ręką i rzucał książki, małe, większe, żółte, czerwone, zielone. Kiedy skończył, popatrzył na jakieś dwadzieścia książek leżących u stóp jego żony.

— Przepraszam — powiedział. — Naprawdę nie myślałem. Ale teraz to już chyba nasza wspólna sprawa.

Mildred odskoczyła, jak by nagle wypadło na nią spod podłogi całe stado myszy. Słyszał, jak oddycha gwałtownie, twarz jej pobladła, a oczy były szeroko rozwar-
te. Powtórzyła jego imię dwa czy trzy razy. Potem jęcząc rzuciła się naprzód, chwyciła książkę i pobiegła ku kuchennej spalarni.

Chwycił ją. Piszcziała. Nie puszczał, a ona drapiąc usiłowała się wyswobodzić.

— Nie, Millie, nie! Poczekaj! Przestań! Nie wiesz... przestań. — Uderzył ją w twarz, chwycił znowu i potrząsnął nią.

Wypowiedziała jego imię i zaczęła płakać.

— Millie! — zawołał. — Słuchaj! Daj mi jedną sekundę! Nie możemy nic zrobić. Nie możemy tego spalić. Chcę na nie popatrzeć, przynajmniej raz. Jeśli to, co kapitan mówi, jest prawdą, spalimy je razem. Musisz mi pomóc. — Wpatrywał się w jej twarz i trzymał ją mocno. Patrzył nie tylko na nią. Pragnął odnaleźć siebie w tej twarzy, pragnął w niej wyczytać, co ma robić. — Czy się nam to podoba, czy nie, wdepnęliśmy w to. Nigdy cię o nic nie prosiłem przez te wszystkie lata, ale teraz proszę, błagam. Musimy od czegoś zacząć, uświadomić sobie, czemu znaleźliśmy się w takich tarapatach, ty i noce pełne narkotyków i samochodów, i ja, i moja praca. Stoimy nad przepaścią, Millie. Boże, nie chcę w nią wpaść. Nie będzie nam łatwo. Nie mamy nic, na czym byśmy się mogli oprzeć, ale może uda się nam to wszystko zestawić kawałek po kawałku, jakoś zrozumieć i pomóc sobie nawzajem. Jesteś mi tak potrzebna właśnie teraz, że nie potrafię ci nawet powiedzieć. Jeśli choć trochę mnie kochasz, poświęcisz temu dwadzieścia cztery czy czterdzieści osiem godzin, to wszystko, o co proszę, a potem to się skończy, obiecuję ci, przysięgam! A jeśli coś jest, może małeńki punkt zaczepienia w tym całym bałaganie, może będziemy to mogli przekazać jeszcze komuś innemu.

Nie walczyła już, więc ją puścił. Zachwiała się i osunęła po ścianie, i usiadła na podłodze patrząc na książki. Dotknęła stopą jednej z nich, spostrzegła to i cofnęła nogę.

— Ta kobieta wczorajszej nocy, Millie... nie byłaś przy tym. Nie widziałas jej twarzy. I Klarysa... nigdy z nią nie rozmawiałaś. Ja z nią rozmawiałem. A ludzie tacy jak Beatty boją się jej. Nie rozumiem tego. Dlaczego boją się kogoś takiego jak ona? Ale zacząłem ją porównywać ze strażakami na strażnicy wczoraj w nocy i nagle uświadomiłem sobie, że nie znoszę ich i że nie znoszę już samego siebie. I pomyślałem sobie, że może byłoby najlepiej, gdyby samych strażaków spalono.

— Guy!

Automat przy drzwiach frontowych zaczął wołać delikatnie:

— Pani Montag, pani Montag, ktoś przyszedł. Pani Montag, pani Montag, ktoś przyszedł.

Delikatnie.

Odwrocili się wpatrując się w drzwi, a książki piętrzyły się dokoła.

— Beatty! — szepnęła Mildred.

— Niemożliwe.

— Wrócił — szepnęła.

Automat przy drzwiach znowu zawołał miękko: — Ktoś przyszedł...

— Nie otworzymy.

Montag oparł się o ścianę, a następnie opuścił się z wolna na klęczki i zaczął w oszłomieniu dotykać książek kciukiem i palcem wskazującym. Drżał i pragnął przede wszystkim wsadzić je znowu do wentylatora, ale wiedział, że nie potrafi spojrzeć jeszcze raz w oczy Beatty'emu. Przykucnął, potem usiadł, a głos przy drzwiach frontowych wołał znowu, bardziej natarczywie. Montag podniósł z podłogi mały tomik.

— Gdzie zaczynamy? — zapytał. Otworzył książkę w połowie i patrzył w nią. — Sądzę, że zaczniemy od samego początku.

— On przyjdzie — powiedziała Mildred — i spali nas razem z książkami.

Głos przy drzwiach wejściowych zamilkł wreszcie. Zapanowała cisza. Montag czuł, że ktoś znajduje się za drzwiami, czekając, nasłuchując. Potem rozległy się kroki kogoś odchodzącego chodnikiem.

— Zobaczmy, co to jest — rzekł Montag.

Powiedział te słowa urywanie, ze straszliwą świadomością. Przeczytał kilkanaście stron w różnych miejscach i wreszcie trafił na następujące zdanie: „Na jedenaście tysięcy liczą ludzi, którzy różnymi czasy woleli śmierć ponieść, aniżeli poddać się prawu tłuczenia jaj z cieńszego końca.”

Mildred siedziała po drugiej stronie hallu. — Co to znaczy? To nie znaczy nic! Kapitan miał rację.

— Zobaczmy — powiedział Montag. — Zaczniemy znowu od początku.

Część druga

Sito i piasek

Czytali przez długie popołudnie, podczas gdy chłodny listopadowy deszcz padał z nieba na spokojny dom. Siedzieli w hallu, ponieważ salon był pusty i szary bez ścian oświetlonych pomarańczowymi i żółtymi confetti i fajerwerkami, bez kobiet w sukniach ze złotej siatki i mężczyzn w czarnym aksamicie wyciągających stufuntowe króliki ze srebrnych kapeluszy. Salon był martwy, a Mildred wciąż spoglądała nań z tępych wyrazem twarzy, gdy Montag spacerował w tę i tamtą stronę i siadał, by niekiedy aż dziesięć razy przeczytać głośno stronicę książki: „Nie możemy ustalić dokładnego momentu, kiedy kształtuje się przyjaźń. Jak przy napełnianiu naczynia kropla po kropli znajdzie się wreszcie kropla, która przelewa naczynie, tak w serii życzliwości jest jedna ostatnia, która przepełnia serce”.

Montag siedział słuchając deszczu.

— Czy to było w tej dziewczynie z sąsiedniego domu? Tak się męczyłem, by to określić.

— Ona nie żyje. Mówmy o kimś żyjącym, na miłość boską.

Montag nie spojrział na żonę, gdy drżąc przeszedł do kuchni, gdzie stał przez długi czas w oknie patrząc na bijący o szyby deszcz i czekając, aż minie mu drżenie, by wrócić z powrotem do hallu pogrążonego w szarym świetle.

Otworzył inną książkę.

„Ten ulubiony przedmiot: ja.”

Zezował na ścianę. — Ten ulubiony przedmiot: ja.

— To przynajmniej rozumiem — powiedziała Mildred.

— Ale ulubionym przedmiotem Klarysy nie była ona sama. Jej ulubionym przedmiotem byli inni ludzie i ja między innymi. Ona była pierwszą od wielu lat osobą, którą naprawdę polubiłem. Była pierwszą osobą, którą sobie przypominam, że patrzyła prosto na mnie, jak gdybym coś znaczył. — Podniósł dwie książki. — Ci ludzie nie żyją od dłu-
giego czasu, ale wiem, że ich słowa w ten czy inny sposób odnoszą się do Klarysy.

Za drzwiami na deszczu delikatne skrobanie. Montag skamieniał. Ujrzał, jak Mildred rzuca się i przyciska do ściany, dysząc ciężko.

— Ktoś... przy drzwiach... dlaczego automat nam nie powiedział...

— Wyłączyłem go.

Przy progu powolne badawcze węszenie, trzask elektrycznej iskry.

Mildred roześmiała się. — To tylko jakiś pies, nic innego! Chcesz, żebym go odpędziła?

— Nie ruszaj się z miejsca!

Milczenie. Szum chłodnego deszczu. I zapach błękitnej elektryczności przenikający zza zamkniętych drzwi.

— Wracajmy do roboty — powiedział Montag spokojnie.

Mildred kopnęła książkę. — Książki nie są ludźmi. Ty czytasz, a ja oglądam wszystko, ale w nich nie ma nikogo!

Patrzył nieruchomo na salon, który był martwy i szary jak wody oceanu, ale który mógłby zakiepcić życiem, gdyby tylko włączyli elektronowe słońce.

— A moja „rodzinka” — rzekła Mildred — to są ludzie. Mówią mi różne rzeczy. Ja się śmieję i oni się śmieją! A kolory!

— Tak, wiem.

— A poza tym, gdyby kapitan Beatty wiedział o tych książkach... — zastanowiła się. Na jej twarzy pojawiło się zdumienie, a potem groza. — Mógłby przyjechać, spalić dom i „rodzinkę”. To straszne! Pomyśl, ile pieniędzy wydaliśmy. Dlaczego mam czytać? Po co?

— Po co! Dlaczego! — krzyknął Montag. — Onegdajszej nocy widziałem najbardziej przekłętą węża w świecie. Był martwy, ale był żywy. Mógł widzieć i nie mógł widzieć. Chcesz zobaczyć tego węża? Znajduje się w szpitalu pogotowia, gdzie już złożyli raport o tych wszystkich bzdurach, które wąż z ciebie wyciągnął! Chciałabyś iść i sprawdzić ich kartotekę? Może musiałabyś zajrzeć pod „Guy Montag”, a może pod „Strach przed wojną”. Chciałabyś pójść do tego domu, który się wczoraj spalił? I rozgrzebać popioły szukając kości kobiety, która sama podpaliła swój dom! A co powiesz o Klarysie McClellan, gdzie jej szukać? W kostnicy? Słuchaj!

Bombowce przelatywały na niebie, przelatywały nad domem, chrapiąc, mrużąc, świszcząc jak ogromny niewidoczny wachlarz, krążący w próżni.

— Jezu — powiedział Montag. — Co godzina cholerne samoloty na niebie. Jak, u diabła, te bombowce tak wżarły się w każdą sekundę naszego życia! Dlaczego nikt nie chce o tym mówić! Rozpętaliśmy i wygraliśmy dwie wojny atomowe od roku 1960! Czy dlatego, że tak się świetnie bawimy w domu, zapomnieliśmy o świecie? Czy to dlatego, że jesteśmy bogaci, a reszta świata biedna, a nas po prostu to nie obchodzi, że inni są biedni? Słyszałem pogłoski, że świat kona z głodu, ale my jesteśmy dobrze odżywieni Czy to

prawda, że świat pracuje ciężko, a my się bawimy? Czy dlatego jesteśmy tak znienawidzeni?! Raz bardzo wiele lat temu słyszałem również pogłoski o nienawiści. Wiesz, dlaczego nas nienawidzą? Ja nie wiem, to pewne! Może książki pomogą nam choćby częściowo wyjść z tej klatki! Może mogłyby nas powstrzymać od popełniania wciąż tych samych cholernych wariackich błędów! Nie słyszałem, żeby ci durnie w twoim salonie coś o tym mówili. Boże, Millie, czy nie widzisz? Godzina dziennie, dwie godziny z tymi książkami, a może...

Zadzwonił telefon. Mildred chwyciła słuchawkę.

— Anna! — Śmiała się. — Tak, dają dziś Białego Klauna.

Montag wyszedł do kuchni i rzucił książkę. — Montag — powiedział — jesteś naprawdę głupi. Jak my z tego wyjdziemy? Czy wyrzucimy książki, zapomnimy o nich? — Otworzył książkę, by czytaniem zagłuszyć śmiech Mildred.

Biedna Millie, myślał. Biedny Montag, z tobą jest również kiepsko. Ale skąd możesz otrzymać pomoc, gdzie znajdziesz nauczyciela w tym wieku?

Zaraz, zaraz. Zamknął oczy. Tak, oczywiście. Znowu spostrzegł, że myśli o zielonym parku sprzed roku. Ta myśl towarzyszyła mu ostatnio wiele razy, ale teraz przypomniał sobie, jak to było owego dnia w parku miejskim, gdy ujrzał starego człowieka w czarnym garniturze ukrywającego coś szybko pod marynarką.

...Stary człowiek zerwał się, jak gdyby miał zamiar uciekać. A Montag powiedział: „Poczekaj pan!”

„Nic nie zrobiłem!” — drżąc krzyczał stary człowiek.

„Nikt nie mówi, że pan zrobił.”

Siedzieli w miękkim zielonym świetle, przez chwilę nie mówiąc ani słowa, a potem Montag zaczął rozmawiać o pogodzie, a stary człowiek odpowiadał bladym głosem. Było to dziwnie spokojne spotkanie. Stary przyznał się, że jest byłym profesorem angielskiego, którego wyrzucono przed czterdziestoma laty, kiedy ostatnie wszechnice nauk humanistycznych zostały zamknięte z braku studentów i funduszy. Nazywał się Faber i gdy wreszcie pozbył się obawy przed Montagiem, mówił odmierzonym głosem, spoglądając na niebo i drzewa, i zielony park, a kiedy minęła godzina, powiedział coś do Montaga, a on czuł, że jest to pozbawiony rymów poemat. Stary człowiek nabrał jeszcze więcej odwagi i wygłosił znów coś innego, i to był również poemat. Faber przytrzymał dłońią lewą kieszeń marynarki i wymawiał te słowa z uczuciem, a Montag wiedział, że gdyby sięgnął ręką, mógłby wyciągnąć z kieszeni mężczyzny książkę z wierszami. Ale nie sięgnął. Jego dłonie pozostały na kolanach, bezwładne i bezużyteczne. „Ja nie mówię o rzeczach, panie — powiedział Faber. — Mówię o znaczeniu rzeczy. Siedzę tu i wiem, że żyję.”

I to było wszystko, naprawdę. Godzina monologu, poemat, komentarz, a następnie nie zwracając uwagi nawet na fakt, że Montag jest strażakiem, Faber drżąc troszkę napisał swój adres na kawałku papieru. „To do pańskich akt — powiedział — na wypadek, gdyby pan zdecydował pogniewać się na mnie.”

„Nie gniewam się” — powiedział Montag zaskoczony.

Piskliwy śmiech Mildred rozbrzmiewał w hallu.

Montag podszedł do szafy w sypialni i zaczął wertować swój rejestr, aż znalazł nagłówek: DALSZE DOCHODZENIA (?). Było tam nazwisko Fabera. Nie złożył doniesienia i nie wymazał tego nazwiska.

Nakręcił numer z innego telefonu. Aparat na drugim krańcu linii z dziesięć razy wzywał Fabera, zanim profesor odpowiedział słabym głosem. Montag wyjaśnił, kto mówi, po czym nastąpiła długa cisza.

— Tak, panie Montag?

— Profesorze Faber, chciałem zadać dość dziwne pytanie. Ile egzemplarzy Biblii pozostało jeszcze w naszym kraju?

— Nie wiem, o czym pan mówił

— Chcę wiedzieć, czy pozostały jeszcze jakieś egzemplarze.

— To jakaś pułapka! Z nieznanymi nie rozmawiam przez telefon!

— A ile tomów Szekspira i Platona?

— Nic! Pan wie równie dobrze jak ja. Ani jednego!

Faber odłożył słuchawkę.

Montag zrobił to samo. Ani jednego. Wiedział o tym ze statystyk w strażnicy. Ale nie wiadomo dlaczego, chciał o tym usłyszeć od samego Fabera.

W hallu twarz Mildred zalewało podniecenie.

— Doskonale, panie dziś przychodzą!

Montag pokazał jej książkę. — To jest Stary i Nowy Testament, i...

— Nie zaczynaj tego od początku!

— To może być ostatni egzemplarz w tej części świata.

— Musisz go oddać dziś w nocy, prawda? Kapitan Beatty wie przecież, że go masz?

— Nie sędzę, żeby wiedział, którą książkę ukradłem. Ale jak wybrać coś zastępczego? Czy oddać Jeffersona, czy Thoreau? Która jest mniej cenna? Jeśli wybiorę coś zastępczego, a Beatty: wie, jaką książkę ukradłem, zgadnie, że mamy tutaj całą bibliotekę!

Usta Mildred wykrzywiły się.

— Widzisz, coś narobił? — krzyknęła. — Gubisz nas! Kto jest ważniejszy: ja czy Biblia?

Zaczęła piszczeć, siedząc teraz jak woskowa lalka topiąca się we własnym cieple.

W myśli słyszał głos Beatty'ego: „Siadaj, Montag. Uważaj. Delikatnie jak płatki kwiatów. Spal pierwszą stronę, spal drugą stronę. Każda staje się czarnym motylem. Piękne, co? Zapal trzecią stronę od drugiej i tak dalej, spalanie łańcuszkowe, rozdział po rozdziale wszystkie bzdury, wszystkie fałszywe obietnice, wszystkie wyświechtane poglądy i zużyte filozofie”. Beatty siedział pocąc się delikatnie, podłoga była zasłana rojami czarnych motyli, które zmarły w jednej burzy.

Mildred przestała piszczeć równie szybko, jak zaczęła. Montag nie słuchał.

— Tylko jedno nam pozostało — powiedział. — Zanim oddam książkę Beatty'emu, ktoś mi musi zrobić jej duplikat.

— Będziesz na Białym Klaunie, kiedy panie przyjdą? — krzyknęła Mildred.

Montag zatrzymał się przy drzwiach, obrócony plecami.

— Millie?

Milczenie. — Co?

— Millie? Czy Biały Klaun cię kocha?

Nie otrzymał odpowiedzi.

— Millie, czy... — oblizął wargi. — Czy twoja „rodzinka” kocha cię, kocha cię bardzo mocno, kocha cię całym sercem i duszą, Millie?

Czuł, że mrugając wolno oczami wpatruje się w jego kark.

— Co to za głupie pytania?

Czuł, że chce mu się płakać, ale jego oczy pozostały suche.

— Jeśli zobaczysz na dworze tego psa — powiedziała Mildred — kopnij go ode mnie.

Zawahał się, nasłuchując przy drzwiach. Otworzył drzwi i wyszedł.

Deszcz przestał padać i na niebie jaśniało słońce. Ulica, trawnik i ganek były puste. Westchnął.

Zatrzasnął drzwi.

Znalazł się w kolei podziemnej.

Jestem odrętwiały, myślał. Kiedy odrętwienie naprawdę zaczęło się w mojej twarzy? W moim ciele? Owej nocy, gdy potrąciłem fiolkę z pigułkami w ciemności, jak bym potrącił ukrytą minę.

Odrętwienie przejdzie, myślał. To potrwa pewien czas, ale uda mi się to osiągnąć albo Faber zrobi to dla mnie. Ktoś gdzieś odda mi z powrotem dawną twarz i dawne ręce, takie jak były. Nawet uśmiech, myślał, dawny wypalony na twarzy uśmiech, on również zniknął. Bez niego jestem stracony.

Tunel kolei podziemnej uciekał przed nim, kremowa płyta, płyta czarna jak heban, kremowa płyta, czarna, numery i ciemność, więcej ciemności i całkowita próżnia.

Ongiś, kiedy był jeszcze dzieckiem, siedział na żółtej wydmie wśród błękitnego i gorącego dnia lata, usiłując napełnić sito piaskiem, ponieważ jakiś okrutny kuzyn powiedział: „Napełnij to sito, to dam ci dziesięć centów!” A im szybciej nasypywał, tym szybciej, z gorącym szmerem uciekał piasek. Ręce dziecka były zmęczone, piasek kłębił się, sito pozostało puste. Siedząc tak wśród lipcowego dnia, czuł, jak łyzy bez dźwięku spływają mu po policzkach.

Teraz próżniowa kolej podziemna pędziła z nim przez martwe piwnice miasta, potrząsała nim. Pamiętał straszliwą logikę owego sita, spojrział w dół i zobaczył, że trzyma otwartą Biblię. W kolejce byli ludzie, ale miał w dłoniach książkę i przysłała mu do głowy głupia myśl, że jeśli będzie czytał szybko i przeczyta wszystko, może cokolwiek piasku pozostanie w sicie. Czytał, lecz słowa wypadały, i pomyślał, że za kilka godzin spotka się z Beattym i będzie mu musiał oddać książkę, tak że żadne zdanie nie może ująć jego uwadze, każdą linijkę musi utrwalić w pamięci. Chcę, żeby tak było, myślał.

Ścisnął książkę w pięściach.

Zagrzmiały trąbki.

„Pasta do zębów Denhama!”

Milczcie, myślał Montag. Przypatrzcie się liliom polnym.

„Pasta do zębów Denhama!”

Nie pracują...

„Denhama...”

Przypatrzcie się liliom polnym, milczcie, milczcie.

„Pasta do zębów!”

Szarpnięciem otworzył książkę, przebiegał oczami po stronach i macał je, jak by był ślepy, dotykał kształtu poszczególnych liter nie mrugając. „Denham. Pamiętajcie: D-E-N...”

Nie pracują ani...

Dziki szept gorącego piasku przez próżne sito.

„Denham czyści najlepiej!”

Przypatrzcie się liliom, liliom, liliom...

„Eliksir do zębów Denhama.”

— Milczcie, milczcie, milczcie! — To było błaganie, krzyk tak okropny, że Montag nagle spostrzegł, iż zerwał się na nogi, wstrząśnięci pasażerowie rozwrzeszczanego wagonu wytrzeszczali nań oczy, cofali się przed tym mężczyzną z obłąkaną, obrzmiałą twarzą, drżącymi suchymi ustami i trzepoczącą książką w ręku. Ludzie, którzy siedzieli chwilę przedtem tupiąc nogami do rytmu pasty Denhama, Denhama doskonałej do zębów pasty, eliksiru Denhama, eliksiru, eliksiru, eliksiru, raz dwa, raz dwa trzy, raz dwa, raz dwa trzy; ludzie, których usta wykrzywiały się wyciskając słowo eliksir, eliksir, eliksir. Radio wagonowe w odwecie zwymiotowało na Montaga tonowy ładunek muzy-

ki stworzonej z blachy, miedzi, srebra, chromu i mosiądzu. Ludzie zostali zmiażdżeni i zmuszeni do kapitulacji: nie uciekali, nie było gdzie uciekać. Wielki pociąg powietrzny sunął swym kanałem w głębi ziemi.

— Lilie polne.

„Denham”.

— Lilie, powiedziałem!

Ludzie wytrzeszczali oczy.

— Zawołajcie konduktora.

— Ten człowiek zwar...

— Knoll View!

Pociąg zatrzymał się z sykiem.

— Knoll View! — Krzyk.

„Denham”. Szept.

Montag ledwie poruszał ustami. — Lilie...

Drzwi otworzyły się z sykiem. Montag stał. Drzwi sapnęły, zaczęły się zamykać. Dopiero wtedy, potrącając innych pasażerów i wrzeszcząc w głębi duszy, wpadł w szczelinę zamykających się drzwi. Pobiegł po białych płytach, by się wydostać z tunelu, mijając ruchome schody, ponieważ pragnął czuć, jak poruszają się jego nogi, ramiona, płuca, czuć, jak gardło chrypie od powietrza. Za nim płynął głos. „Denham, Denham, Denham”, syczał jak żmija pociąg. Pociąg zniknął w tunelu.

— Kto tam?

— Montag.

— Czego pan chce?

— Proszę mnie wpuścić.

— Nic przecież nie zrobiłem!

— Do cholery, jestem sam!

— Przysięga pan?

— Przysięgam!

Frontowe drzwi otworzyły się powoli. Zerkał przez nie Faber. W świetle wyglądał bardzo staro i krucho i wydawał się bardzo przestraszony. Odnosiło się wrażenie, że całymi latami nie wychodził z domu. On i biały tynk na ścianach wnętrza wyglądały prawie jednakowo. Miał blade usta, policzki, jego włosy były białe, a oczy spłowiały i były bladoniebieskie. Potem ujrzał książkę pod ramieniem Montaga i nie wyglądał już tak staro ani tak krucho. Jego strach mijał stopniowo.

— Bardzo przepraszam. Człowiek musi być ostrożny.

Wciąż patrzył na książkę pod pachą Montaga.

— Więc to prawda — rzekł.

Montag wszedł do środka. Drzwi zatrzasnęły się.

— Proszę siadać. — Faber cofnął się tyłem, jak by się bał, że książka mogłaby zniknąć, — gdyby odwrócił od niej oczy. Za nim znajdowały się otwarte drzwi do sypialni, a w tym pokoju na biurku leżały rozsypane części maszynarii i stalowe narzędzia. Montag zdołał tylko zerknąć w tamtą stronę, gdy Faber, widząc jego zainteresowanie, natychmiast się odwrócił i zatrzasnął drzwi, i stał tam trzymając klamkę drżącą dłonią. Jego spojrzenie wracało niepewnie do Montaga, który teraz usiadł kładąc książkę na kolanach.

— Ta książka... skąd ją pan wziął?

— Ukradłem.

Faber po raz pierwszy podniósł oczy i spojrzał prosto w twarz Montaga.

— Jest pan dzielny — rzekł.

— Nie — powiedział Montag. — Moja żona umiera. Moja przyjaciółka już nie żyje. Ktoś, kto mógłby być moim przyjacielem, został spalony dwadzieścia cztery godziny temu. Pan jest jedynym człowiekiem, którego znam i który może mi pomóc. Żeby zrozumieć. Żeby zrozumieć...

Dłoń Fabera poruszyła się nerwowo na jego kolanach. — Czy mogę?

— Przepraszam. — Montag podał mu książkę.

— Tyle już lat... Nie jestem religijny. Tyle już lat... — Faber przewracał stronicę, zatrzymując się tu i ówdzie, by poczytać. — Jest nadal tak dobra, jak zapamiętałem. Boże, jak oni to zmienili obecnie w naszych „salonach”. Chrystus jest teraz jednym z „rodzinki”. Często zastanawiam się, czy Bóg poznaje swego Syna w tym przebraniu? Jest teraz miętowym cukierkiem, całym z kryształowego cukru i sacharyny, jeśli nie robi zamaskowanych aluzji do pewnych produktów przemysłowych, które są absolutnie niezbędne każdemu wierzącemu. — Faber powąchał książkę. — Wie pan, że książki pachną jak gałka muszkatołowa czy jakaś przyprawa z dalekich krajów? Lubiłem je wąchać, kiedy byłem chłopcem. Boże, niegdyś istniało mnóstwo pięknych książek, zanim je porzuciliśmy. — Faber przewracał stronicę. — Panie Montag, patrzy pan na tchórza. Widziałem od bardzo dawna, ku czemu zmierzamy. Nie mówiłem nic. Jestem jednym z niewinnych, który mógłby wypowiedzieć swoje zdanie, gdy nikt nie chciał słuchać „winnego”, ale nic nie mówiłem i w ten sposób stałem się winnym. A kiedy wreszcie ułożyli stos, by palić książki, używając do tego strażaków, jęknąłem parę razy i poddałem się, ponieważ nie było ludzi, którzy by wtedy wraz ze mną jęczeli czy krzyczeli. Teraz jest za późno. — Faber zamknął Biblię. — No... może mi pan powie, po co pan tu przyszedł?

— Nikt już nie słucha. Nie mogę mówić do ścian, ponieważ one wrzeszczą do mnie. Nie mogę mówić do mojej żony — ona słucha ścian. Po prostu chcę, by ktoś posłuchał, co mam do powiedzenia. I może, jeśli będę mówił wystarczająco długo, potrafię sklecić jakąś myśl. I chcę, żeby mnie pan nauczył rozumieć to, co czytam.

Faber badał szczupłą, wygoloną, z błękitnym śladem zarostu twarz Montaga.

— W jaki sposób doznał pan takiego wstrząsu? — spytał. — Co wytrąciło pochodnię z pana rąk?

— Nie wiem. Mamy wszystko, co nam potrzeba do szczęścia, ale nie jesteśmy szczęśliwi. Czegoś nam brak. Rozejrzałem się dokoła. Jediną rzeczą, o której z pewnością wiedziałem, że jej nie ma, są książki, które palę od dziesięciu czy dwunastu lat. Więc pomyślałem, że książki mogłyby pomóc.

— Jest pan beznadziejnym romantykiem — rzekł Faber. — To mogłyby być zabawne, gdyby nie było poważne. Nie książek panu potrzeba, tylko niektórych rzeczy, które ongiś były w książkach. Te same rzeczy mogłyby być również w naszych „salonowych rodzinkach” z dnia dzisiejszego. Tę samą obfitość szczegółów i prawdy życiowej można by dawać przez radia i telewizory, ale się tego nie robi. Nie, nie, to nie za książkami pan tęskni! Niech pan szuka tam, gdzie się to da jeszcze znaleźć, w starych płytach gramofonowych, starych filmach i u starych przyjaciół. Szukać tego trzeba w naturze i sobie samym. Książki były kiedyś tylko jednym ze skarbczyków, gdzie gromadziliśmy mnóstwo rzeczy, których baliśmy się zapomnieć. Nie było w nich w ogóle nic magicznego. Magia tkwiła jedynie w tym, co książki mówiły, jak zszywały razem skrawki wszechświata w jedną szatę dla nas. Oczywiście, nie może pan tego wiedzieć, oczywiście, nie może pan jeszcze rozumieć, co mam na myśli, kiedy to wszystko mówię. Intuicyjnie ma pan rację i tylko to się liczy. Brakuje nam trzech czynników.

Po pierwsze: wie pan, dlaczego książki jako takie są tak ważne? Ponieważ mają jakość. A co oznacza słowo jakość? Dla mnie oznacza tkankę. Ta książka ma pory. Ma rysy. Tę książkę można obserwować pod mikroskopem. W szkiełku ujrzy pan życie, płynące w nieskończonej obfitości. Im więcej porów, im więcej zanotowanych szczegółów życia na cal kwadratowy znajdzie pan na arkuszu papieru, tym bardziej jest pan „wykształcony”. W każdym bądź razie taka jest moja definicja. Wymowne szczegóły. Świeże szczegóły. Dobrzy pisarze często chwytają życie. Średni przesuwają po nim szybko ręką. Żli gwałcą je i zostawiają padlinę.

Widzi pan teraz, dlaczego niektórzy ludzie nienawidzą książek i boją się ich? Książki ukazują pory na twarzy życia. Wygodni ludzie chcą tylko woskowych księżycowych twarzy, bez porów, bez włosów, bez wyrazu. Żyjemy w czasach, kiedy kwiaty usiłują rozwijać się na kwiatach, zamiast rosnać na ożywczym deszczu i czarnej glebie. Nawet fajerwerki, mimo całego ich piękna, pochodzą z pierwiastków chemicznych ziemi. Lecz jakimś cudem myślimy, że możemy rosnać na kwiatach i fajerwerkach, nie wypełniając całego cyklu, odrywając się od rzeczywistości. Zna pan legendę o Herkulesie i Anteuszu, olbrzymim atlecie, który odznaczał się niewiarygodną siłą, póki stał na ziemi. Lecz gdy pozbawiony oparcia został uniesiony przez Herkulesa w powietrze, zginął łatwo. Jeśli w tej legendzie nie ma czegoś aktualnego dla nas, w naszym mieście, w na-

szym czasie, to jestem całkowicie szalony. Dobrze, a więc mamy pierwszy punkt, którego, jak powiedziałem, potrzebujemy. Jakość, tkanka informacji o życiu.

— A drugi punkt?

— Odpoczynek.

— Och, przecież mamy mnóstwo wolnego czasu.

— Wolnego czasu, owszem. Ale czy mamy czas na myślenie? Jeśli człowiek nie pędzi sto mil na godzinę w maszynie, gdzie nie może myśleć o niczym oprócz niebezpieczeństwa, to bawi się w jakąś grę albo siedzi w jakimś pokoju, gdzie nie może dyskutować z czterościanym telewizorem, Dlaczego? Telewizor jest „realny”. Jest bezpośredni, ma wymiar. Mówi człowiekowi, co ma myśleć, i wbija to w niego. Musi mieć rację. Wydaje się, że ma rację zawsze. Popycha pana tak szybko do swych własnych konkluzji, że pana umysł nie ma czasu zaprotestować: „Co za nonsens!”

— Tylko „rodzinka” to ludzie.

— Przepraszam? Nie zrozumiałem.

— Moja żona mówi, że książki nie są „realne”.

— Dzięki Bogu za to. Można je zamknąć. Można powiedzieć: Poczekajmy „chwilczkę”. W stosunku do książki jest pan Bogiem. Ale kto wyrwał się kiedykolwiek ze szponiastej gęstwiny, która go otacza, gdy nacisnął guziczek w salonie telewizyjnym? Kształtuje ona człowieka w dowolnej formie, wedle swego upodobania! To jest otoczenie równie realne jak świat. Staje się i jest prawdą. Książki można pobić rozsądkiem. Ale z całą moją wiedzą i sceptycyzmem nigdy nie potrafiłem dyskutować z orkiestrą symfoniczną składającą się ze stu instrumentów, o pełnym kolorze, trzech wymiarach i będącą częścią składową tych niewiarygodnych salonów. Jak pan widzi, w moim „salonie” nie ma nic oprócz czterech tynkowanych ścian. A tu... — wyciągnął dwie małe gumowe zatyczki. — To wkładam w uszy, kiedy jeżdżę podziemnymi odrzutowcami.

— Pasta do zębów Denhama. Nie pracują ani przędą — powiedział Montag z zamkniętymi oczami. — Dokąd my zmierzamy? Czy książki nam pomogą?

— Tylko wtedy, jeśli otrzymamy trzeci niezbędny czynnik. Czynnikiem pierwszym, jak powiedziałem, jest wysoka jakość wiedzy o życiu. Czynnikiem drugim: wolny czas, by ją przetrawić. A czynnik trzeci: to prawo postępowania w myśl tego, czego się nauczymy ze współdziałania dwóch pierwszych czynników. I nie bardzo sobie wyobrażam, żeby bardzo stary człowiek i rozgoryczony strażak mogli wiele zdziałać w tej sprawie...

— Mogę zdobywać książki.

— Naraża się pan na duże ryzyko.

— To jest jedna dobra strona umierania. Jeśli człowiek nie ma nic do stracenia, może ryzykować wszystkim, na co mu tylko przyjdzie ochota.

— Teraz powiedział pan coś interesującego — roześmiał się Faber — nie czytając nawet o tym.

— Czy podobne rzeczy są w książkach? Ale to wypłynęło prosto z mojej duszy!
— Tym lepiej. Nie wymyślił pan tego dla mnie czy kogokolwiek ani nawet dla siebie samego.

Montag pochylił się naprzód.

— Dziś po południu pomyślałem, że jeśli okaże się, iż książki są wartościowe, możemy postarać się o prasę drukarską i odbić pewną ilość dodatkowych egzemplarzy...

— Możemy?

— Pan i ja.

— Och, nie! — Faber zerwał się.

— Niech mi pan pozwoli opowiedzieć sobie mój plan...

— Jeśli będzie się pan przy tym upierał, poproszę pana o opuszczenie mego domu.

— Ale czy nie jest pan zainteresowany?

— Nie, jeśli zacznie pan tego rodzaju rozmowę, która za moją uprzejmość może mnie doprowadzić do spalenia. Jedyny temat, którego może mógłbym słuchać, to gdyby zaczął pan mówić, w jaki sposób można by spalić całą organizację straży ogniowej. Więc jeśli pan zaproponuje, żebyśmy wydrukowali trochę książek i zorganizowali podrzucanie ich do domów strażaków w całym kraju, aby posiać ziarno podejrzania wśród podpalaczy, to powiem brawo!

— Podrzucać książki, wszczynać alarm i patrzeć, jak płoną strażackie domy, o to panu chodzi?

Faber uniósł brwi i przyglądał się Montagowi, jak by go widział po raz pierwszy.

— Żartowałem — rzekł.

— Jeśli pan myśli, że taki plan warto wypróbować, muszę mieć pańskie słowo, że to coś pomoże.

— Za takie rzeczy nie można gwarantować! Mimo to, gdyśmy mieli wszystkie książki, jakie nam były potrzebne, szukaliśmy najwyższej skały, z której można by się rzucić w przepaść. Lecz naprawdę potrzebujemy oddechu. Naprawdę potrzebujemy wiedzy. I może za tysiąc lat wybierzemy sobie jakieś niższe skały do skakania. Książki są po to, by nam przypominały, jakimi jesteśmy osłami i głupcami. Są gwardią pretorianów Cezara, szepczących, gdy tłumy szaleją na ulicy: „Pamiętaj, Cezarze, że jesteś śmiertelny”. Większość z nas nie może pędzić dokoła, rozmawiać ze wszystkimi, znać wszystkich miast na świecie. Nie mamy czasu, pieniędzy albo wystarczającej ilości przyjaciół. Rzeczy, których pan szuka, Montag, znajdują się w świecie, ale jedyny sposób dla przeciętnego człowieka, by mógł ujrzeć dziewięćdziesiąt dziewięć procent z nich, znajduje się w książce. Nie żądaj gwarancji. I nie spodziewaj się, że zostaniesz zbawiony przez jakąkolwiek jedną rzecz — osobę, maszynę czy bibliotekę. Zbawiaj się sam po trochu, a jeśli utoniesz, umrzyj wiedząc przynajmniej, że kierowałeś się ku brzegowi.

Faber wstał i zaczął spacerować po pokoju.

— No więc? — spytał Montag.

— Mówi pan zupełnie serio?

— Najzupełniej.

— Trzeba przyznać, że to podstępny plan. — Faber zerknął nerwowo na drzwi swej sypialni. — Ujrzeć w całym kraju płonące strażnice, niszczone jako wylęgarnie zdrady. Salamandra pożera swój własny ogon! O, Boże!

— Mam listę wszystkich mieszkań strażaków. Rozporządzając czymś w rodzaju organizacji podziemnej...

— Nie możemy wierzyć ludziom, w tym cały szkopuł. Pan, ja i kto jeszcze zechce rozniecać pożary?

— Czy nie ma profesorów takich jak pan, byłych pisarzy, historyków, lingwistów...?

— Nie żyją albo są bardzo starzy.

— Im starsi, tym lepiej — nikt na nich nie zwróci uwagi. Zna ich pan całymi tuzinami, niech się pan przyzna!

— Och, jest mnóstwo choćby aktorów, którzy nie grali Pirandella, Shawa czy Szekspira od niepamiętnych czasów, ponieważ te sztuki zbyt wiele mówią o świecie. Moglibyśmy wykorzystać ich gniew. I moglibyśmy posłużyć się uczciwą wściekłością tych historyków, którzy od czterdziestu lat nie napisali ani jednej linijki. Oczywiście, moglibyśmy rozpocząć lekcje myślenia i czytania.

— Tak!

— Ale to wszystko dotyczy zaledwie spraw marginesowych. Cała kultura została zabitą. Jej szkielet należy stopić i ukształtować na nowo. Mój Boże, to nie jest tak proste jak wzięcie do ręki książki, którą człowiek odłożył przed pół wiekiem. Niech pan pamięta, że strażacy rzadko są potrzebni. Ludzie sami przestali czytać, z własnej chęci. Wy, strażacy, urządzenie teraz od czasu do czasu cyrk: podpala się budynek i gromadzą się tłumy, by podziwiać piękny ogieniek, ale to tylko małe marginesowe przedstawienie i nawet niezbyt potrzebne, by wszystko utrzymać w porządku. Bardzo nieliczni chcą być teraz buntownikami. A z tych nielicznych większość, podobnie jak mnie, łatwo zastraszyć. Czy potrafi pan tańczyć szybciej niż Biały Klaun, krzyżeć głośniej niż pan Iluzjonista i telewizyjne „rodzinki”? Jeśli pan potrafi, to przeprowadzi pan wszystko, na co pan ma ochotę. W każdym przypadku jest pan głupcem. Ludzie się bawią.

— Popęlniając samobójstwa! Mordując!

Dywizjon bombowców przelatywał na wschód przez czas ich rozmowy i dopiero teraz obaj mężczyźni zatrzymali się i słuchali z drżeniem ciężkiego huku odrzutowców.

— Cierpliwości, Montag! Pozwólmy wojnie wyłączyć „rodzinki”. Nasza cywilizacja sama rozdziera się na kawałki. Nie dotykaj centryfugi.

— Ktoś powinien być gotów, kiedy to wybuchnie.

— Co? Ludzie będą cytować Miliona? Mówić, że pamiętają Sofoklesa? Przypominać tym, co przeżyli, że człowiek ma również swoje dobre strony? Przeciwnie — będą tylko zbierać kamienie, by się nimi wzajemnie obrzucać. Montag, idź pan do domu. Połóż się spać. Po co tracić swe ostatnie godziny szalejąc w klatce, zaprzeczając, że się jest wieiórką?

— Więc już panu na tym nie zależy?

— Zależy mi tak bardzo, że aż mi mdło.

— I nie chce mi pan pomóc?

— Dobranoc, dobranoc!

Dłonie Montaga chwyciły Biblię. Zobaczył, co zrobiły jego dłonie, i patrzył ze zdziwieniem.

— Chciałby pan to mieć?

— Dałbym za to moja prawą rękę — rzekł Faber.

Montag stał i czekał, co dalej nastąpi. Jego dłonie same z siebie, jak dwoje pracujących razem ludzi, zaczęły wyrywać kartki z książki. Ręce wyrwały kartę tytułową, a potem pierwszą stronę i drugą.

— Idioto, co robisz?! — Faber skoczył jak oparzony. Rzucił się na Montaga. Montag odepchnął go i pozwolił rękom prowadzić dalej dzieło zniszczenia. Dalsze sześć kartek upadło na podłogę. Podjął je i zgniótł na oczach Fabera.

— Nie rób tego, och, nie! — krzyknął stary człowiek.

— Kto mnie może zatrzymać? Jestem strażakiem. Mogę cię spalić!

Stary człowiek stał patrząc na niego. — Nie zrobisz tego.

— Ale mogę!

— Książka. Nie niszczyć jej. — Faber opadł na fotel, jego twarz była bardzo blada, usta drżały. — Nie maltretuj mnie jeszcze bardziej. Czego chcesz?

— Chcę, żeby pan mnie uczył.

— Dobrze, dobrze.

Montag położył książkę. Zaczął rozprostowywać pognieciony papier i wygładzać go, a stary człowiek patrzył ze zmęczeniem.

Faber potrząsnął głową, jak by budził się ze snu.

— Montag, czy ma pan pieniądze?

— Trochę mam. Jakies czterysta, pięćset dolarów. A dlaczego?

— Niech je pan przyniesie. Znam pewnego człowieka, który przed pół wiekiem drukował nasze pismo uniwersyteckie. To było w tym roku, kiedy wszedłem do sali, by zacząć nowy semestr, i odkryłem, że tylko jeden student zapisał się na wykłady o dramacie od Ajschylosa do O'Neilla. Rozumie pan? Jakże to było podobne do pięknego posągu z lodu, topiącego się w słońcu! Pamiętam, jak gazety konały niby wielkie motyle. Nikt ich nie chciał. Nikomu ich nie brakowało. A potem rząd widząc, jak korzystne jest,

gdy ludzie czytają tylko o namiętnych wargach i ciosach w żołądek, otoczył plac waszymi pożeraczami ognia. Tak, Montag, ten bezrobotny drukarz istnieje. Możemy zacząć od kilku książek i czekać, aż wojna złamie cały system i doda nam bodźca, którego potrzebujemy. Parę bomb i „rodzinki” na ścianach wszystkich domów zamilkną jak karnawałowe błazny! W tej ciszy nasz sceniczny szept może się rozlec daleko.

Obaj stali patrząc na leżącą na stole książkę.

— Usiłowałem zapamiętać — powiedział Montag. — Ale, diabli, wyleciało mi, gdy tylko odwróciłem głowę. Boże, jak pragnę powiedzieć coś kapitanowi. On czytał dużo i na wszystko ma odpowiedź albo przynajmniej wydaje się, że ma. Zrobił się bardzo słodki. Boję się, że z powrotem namówi mnie do tego, czym byłem. Zaledwie tydzień temu, trzymając w rękach węża z naftą, myślałem sobie: Boże, ale to frajda!

Stary człowiek skinął głową.

— Ci, co nie budują, muszą burzyć — rzekł. — To rzecz równie stara jak historia i nieletni przestępcy.

— Taki właśnie jestem.

— Coś z tego tkwi w nas wszystkich.

Montag ruszył ku drzwiom. — Czy mógłby mi pan dziś jakoś pomóc z moim kapitanem? Potrzebuję parasola, ażeby schronić się przed deszczem. Diabelnie się boję, że utonę, kiedy on się znowu do mnie zabierze.

Stary człowiek nie powiedział nic, ale jeszcze raz zerknął nerwowo na drzwi swej sypialni. Montag uchwycił to spojrzenie. — Więc?

Starzec głęboko wciągnął powietrze. Odetchnął po raz drugi, zamknąwszy oczy i zaciiskając usta. Potem szepnął:

— Montag...

Wreszcie odwrócił się i powiedział:

— Niech pan idzie ze mną. Niewiele by brakowało, abym pozwolił panu opuścić mój dom. Jestem tchórzliwym starym głupcem.

Otworzył drzwi sypialni i wpuścił Montaga do małego pokoiku, gdzie stał stół, na którym leżało mnóstwo metalowych narzędzi wśród stosu mikroskopijnych drucików, maleńkich szpulek, kulek i kryształów.

— Co to jest? — zapytał Montag.

— Dowód mego straszliwego tchórzostwa. Żyłem samotnie przez wiele lat, rzucając na ściany obrazy mojej wyobraźni. Dłubanie przy elektronice i przekaźnikach radiowych stało się moim konikiem, W moim tchórzostwie kryje się taka namiętność, będąca dopełnieniem rewolucyjnego ducha, który żyje w jego cieniu, że musiałem opracować to.

Podniósł mały przedmiot z zielonego metalu, nie większy niż kula kalibru 22.

— Zapłaciłem za to wszystko... jak? Grając na giełdzie, oczywiście, tej ostatniej w świecie ucieczce dla niebezpiecznego intelektualisty pozbawionego pracy. Więc grałem na giełdzie, zbudowałem to wszystko i czekałem. Z drżeniem czekałem przez pół życia na kogoś, kto by porozmawiał ze mną. Nie ważyłem się zwrócić do kogokolwiek. Owego dnia w parku, kiedy siedzieliśmy razem, wiedziałem, że któregoś dnia wpadnie pan do mnie, może z ogniem, a może z przyjaźnią, trudno było zgadnąć. Ten mały przyrządek był już gotów od miesiący. Ale o mała pana nie wypędziłem, tak się boję!

— To wygląda jak muszelkowe radio.

— I coś więcej! To umie słuchać! Jeśli pan to włoży do ucha, Montag, ja mogę siedzieć wygodnie w domu, wysłuchiwać wieści ze strażackiego świata i analizować je, wykrywać bez niebezpieczeństwa jego słabości. Jestem królową pszczoł, bezpieczną w swoim ulu. Pan będzie robotnicą, podróżującym uchem. Z czasem mogę wysłać uszy do wszystkich części miasta z różnymi ludźmi, a potem słuchać i oceniać, co usłyszę. Jeśli robotnice umierają, nadal bezpiecznie pozostaję w domu, pielęgnując mój strach z maksymalnym komfortem i minimalnym ryzykiem. Widzisz, jak bezpiecznie to rozgrywam, jak jestem godzien pogardy?

Montag wsadził zieloną kulkę w ucho. Stary człowiek włożył podobny przedmiot do swego ucha i poruszył wargami.

— Montag!

Montag słyszał głos w swej głowie.

— Słyszę pana!

Stary człowiek roześmiał się. — Pana również doskonale słychać. — Faber szeptał, lecz głos w głowie Montaga był wyraźny. — Idź do strażnicy, kiedy nadejdzie czas. Będę z tobą. Posłuchajmy razem tego kapitana Beatty. Bóg wie, może on jest jednym z nas. Będę ci podsuwał, co masz mówić. Damy mu dobre przedstawienie. Czy nienawidzisz mnie za to moje elektronowe tchórzostwo? Wysyłam cię w noc, a sam zostaję na tyłach, zaś moje przeklęte uszy słuchają, jak kładziesz głowę pod topór.

— Każdy działa jak może — rzekł! Montag. Włożył Biblię w ręce starca. — Proszę. Spróbuję oddać coś innego w zamian za to. Jutro...

— Zobaczę się z tym bezrobotnym drukarzem. Tak, tyle mogę zrobić...

— Dobranoc, profesorze.

— Nie dobranoc. Będę z tobą przez resztę nocy, kąśliwy komar brzęczący w twoim uchu, gdy będziesz mnie potrzebował. Ale w każdym razie dobranoc i powodzenia.

Drzwi otworzyły się i zamknęły. Montag znowu był na ciemnej ulicy, spoglądając na świat.

Nawet po niebie można było odczuć owej nocy, że wojna się zbliża. Chmury przepływały i wracały jakoś inaczej niż zwykle, gwiazdy wyglądały jakoś inaczej, gdy milionami przesuwały się wśród chmur jak nieprzyjacielskie sferoidy. Miało się uczucie, że to niebo może spaść na miasto i zamienić je w wapienną kurzawę, a księżyc wzejdzie w czerwonym ogniu. Tak odczuwało się tę noc.

Montag wyszedł z kolei podziemnej z pieniędzmi w kieszeni (wpadł do banku, który był otwarty przez całą noc, przy czym klientów obsługiwały roboty) i idąc słuchał radiowej muszelki w jednym uchu. „...Zmobilizowaliśmy milion mężczyzn. Jeśli nastąpi wojna, szybkie zwycięstwo będzie naszym udziałem...” Muzyka zalała ten głos i zamilkł.

— Zmobilizowano dziesięć milionów — szepnął głos Fabera w drugim uchu. — Ale mówi się, że jeden milion. To brzmi przyjemniej.

— Faber?

— Tak?

— Nie myślę. Tak jak zawsze, robię to, co mi się mówi. Powiedział pan, żeby podjąć pieniądze, więc podjąłem. Nawet nad tym nie pomyślałem. Kiedy naprawdę zacznę posługiwać się własnym rozumem?

— Już pan zaczął, mówiąc właśnie to, co pan powiedział. Musi mnie pan brać na wiarę.

— Brałem innych na wiarę!

— Tak, i patrz pan, do czego to nas doprowadziło. Przez pewien czas będzie się pan poruszał na ślepo. Ofiarowuję panu moje ramię do wsparcia.

— Nie chcę zmieniać szefów, którzy by mi po prostu mówili, co robić. Nie ma powodów do zmiany, jeśli taki pozostanę.

— Już pan zaczął myśleć!

Montag czuł, że jego nogi niosą go chodnikiem w stronę domu. — Niech pan mówi dalej!

— Może by pan chciał, żebym coś przeczytał? Będę panu czytał, żeby pan mógł zapamiętać. Śpię tylko pięć godzin w nocy. Nie mam nic do roboty. Więc jeśli pan ma ochotę, będę mógł panu czytać do snu w nocy. Podobno można się uczyć śpiąc, gdy ktoś szepcze do ucha.

— Tak.

— Proszę. — Z drugiego końca pogrążonego w nocy miasta najdelikatniejszy szelest odwracanej kartki. — Księga Hioba.

Księżyc wstał na niebie, Montag szedł, zaś jego wargi poruszały się bardzo nieznacznie.

O dziewiątej jadł lekką kolację, gdy frontowe drzwi wykrzyknęły w hallu, a Mildred wybiegła z salonu jak Rzymianka uciekająca przed wybuchem Wezuwiusza. Pani Phelps i pani Bowles weszły przez frontowe drzwi i zniknęły w paszczy wulkanu z cocktailami w dłoniach. Montag przerwał jedzenie. Te kobiety były jak monstrialny kryształowy kandelabr dźwięczący tysiącem pozytywek, widział ich wieczne uśmiechy, przepalające ściany domu, a teraz wrzeszczały jedna do drugiej, zagłuszając hałas telewizyjnych ścian.

Montag znalazł się w drzwiach salonu jeszcze z ustami pełnymi jedzenia.

— Ładnie wyglądacie!

— Ładnie.

— Świetnie wyglądasz, Millie!

— Świetnie.

— Wszystkie wyglądamy wspaniale.

— Wspaniale.

Montag stał patrząc na kobiety.

— Cierpliwości — szepnął Faber.

— Nie powinienem tu siedzieć — szepnął Montag prawie do siebie. — Powinienem wrócić do pana z pieniędzmi!

— Jutro będzie na to jeszcze dość czasu. Ostrożnie!

— Czy audycja nie jest cudowna? — krzyczała Mildred.

— Cudowna!

Na jednej ścianie jakaś kobieta uśmiechała się i równocześnie piła sok pomarańczowy. Jak ona to robi naraz, myślał z wściekłością Montag. Na pozostałych ścianach rentgenowskie prześwietlenie tej samej kobiety ukazujące skomplikowaną podróż odświeżającego napoju do zachwyconego żołądka! Nagle cały pokój podskoczył raketowym lotem do chmur, plusnął w cytrynowozielone morze, gdzie niebieskie ryby pożerały czerwone i żółte ryby. W minutę później trzej biali klauni z rysunkowego filmu odrąbywali sobie nawzajem ręce i nogi przy akompaniamencie potężnych wybuchów śmiechu. Minęły jeszcze dwie minuty i pokój wyskoczył z miasta do odrzutowych samochodów pędzących dziko jakąś areną, wpadających z trzaskiem na siebie, stających dęba i zde-rzających się znowu. Montag ujrzał pewną ilość ciał wylatujących w powietrze.

— Millie, widziałaś to?!

— Widziałam, widziałam!

Montag sięgnął do zagłębienia w ścianie salonu i nacisnął główny wyłącznik. Obrazy odpłynęły, jak gdyby wypuszczono wodę z jakiegoś gigantycznego kryształowego akwarium pełnego histerycznych ryb.

Kobiety odwróciły się powoli i popatrzyły na Montaga z nieukrywaną irytacją, a potem niechęcią.

— Jak przypuszczacie, zacznie się wojna? — zapytał. — Widzę, że mężowie nie przyszli z wami?

— Och, oni wciąż przychodzą i odchodzą, przychodzą i odchodzą — powiedziała pani Phelps. — Wte i wewte. Pete dostał wczoraj powołanie do wojska. Wróci w przyszłym tygodniu. Tak mu powiedzieli w wojsku. Szybka wojna. Powiedzieli, że za czterdzieści osiem godzin wszyscy wrócą do domów.. Tak właśnie mówi wojsko. Szybka wojna. Pete wczoraj dostał wezwanie i powiedzieli, że wróci w przyszłym tygodniu. Szybka...

Trzy kobiety kręciły się nerwowo i zerkały niespokojnie na puste, błotnistej kolo-ru ściany.

— Ja się nie martwię — dodała pani Phelps. — Niech się Pete martwi. — Zachichotała. — Wszystkie zmartwienia zostawiam mojemu Pete. Niech się martwi. Ja nie. Ja się nie martwię.

— Tak — powiedziała Millie. — Niech się Pete martwi.

— Podobno na wojnie giną zawsze mężowie innych kobiet.

— Ja również o tym słyszałam. Nigdy nie znałam mężczyzny, który by został zabity na wojnie. Takich, co się zabili wyskakując z piętra, owszem. Na przykład mąż Glorii w zeszłym tygodniu. Ale na wojnie? Nigdy.

— Na wojnie nigdy — powtórzyła pani Phelps. — W każdym razie Pete i ja zawsze mówimy, że żadnych łez ani nic w tym rodzaju. To trzecie małżeństwo dla nas obojga i jesteśmy niezależni. Trzeba zachować niezależność, zawsze to mówimy. On powiedział: jeśli mnie zabiją, to ty nic nie płacz, tylko bierz i wychodź znowu za mąż, i nie myśl o mnie.

— To mi Coś przypomniało — rzekła Mildred. — Widziałyście ten pięciominutowy romans Klary Dove wczoraj wieczorem na waszych ścianach? No, to było o tej kobiecie, która...

Montag nie mówił nic, tylko stał patrząc na twarze kobiet, jak ongiś patrzył na twarze świętych w obcym kościele, do którego wszedł, gdy był dzieckiem. Twarze tych emaliowanych stworów nic dlań nie znaczyły, chociaż zwracał się do nich i stał w tym kościele przez długi czas, usiłując być tej samej wiary, usiłując zrozumieć, co to za wiara, usiłując wciągnąć dość surowego kadzidła i szczególnego pyłu tego kościoła do swych płuc i w ten sposób do krwi, by się wzruszyć i zainteresować znaczeniem tych barwnych mężczyzn i kobiet z porcelanowymi oczyma i krwaworubinowymi wargami. Ale nie czuł nic, nic: to była przechadzka po kolejnym sklepie, zaś jego waluta była tu obca i nie nadająca się do użytku, a jego namiętność chłodna, nawet gdy dotykał drzewa, tynku i gliny. Tak było i teraz w jego własnym salonie, z tymi kobietami kulącymi się na krzesłach pod jego spojrzeniem, palącymi papierosy, wydmuchującymi dym, dotykającymi swych spalonych włosów i oglądającymi paznokcie tak płomienne, jak gdy-

by się zapaliły od jego wzroku. Na ich twarzach malowała się udręka ciszy. Pochyliły się do przodu, gdy Montag przełknął głośno ostatni kawałek jedzenia. Nasłuchiwały jego gorączkowego oddechu. Trzy puste ściany pokoju były jak blade czoła śpiących olbrzymów, którym się nic nie śni. Montag wyczuwał, że gdyby dotknął tych trzech nieruchomych czoł, miałby delikatny słony pot na swoich palcach. Pot gromadził się wraz z ciszą, a pozostające poza granicą słuchu drżenie dawało się wyczuć dokoła, wszędzie, a także i w kobietach, które płonęły z napięcia. W każdej chwili mogły wydać długi trzeszczący syk i eksplodować.

Montag poruszył wargami.

— Porozmawiajmy.

Kobiety wzdrygnęły się i patrzyły nieruchomo.

— Jak się miewają pani dzieci, pani Phelps? — zapytał.

— Przecież pan wie, że nie mam dzieci! Bóg mi świadkiem, że nikt przy zdrowych zmysłach nie może mieć dzieci! — odpowiedziała pani Phelps nie bardzo wiedząc, dlaczego jest zła na tego mężczyznę.

— Nie powiedziałabym tego — rzekła pani Bowles. — Urodziłam dwoje dzieci za pomocą cesarskiego cięcia. Nie ma sensu przechodzić przez te wszystkie cierpienia dla dziecka. Świat musi się reprodukować, gatunek ludzki musi trwać, to prawda. Poza tym czasami dzieci są zupełnie podobne do matki i to jest przyjemne. Dwa cesarskie załatwiły całą sprawę, tak, proszę państwa. Och, mój doktor mówił, że cesarskie cięcie jest niepotrzebne; ma pani dobre biodra, wszystko jest normalne, ale ja nalegałam.

— Czy z cesarskim cięciem, czy bez, dzieci to ruina. Pani musi być szalona — rzekła pani Phelps.

— Dzieci są w szkole przez dziewięć dni na każde dziesięć. Dają sobie z nimi radę. Kiedy są w domu trzy dni na miesiąc, wcale mi nie przeszkadzają. Wsadza się je do „salonu” i przekręca kontakt. To zupełnie jak pranie: napycha się pralkę i zatrzaskuje przykrywą — szczebiotła pani Bowles. — Inaczej zaraz zaczęłyby mnie kopać, zamiast całować. Bogu dzięki, ja też potrafię oddać kopniaka!

Kobiety pękały ze śmiechu.

Mildred siedziała przez chwilę, a potem widząc, że Montag nadal stoi w progu, kładła w dłoń.

— Mówmy o polityce, to się będzie Guyowi podobało! — krzyknęła.

— Bardzo chętnie — rzekła pani Bowles. — W ostatnich wyborach głosowałam, jak każdy, i złożyłam głos na prezydenta Noble’a. Sądzę, że nigdy jeszcze nie mieliśmy tak przystojnego prezydenta.

— Och, ale ten drugi, co był przeciwko niemu!

— Ten nie był najładniejszy, co? Dość mały i przysadzisty, zawsze źle ogolony i portargany.

— Co opozycjonistom przyszło do głowy, żeby go wystawić. Nie można wystawiać kandydatury niskiego mężczyzny przeciwko wysokiemu mężczyźnie. Poza tym bełkotał. Jak mówił, to nie mogłam rozróżnić połowy słów. A tych, które rozróżniałam, to nie rozumiałam.

— Za gruby przy tym i nie ubierał się odpowiednio, żeby to ukryć. Nic dziwnego, że głosy na Winstona Noble'a sypały się jak lawina. Nawet ich nazwiska pomogły. Porównajcie. Winston Noble i Hubert Hoag, a po dziesięciu sekundach będziecie prawie mogli obliczyć wyniki.

— Do cholery! — wrzasnął Montag. — Co wy wiecie o Hoagu i Noble'u!

— Jak to? Przecież byli na salonowych ścianach, nawet sześć miesięcy nie minęło od tego czasu. Hoag zawsze dłużył w nosie, to mnie doprowadzało do szału.

— No więc, panie Montag — powiedziała pani Phelps — chciałby pan, żebyśmy głosowały na tego typu mężczyznę?

Mildred promieniała. — Odejdź od tych drzwi, Guy, i nie denerwuj nas!

Ale Montag wyszedł i wrócił za chwilę z książką w ręku.

— Guy!

— Diabli z tym wszystkim, diabli, diabli!

— Co pan tam ma, czy to nie książka? Myślałam, że obecnie całe szkolenie zawodowe odbywa się za pomocą filmu? — pani Phelps mrugała oczami. — Czy pan czyta teorię strażacką?

— Teorię bierz cholera! — powiedział Montag. — To wiersze.

— Montag — cichy szept.

— Odczep się pan — Montag czuł, że unosi się wśród strasznego ryku, warczenia i brzęku.

— Montag, zatrzymaj się, nie...

— Słyszał pan je, słyszał pan te potwory mówiące o potworach? Och, Boże, jak one plotą o ludziach i swoich własnych dzieciach, i sobie samych, jak mówią o swych mężach i wojnie, cholera, stoję tutaj i nie mogę w to uwierzyć!

— Zwracam pańską uwagę, że nie powiedziałam ani słowa o jakiegokolwiek wojnie — oświadczyła pani Phelps.

— A jeśli chodzi o poezję, to ja jej nienawidzę — rzekła pani Bowles.

— A czytała pani co kiedy?

— Montag. — Głos Fabera szeleścił w dali. — Wszystko zepsujesz. Milcz, ty głupcze!

Trzy kobiety zerwały się na równe nogi.

— Siadajcie!

Usiadły.

— Idę do domu — bełkotała pani Bowles.

— Montag, Montag, na miłość boską, co masz zamiar robić? — zaklinał Faber.

— Dlaczego nie przeczyta nam pan po prostu jednego z tych poematów z tej pańskiej książeczki. — Pani Phelps skinęła głową. — Sądzę, że byłoby to bardzo interesujące.

— Nie — jęczała pani Bowles. — Nie możemy na to pozwolić!

— No, to spójrz na pana Montaga. On chce przeczytać, wiem, że koniecznie chce. A jeśli grzecznie wysłuchamy, pan Montag będzie szczęśliwy, a potem będziemy mogli robić co innego. — Zerknęła nerwowo na długą pustkę zamykających je ścian.

— Montag, jeśli to zrobisz, to zrywam z tobą i odchodzę — burczała kulka. — Co to da, co chcesz osiągnąć!

— Chcę je wystraszyć, oto co chcę osiągnąć, cholernie wystraszyć!

Mildred rozejrzała się dokoła. — Ależ, Guy, do kogo ty mówisz?

Srebrna igła przewierciła jego mózg. — Montag, słuchaj, jest tylko jedna droga wyjścia, powiedz, że to żart, uspokój się, udawaj, że w ogóle nie jesteś rozwścieczony. Potem podejdź do ściennej spalarni i wrzuć książkę do środka!

Mildred już to uprzedziła łamiącym się głosem:

— Proszę was, raz na rok każdemu strażakowi wolno przynieść do domu książkę z dawnych czasów, by pokazać swej rodzinie, jak to wszystko było głupie, jak takie rzeczy potrafią nas zdenerwować, doprowadzić do szału. Guy chciał nam zrobić niespodziankę i przeczytać jeden kawałek, by pokazać, jak wszystko było kiedyś pomieszane, tak żeby nikt z nas nie zawracał sobie głowy tym starym próchnem. Prawda, kochanie?

Gniótł książkę w pięściach.

— Powiedz: „tak”.

Jego usta poruszyły się tak jak Fabera.

— Tak.

Mildred ze śmiechem porwała książkę.

— Proszę! Przeczytaj to. Nie, co innego. Tu jest naprawdę coś zabawnego, to, co dziś już czytałeś na głos. Moje drogie, nie zrozumiecie ani słowa. Jakies stękanie — um, hm, brum. Dalej, Guy, przeczytaj tę stronę, kochanie.

Popatrzył na otwartą stronicę.

W jego uchu jak by mucha delikatnie poruszyła skrzydełkami.

— Czytaj.

— Jaki to ma tytuł, kochanie?

— „Wybrzeże Dover” — powiedział głucho Montag.

— A teraz przeczytaj to ładnym czystym głosem i powoli.

Pokój ział żarem, Montag cały był w ogniu, cały był chłodem; siedzieli pośrodku rozległej pustyni, na której nie było nic, tylko trzy krzesła, a on stał chwiejąc się, czekając, aż

pani Phelps przestanie przyglądać rąbek sukni, a pani Bowles odejmie palce od swych włosów. Potem zaczął czytać powolnym, utykającym głosem, który wzmacniał się, gdy postępował od linijki do linijki. Jego głos przechodził przez pustynię, w białą przestrzeń wokół trzech siedzących kobiet, w wielką gorącą pustkę.

*Morze wiary
Też otaczało ongiś ziemi brzegi
Niby lśniącego pasa długie zwoje.
Dzisiaj tylko słyszę
Jego melancholijny, ciągły szum, milknący
Do wtóru westchnień
Nocnego wiatru, który mąci ciszę
Posepnych równin i nagich skał świata.*

Krzesa trzeszczały pod trzema kobietami. Montag czytał dalej:

*Miłości! Bądźmy wierni
Sobie nawzajem! Bo ten świat przed nami,
Co nasze oczy świętym blaskiem mamy,
Tak różnorodny, tak piękny, tak nowy,
Jest bez radości, pewności, pokoju,
Miłości, światła, bez ulgi od bólu;
Błądzimy po nim jak po mrocznym polu,
Które rozbrzmiewa boju i ucieczki wrzawą,
Gdy dwie nieznane armie nocą walczą krwawo.*

Pani Phelps płakała.

Pozostałe wśród pustyni patrzyły, jak płacze coraz głośniejsze, a jej twarz traci w skurczach wszelki kształt. Siedziały nie zbliżając się do niej, zdumione jej wybuchem. Łkała niepohamowanie. Sam Montag był ogłuszony i wstrząśnięty.

— Ćśś, ćś... — uspokajała Mildred. — Już wszystko w porządku, Klaro, uspokój się, Klaro! Klaro, co ci jest?!

— Ja... ja... — łkała pani Phelps — nie wiem, nie wiem, po prostu nie wiem, och, och...

Pani Bowles wstała i złowrogo popatrzyła na Montaga. — Wiedziałam, że tak będzie, oto co chciałam udowodnić! Wiedziałam, że tak się stanie! Zawsze mówiłam: poezja i łzy, poezja i samobójstwo, i płacz, i okropne samopoczucie, cała ta tkliwość! Teraz mam oczywisty dowód. Brzydki pan jest, panie Montag, brzydki!

Faber powiedział: — A teraz...

Montag poczuł, że się obraca, idzie do otworu w ścianie i wrzuca książkę przez mosiężne drzwiczki do pełzających płomieni.

— Głupie słowa, głupie słowa, głupie, straszliwie raniące słowa — powiedziała pani Bowles. — Dlaczego ludzie chcą ranić innych ludzi? Jak by nie było dość zła na świecie, jeszcze drażnić ludzi tego rodzaju rzeczami!

— Klaro, ależ, Klaro! — błagała Mildred chwytając ją za ramię. — Dalej, bawmy się! Włącz teraz „rodzinkę”. Dalej. Śmiejmy się i bądźmy szczęśliwi teraz, przestań płakać, przecież jesteś w gościach!

— Nie — oznajmiła pani Bowles. — Wychodzę i idę prosto do domu. Jeśli chcesz odwiedzić mój dom i moją „rodzinkę”, bardzo dobrze. Ale nigdy w życiu nie wejdę więcej do domu pomyłonego strażaka!

— Idź do domu. — Montag spokojnie utkwiał w niej oczy. — idź do domu i pomyśl o twoim pierwszym rozwiedzionym mężu i drugim mężu zabitym w odrzutowcu, i o trzecim mężu, który sobie strzelił w łeb, idź do domu i pomyśl o tych wszystkich skrobankach, które miałeś, pomyśl o tym i o tych twoich cholernych cesarskich cięciach również, i o twoich dzieciach, które cię nienawidzą gorzej od cholery! Idź do domu i pomyśl, jak to się wszystko stało i co kiedykolwiek zrobiłeś, żeby położyć temu koniec! Idź do domu, idź do domu! — wrzasnął. — Idź do domu, zanim ci dam w głowę i wykopnę za drzwi!

Drzwi zatrzasnęły się i dom był pusty. Montag stał sam wśród zimowych ścian o barwie brudnego śniegu.

W łazience szumiała woda. Słyszał, jak Mildred wytrząsa na dłoń tabletki nasenne.

— Głupiec, Montag, ach, Boże, głupiec, głupiec. Ty głupi durniu...

— Milcz! — Wyciągnął zieloną kulkę z ucha i wrzucił ją do kieszeni.

Szczała cichutko: — ...głupiec... głupiec...

Przeszukał dom i znalazł książki za lodówką, gdzie Mildred je schowała. Kilku brał i wiedział, że zaczęła na własną rękę powolny proces usuwania dynamitu z domu, kawałek po kawałku. Nie gniewał się już. Był tylko wyczerpany i zdziwiony sam sobą. Wyniósł książki na tylne podwórko i ukrył je w krzakach w pobliżu płotu przy uliczce. To na dziś tylko, pomyślał, na wypadek, gdyby się zdecydowała na dalsze palenie.

Wrócił do domu. — Mildred? — zawołał przy drzwiach ciemnej sypialni. Nie słyszał ani szmeru.

Idąc do pracy próbował nie dostrzegać, jak bardzo ciemny i opuszczony jest dom Klarysy McClellan...

W drodze do miasta był tak całkowicie samotny w świadomości swej potwornej omyłki, że poczuł potrzebę dziwnego ciepła i dobroci bliskiego i szlachetnego głosu mówiącego wśród nocy. Choć minęło zaledwie kilka krótkich godzin, zdawało mu się,

że zna Fabera przez całe życie. Montag wiedział teraz, że żyje w nim dwóch ludzi, że jest przede wszystkim Montagiem, który nic nie wie, który nie wie nawet, że jest głupcem, a tylko to podejrzewa. I wiedział również, że jest starym człowiekiem, który do niego mówił i mówił, gdy pociąg był wsysany z jednego końca miasta do drugiego w jednym, długim, mdlącym westchnieniu ruchu. Podczas dni, które miały nadejść, i nocy, kiedy nie będzie księżyc, i nocy, kiedy bardzo jasny księżyc oświetli ziemię, stary człowiek będzie mówił dalej, jak kropla po kropli, kamyk po kamyku, płatek po płatku. Jego umysł wreszcie wypełni się po brzegi i nie będzie już więcej Montagiem, to mówił mu stary człowiek, zapewniał, obiecywał. Będzie Montagiem plus Faber, ogień plus woda, a wtedy pewnego dnia, kiedy wszystko już się zmiesza dokładnie, zagotuje i sfermentuje w milczeniu, nie będzie ognia ani wody, lecz wino. Z dwóch różnych i przeciwstawnych substancji powstanie trzecia. I pewnego dnia spojrzy wstecz na swą głupotę i będzie rozumiał głupotę. Nawet już teraz odczuwał początek długiej podróży, pożegnania, odejścia od siebie takiego, jakim był.

Dobrze było przysłuchiwać się brzęczeniu owada, sennemu pomrukiwaniu komara i cichutkiemu filigranowemu pomrukowi starego człowieka, najpierw wymyślającego, a następnie pocieszającego Montaga o późnej godzinie w nocy, gdy wynurzył się z parującej kolei podziemnej idąc ku światu strażnicy.

— Litości, Montag, litości! Nie krzycz i nie napadaj na nich, przecież dopiero co spośród nich wyszedłeś, Są tak łatwowierni, że będą stale robić to samo. Ale oni nie chcą tego robić. Nie wiedzą, że to wszystko jest tylko olbrzymim płonącym meteorem, który pięknie migocze w przestrzeni, ale któregoś dnia musi uderzyć. Oni widzą tylko błysk, piękny błysk, tak jak i ty go widziałeś.

Montag, starzy ludzie, którzy ze strachu pozostają w domu, w trosce o swe kruche jak skorupka ziemnego orzeszka kości, nie mają prawa krytykować. Ale ty prawie pogrzebałeś wszystko od samego początku. Bądź czujny! Pamiętaj, że jestem z tobą. Rozumiem, jak to się stało. Muszę przyznać, że twój ślepy szal dodał mi wigoru. Boże, jak młodo się czułem! Ale teraz... chcę, żebyś ty czuł się staro, chciałbym, żeby trochę mojego strachu przesączyło się do ciebie dzisiejszej nocy. W ciągu kilku następnych godzin, kiedy spotkasz się z kapitanem Beatty, chodź wokół niego na paluszkach, pozwól, żebym to ja go słuchał dla ciebie, pozwól mi wybadać sytuację. Tu chodzi o nasze życie. Zapomnij o tych biednych, głupich kobietach...

— Sądzę, że uczyniłem je bardziej nieszczęśliwymi, niż były od lat — powiedział Montag. — Wstrząsnęło mną, gdy ujrzałem, jak pani Phelps płacze. Może one i mają rację, że najlepiej jest nie brać rzeczy poważnie, tylko się bawić. Nie wiem. Czuję się winien...

— Nie, nie można. Gdyby nie było wojny, gdyby na świecie panował pokój, powiedziałbym: doskonale, baw się. Ale, Montag, nie możesz znowu być tylko strażakiem. Sytuacja na świecie wygląda bardzo źle.

Montag pocił się.

— Montag, słuchasz?

— Moje nogi — rzekł Montag. — Nie mogę nimi poruszać. Czuję się diabelnie głupio. Po prostu nie chcą mnie nosić.

— Słuchaj. Tylko spokojnie — powiedział łagodnie stary człowiek. — Wiem, wiem. Boisz się popełniać błędy. Nie bój się. Błędy się oplacają. Człowieku, kiedy byłem młodszy, rzucałem moją ignorancję ludziom w twarz. Tłukli mnie bez litości. Ale z czasem, gdy doszedłem już do czterdziestki, mój tępy instrument stał się wyostrzoną szpadą. Jeśli będziesz ukrywał swą ignorancję, nikt cię nie uderzy i nigdy się niczego nie nauczysz. A teraz weź się do kupy i jazda do strażnicy! Jesteśmy bliźniakami, nie jesteśmy już więcej samotni, nie jesteśmy odseparowani w różnych salonach, bez żadnego kontaktu. Jeśli będziesz potrzebował pomocy, kiedy Beatty rzuci się na ciebie, będę siedział na miejscu, w twoim bębenu, robiąc notatki!

Montag poczuł, że porusza się najpierw jego lewa stopa, a potem prawa.

— Mój stary — powiedział — nie opuszczaj mnie.

Mechanicznego psa nie było. Jego psiarnia stała pusta, strażnica była pogrążona w tynkowanej ciszy, a pomarańczowa salamandra spała z naftą w kadłubie, z miotaczami płomieni skrzyżowanymi na jej bokach. Montag szedł w ciszy, dotknął mosiężnego słupa i pojechał do góry, spoglądając na opuszczoną psiarnię; jego serce biło, przestawało bić, biło, przestawało. Faber stał się szarą ćmą śpiącą tymczasem w jego uchu.

Beatty stał w pobliżu otworu zjazdowego, ale odwrócony doń plecami, jak gdyby nie czekał.

— Proszę — powiedział do strażaków grających w karty — oto nadchodzi bardzo dziwne stworzenie, które we wszystkich językach świata nazywają głupcem.

Wyciągnął w bok rękę, dłonią do góry, jak by czekając na podarunek. Montag wsunął mu książkę do ręki. Nie patrząc nawet na tytuł, Beatty wyrzucił książkę do kosza ze śmieciami i zapalił papierosa.

— „Ci, co łyknęli trochę mądrości, są największymi głupcami.” Witaj, Montag. Mam nadzieję, że zostaniesz z nami, teraz, kiedy twoja gorączka minęła, a twoja choroba się skończyła. Zagrasz partię pokera?

Usiedli, rozdano karty. W obliczu Beatty'ego, Montag czuł winę swoich rąk. Jego palce były jak łasice, które uczyniły coś złego, a teraz nie miały ani chwili spokoju, bez przerwy się poruszały, kręciły i chowały w kieszeniach, uciekając spod połyskujących jak płonący spirytus oczu Beatty'ego. Montag czuł, że za jednym tchnieniem kapitana jego ręce mogą uschnąć, wykręcić się w stawach i żaden wstrząs nie ożywi ich ponownie, pozostaną na resztę jego życia zagrzebane w rękawach, zapomniane. Gdyż były to ręce, które działały same z siebie, nie były jego częścią, to w nich najpierw pojawiła się skłonność do porywania książek, do uciekania z Hiobem i Ruth, i Szekspirem, a teraz, w strażnicy, wydawało się, że te ręce pokrywa krew.

W ciągu pół godziny Montag dwa razy musiał wstawać od gry i wychodzić do toalety, żeby umyć ręce. Kiedy wracał, chował je pod stołem.

Beatty śmiał się. — Nie chowaj rąk, Montag. Nie to, żebyśmy ci nie wierzyli, rozumiesz, ale...

Wszyscy się śmieli.

— No, dobrze — powiedział Beatty — kryzys minął, wszystko w porządku, owieczka powraca do stada. Wszyscy jesteśmy owcami, które niekiedy błędziły. Prawda jest prawdą aż do końca obrachunku — krzyczeliśmy niekiedy. Krzyczeliśmy, że ci, którym towarzyszą szlachetne myśli, nie są nigdy samotni. „O słodki pokarmie słodko wyrażonej wiedzy”, powiedział sir Philip Sidney. Ale z drugiej strony: „Słowa to liście, a gdzie są w nadmiarze, tam sensu owoc dość rzadko się zdarzy”. Aleksander Pope. Co o tym myślisz, Montag?

— Nie wiem.

— Ostrożnie — szepnął Faber z oddali, z innego świata.

— Albo to: „W małych okruchach wiedzy tkwi wiele groźnego. Pij dużo lub nie kosztuj z źródła pieryjskiego: zwykle po kilku łykach człek tylko szaleje, lecz gdy obficie pije, dopiero trzeźwieje”. Pope. Ten sam utwór. No i co ci to mówi?

Montag zagryzł wargi.

— Powiem ci — rzekł Beatty uśmiechając się do swych kart. — To cię na krótką chwilę upoiło. Przeczytaj parę linijek, a już uderza ci do głowy. Buch, już jesteś gotów wysadzić świat w powietrze, obcinać głowy, mordować kobiety i dzieci, obalać władzę. Wiem, bo sam przez to wszystko przeszedłem.

— Ja jestem zupełnie w porządku — powiedział Montag nerwowo.

— Nie masz co się czerwienić. Nie kpię z ciebie, naprawdę. Wiesz, że godzinę temu, kiedy się trochę zdrzemnąłem, miałem sen, a w tym śnie ja i ty toczyliśmy gwałtowną dyskusję o książkach. Ty szalałeś z wściekłości, rzucałeś we mnie cytatami. Ja spokojnie parowałem każde pchnięcie. „Siła” — rzekłem. A ty cytując doktora Johnsona powiedziałeś: „Wiedza to coś więcej niż równoważnik siły!” A ja na to: — Ależ, drogi chłopcze, doktor Johnson powiedział również, że „żaden mądry człowiek nie porzuci pewności dla niepewności.” Trzymaj ze strażakami, Montag. Wszystko inne to szaleńczy chaos!

— Nie słuchaj — szepnął Faber. — On próbuje zmącić ci w głowie. Jest bardzo śliński. Uważaj!

Beatty zachichotał. — Ty odpowiedziałeś cytatem: „Prawda wypływa na wierzch, morderstwa nie da się długo ukryć!” A ja krzyknąłem w doskonałym humorze: „Och, Boże, o niczym nie mówi, tylko o swoim koniu!” A następnie: „Szatan śmie nam cytować pismo dla swoich celów”. A ty wrzasnąłeś: „Dzisiaj większą ma cenę głupiec pozłacany, niżli obdarty święty, naukom oddany!” Zaś ja szepnąłem spokojnie: „Godność

prawdy została stracona bez wielu protestów”. A ty wrzasnąłeś: „Trupy krwawią na widok mordercy!” A ja na to, klepiąc cię po ramieniu: „Ale daję ci szkołę, co?” Ty znów: „Wiedza to potęga!” — i: „Karzeł na barkach olbrzyma widzi dalej od nich obu!” Ja natomiast podsumowałem me stanowisko z niezwykłym spokojem mówiąc: „Głupota traktowania metafory jako dowód, potok pustych słów zamiast źródła zasadniczych prawd i uznanie siebie samego za wyrocznie są nam wrodzone — powiedział kiedyś pan Valery”.

Montag czuł mdlący zamęt w głowie. Czuł się, jak by spadały nań bezlitosne ciosy — na jego czoło, oczy, nos, usta, podbródek, barki, na bezwładne ramiona. Chciał krzyknąć: „Nie! Milcz, mącisz wszystko, przestań!” Ruchliwe palce Beatty’ego wysunęły się i chwyciły go za przegub.

— Boże, co za puls! Zdenerwowałem cię, Montag? Jezu, twój puls jest w takim zamęcie, jak pierwszy dzień po wojnie. Brakuje tylko syren i dzwonów!. Czy mam jeszcze coś powiedzieć? Podoba mi się twój wystraszony wygląd. Suaheli, hindi, literacki angielski — mówię wszystkimi językami. Takie sobie prześliczne bajdurzenie!

— Montag, trzymaj się! — ćma musnęła ucho Montaga. — On mąci wodę.

— Och, ciebie łatwo było wystraszyć — powiedział Beatty — ponieważ popełniłem coś strasznego, używając tych samych książek, których się trzymałeś, by pobić cię na każdym polu w każdym punkcie! Jakimiż zdrajcami mogą być książki! Myślisz, że cię popierają, a tymczasem one zwracają się przeciwko tobie. Inni również potrafią ich używać i raptem czujesz się opuszczony w samym środku bagna, w wielkiej masie rzeczowników, czasowników i przymiotników. A na samym końcu mojego snu podjechałem salamandrą i spytałem: „Jedziesz ze mną?”, a ty wsiadłeś i pojechaliliśmy razem do strażnicy w błogiej ciszy, i wszystko zakończyło się pokojem. — Beatty puścił przegub Montaga i ręka bezwładnie opadła na stół. — Wszystko dobre, co się dobrze kończy.

Milczenie. Montag siedział jak rzeźbiony biały kamień. Echo ostatecznego uderzenia młota w jego czaszkę zamierało powoli w czarnej jaskini, gdzie Faber czekał na zamilknięcie ech. A wtedy, gdy wzniecony kurz osadzał się w mózgu Montaga, Faber zaczął miękko:

— Doskonale. Powiedział, co wiedział. Musisz to przyjąć. W ciągu najbliższych kilku godzin ja również powiem, co mam do powiedzenia. I to też musisz przyjąć. I musisz spróbować osądzić te obie wypowiedzi i zdecydować się, w którą stronę iść czy upaść. Ale chcę, żeby to była twoja decyzja, nie moja czy kapitana. Lecz pamiętaj, że kapitan należy do najbardziej niebezpiecznych wrogów prawdy i wolności, do stłoczonego nieruchomego stada większości. Ach, Boże, straszliwa tyrania większości! Wszyscy potrafimy grać na naszych harfach. I od ciebie zależy, którym uchem będziesz słuchał.

Montag otworzył usta, by odpowiedzieć Faberowi mimo obecności innych, lecz uniknął tej omyłki, gdyż zadźwięczał dzwon strażnicy. Automat alarmowy wyśpiewy-

wał w suficie. Rozległ się stukający dźwięk, gdy telefon meldunków alarmowych wypisywał adres. Kapitan Beatty, trzymając karty do gry w różowej dłoni, przesadnie pozwolił podszedł do telefonu i oderwał kartkę z adresem, kiedy meldunek został skończony. Rzucił nań okiem i wsadził do kieszeni. Wrócił i usiadł. Pozostali patrzyli na niego.

— Mogę poczekać jeszcze równe czterdzieści sekund, zanim nie ściągnę z was wszystkich pieniędzy — powiedział Beatty rozpromieniony.

Montag odłożył karty.

— Zmęczylesz się, Montag, wychodzisz z gry?

— Tak.

— Poczekajcie. Właściwie możemy skończyć tę partię później. Po prostu zostawcie na stole zakryte karty i bierzcie ekwipunek. A teraz jazda! — I Beatty wstał znowu.

— Montag, źle się czujesz? Nie chciałbym, żebyś znowu dostał gorączki...

— Przejdzie mi.

— Na pewno. A teraz mamy bardzo specjalną sprawę. No dalej, jazda!

Ruszyli biegiem, przyłgnęli do mosiężnego słupa, jak by to było ostatnie schronienie przed nadlatującą falą powodzi, a mosiężny słup, z zapierającą dech szybkością, osunął się z nimi w ciemność, błysk i kaszel, i ssanie benzynowego smoka, budzącego się z rykiem do życia!

— Hej!

Zakręcili na rogu z grzotem motoru i wyciem syreny, stukiem opon, piskiem gumy i bulgotem nafty w połyskującym mosiężnym zbiorniku niby pokarmu w żołądku olbrzyma. Palce Montaga zeskoczyły srebrnej poręczy, machnęły w chłodną przestrzeń, podczas gdy wiatr zrywał mu włosy z głowy, gwizdał mu w zębach, zaś Montag myślał o kobietach, głupich kobietach w jego salonie dzisiejszej nocy, otumanionych neonowym wiatrem, i o jego głupim diabelnie czytaniu im książki. Zupełnie, jak by ktoś chciał zagasić ogień pistoletem wodnym... jakże to bezsensowne i szaleńcze! Jedna wściekłość napływała na miejsce drugiej. Jeden gniew przechodził w inny gniew. Kiedy wreszcie przestanie, kiedy skończą się jego szaleństwa i będzie spokojny, naprawdę spokojny?

— Naprzód!

Montag podniósł głowę. Beatty nigdy nie prowadził wozu, lecz dziś siedział przy kierownicy, przerzucając salamandrę z ulicy na ulicę, pochylając się ku przodowi na wysokim tronie kierowcy, jego ciężki czarny płaszcz trzepotał z tyłu, tak że wydawał się wielkim czarnym nietoperzem lecącym nad maszyną, nad mosiężnymi numerami, rozpocierającym skrzydła na wiatr.

— Naprzód! Zapewniamy szczęście światu, Montag!

Różowe, fosforyzujące policzki Beatty'ego połyskiwały w ciemności, a on uśmiechał się wściekle.

— Jesteśmy na miejscu!

Salamandra stanęła z hukiem, wyrzucając mężczyzn w kurtkach i niezgrabnych butach. Montag stał utkwivszy swe przekrwione oczy w chłodną błyszczącą poręcz pod zaciśniętymi palcami.

Nie mogę tego robić, pomyślał. Jak mam w takim przypadku postąpić, jak mogę nadal palić wszystko? Nie pójdę tam.

Beatty pachnący wiatrem, przez który pędził, był już przy ramieniu Montaga.
— Dobra jest, Montag.

Strażacy biegli jak kalecy w swych niezgrabnych butach, cicho niby pająki.

Wreszcie Montag podniósł oczy i odwrócił się.

Beatty obserwował jego twarz.

— Coś ci się nie podoba, Montag?

— Dlaczego — powiedział Montag powoli — za trzymaliśmy się przed moim domem?

Część trzecia

Jasny płomień

Światła zapalały się, a drzwi otwierały we wszystkich domach przy całej ulicy, ludzie chcieli oglądać karnawałowe widowisko. Montag i Beatty wpatrywali się, jeden z obojętną satysfakcją, drugi z niedowierzaniem, w dom stojący przed nimi, tę główną arenę, na której miotać się będzie pochodnie i pożerać ogień.

— No więc — powiedział Beatty — dograłeś się. Nasz Montag chciał wzlecieć do słońca, a teraz, gdy opalił swoje cholerne skrzydełka, zastanawia się dlaczego. Czy nie dałem ci dość wyraźnego ostrzeżenia, kiedy wysłałem psa pod twój dom?

Twarz Montaga była całkowicie tępą i pozbawioną wyrazu. Czuł, że jego głowa zwraca się jak kamienna rzeźba do ciemnego domu w sąsiedztwie otoczonego jasnymi grządkami kwiatów.

Beatty parsknął. — Ach, nie! Ciebie przecież nie ogłupiła ta mała idiotka, co? Kwiaty, motyle, liście, zachody słońca, och, cholera! Mamy to wszystko w jej aktach. Niech mnie diabli! Trafiłem w sedno. Gdybyś mógł widzieć ten mdły wyraz na swojej twarzy. Parę źdźbeł trawy i kwadry księżycy. Co za brednie! Czego ona tym wszystkim dokonała?

Montag siedział na chłodnym błotniku smoka, poruszając głową pół ciała na lewo, pół ciała na prawo, w lewo w prawo, w lewo w prawo.

— Ona widziała wszystko. Nikomu nic złego nie robiła. Po prostu zostawiała ludzi w spokoju.

— W spokoju, diabli! Wierciła ci dziurę w brzuchu, nie? Jedna z tych cholernych, dobroczynnych panius z ich zgorszonymi świętoszkowatymi minami, których jedyny talent polega na wzbudzaniu we wszystkich poczucia winy. Do diabła, one wstają jak słońce o północy, żeby człowiek musiał się pocić w swoim łóżku!

Frontowe drzwi otworzyły się. Mildred zbiegła po schodach trzymając w ręku nieprzytomnym, sztywnym chwytem walizkę. Taksówka z sykiem podjechała do krawężnika.

— Mildred!

Przebiegła sztywno obok, jej twarz była biała od pudru, ust prawie nie było widać bez pomadki.

— Mildred, to przecież nie ty wszczęłaś alarm!

Wrzuciła walizkę do czekającej taksówki, wskoczyła do środka i siedziała mrucząc:

— Biedna „rodzinka”, och, wszystko stracone, wszystko, wszystko teraz stracone...

Beatty chwycił Montaga za ramię, gdy taksówka ruszyła z miejsca i z szybkością siedemdziesięciu mil na godzinę zniknęła w głębi ulicy.

Rozległ się szcęk, jak by rozpadały się części snu stworzonego z kawałków szkła, lustro i kryształowych pryzmatów. Montag chwiał się, jak gdyby ruszał na niego jeszcze jeden niezrozumiały sztorm. Widział Stonemana i Blacka wymachujących toporkami, tłukących szyby, by umożliwić przepływ powietrza,

Muśnięcie ćmy na chłodnej czarnej zasłonie. — Montag, tu Faber. Słyszysz mnie? Co się stało?

— To stało się mnie — powiedział Montag.

— Co za straszliwa niespodzianka — powiedział Beatty. — Albowiem każdy obecnie wie i jest absolutnie pewny, że nic nie może zdarzyć się „mnie”. Inni umierają, ja żyję. Nie ma konsekwencji i odpowiedzialności. Z tym wyjątkiem, że jednak jest. Ale nie mówmy o tym, hę? Kiedy konsekwencje zaskakują człowieka, jest już za późno, co, Montag?

— Montag, nie możesz odejść, uciec? — zapytał Faber.

Montag szedł, lecz nie czuł, że jego stopy dotykają betonu, a potem nocnej trawy. Obok niego Beatty rozniecił zapalacz i zafascynowanym wzrokiem wpatrywał się w mały pomarańczowy płomyk.

— Co w ogniu jest tak przyjemnego? Co nas w nim tak pociąga, niezależnie od tego, ile mamy lat? — Beatty gasił płomień i zapalał go znowu. — To wieczny ruch, perpetuum mobile, rzecz, którą człowiek usiłował wynaleźć, lecz nigdy nie wynalazł. Albo prawie perpetuum mobile. Jeśli je uruchomisz, będzie płonęło przez całe nasze życie. Czym jest ogień? To tajemnica. Uczni plotą coś o tarciu i cząsteczkach. Ale naprawdę nie wiedzą. Ogień to prawdziwe piękno polegające na tym, że burzy odpowiedzialność i konsekwencje. Jeśli jakiś problem staje się zbyt uciążliwy — do ognia z nim! Teraz, Montag, ty jesteś ciężarem. A ogień usunie cię z moich barków, czysto, szybko, pewnie. Nie zostanie nic, żeby późniejgniło. Antybiotycznie, estetycznie, praktycznie.

Montag stał patrząc teraz na ten dziwny dom, obcy w późnej godzinie nocy, udziwiony pomrukującymi głosami sąsiadów, rozbitym szkłem, tym, że na podłodze, z obdartymi okładkami i rozsypanymi jak łabędzie pióra kartkami, leżały niewiarygodne książki, które wyglądały tak głupio, i naprawdę niegodne, by się nimi kłopotać, gdyż nie były niczym więcej jak czarnym drukiem, pożółkłym papierem i obszarpaną tekturą.

Mildred oczywiście. Musiała zauważyć, jak ukrywał książki w ogrodzie, i przyniosła je z powrotem Mildred. Mildred.

— Chcę, żebyś całą tę robotę załatwił sam, Montag. Nie naftą i zapalką, lecz miotaczem płomieni kawałek po kawałku. Twój dom sam musisz sprzątać.

— Montag, nie możesz uciec?!

— Nie! — wykrzyknął Montag bezradnie. — Pies! Ze względu na psa!

Faber usłyszał, a również Beatty usłyszał i pomyślał, że jest to skierowane do niego.

— Tak, pies jest tu w okolicy, więc niczego nie próbuj. Gotów?

— Gotów. — Montag szarpnął bezpiecznik na miotaczu płomieni.

— Ognia!

Wielki syczący strumień ognia wyskoczył, by uderzyć w książki i odrzucić je na ścianę. Montag wszedł do sypialni, strzelił dwa razy i bliźniacze łóżka buchnęły płomieniem i wielkim połyskującym szeptem, z o wiele większym żarem, namiętnością i światłem, niż się mógł po nich spodziewać. Palił ściany sypialni i pudło z kosmetykami, ponieważ pragnął zmienić wszystko, palił krzesła, stoły, a w jadalni srebra stołowe i nakrycia z plastyku, wszystko, co wskazywało, że żył w tym pustym domu z obcą kobietą, która jutro go zapomni, która już odeszła i już zupełnie go zapomniała, słuchając tego, co wlewa w nią jej muszelkowe radio, gdy samotna jedzie przez miasto. I tak jak poprzednio palenie sprawiało mu przyjemność, czuł, że wyładowuje się w ogniu, chwytając, targając, rozrywając płomieniem i odrzucając bezsensowny problem. Jeśli nie było rozwiązania, teraz nie było również problemów. Ogień jest najlepszy na wszystko!

— Książki, Montag.

Książki tańczyły i podskakiwały jak przypiekane ptaki, ich skrzydła płonęły czerwonymi i żółtymi piórami.

A potem wszedł do salonu, gdzie spały wielkie idiotyczne potwory ze swymi białymi myślami i śnieżnymi snami. Wystrzelił strumień ognia na każdą z trzech pustych ścian i wokół niego zasyczała próżnia. Próżnia wydała z siebie nawet jeszcze bardziej pusty świst, bezsensowne wycie. Usiłował myśleć o próżni, na której produkowała się nicość, lecz nie mógł. Wstrzymał oddech, żeby próżnia nie mogła dostać się do jego płuc. Odciął jej straszliwą pustkę, cofnął się i ofiarował całej sali jeden potężny jasno-żółty kwiat ognia. Ogniotrwała powłoka na wszystkim była rozcięta szeroko i dom zaczął dygotać od płomieni.

— Skoro już mniej więcej skończyłeś — powiedział za nim Beatty — jesteś aresztowany.

Dom rozpadał się w czerwone węgle i czarny popiół. Układał się do snu w senny, różowoszarych zgliszczach, a pióropusz dymu powiewał nad nim, wznosząc się i chwytając lekko na niebie. Była godzina trzecia trzydzieści nad ranem. Tłum wycofał się z powrotem do domów. Wielki namiot cyrku rozpadł się na węgiel i zgliszczka, i widowisko było już skończone.

Montag stał z miotaczem płomieni w bezwładnych rękach, pod pachami miał wielkie plamy potu, a twarz usmarowaną sadzą. Inni strażacy czekali za nim, tłące się fundamenty delikatnie oświetlały w mroku ich twarze.

Montag dwa razy próbował mówić, nim wreszcie udało mu się złożyć do kupy swą myśl.

— Czy to moja żona wszczęła alarm?

Beatty skinął głową. — Ale jej przyjaciółki złożyły już wcześniej meldunek, którego jednak nie uwzględniłem. W ten czy inny sposób nie uniknąłbyś tego. To było dość głupie — cytować wiersze na prawo i na lewo, jak gdyby nigdy nic. Postępek cholernie głupiego snoba. Dać człowiekowi parę linijek wiersza, a już myśli, że jest panem wszelkiego stworzenia. Zdaje mu się, że może chodzić po wodzie z pomocą swych książek. Ale świat potrafi doskonale się bez nich obywać. Patrz, dokąd cię zaprowadziły: siedzisz w błocie po same uszy. Jeśli kiwnę moim małym palcem, utopisz się.

Montag nie mógł się poruszyć. Wraz z pożarem przyszła wielka lawina i zmiotła dom, Mildred była gdzieś tam przysypana i całe jego życie przygniecione gruzami, a on nie mógł się poruszyć. Trzęsienie ziemi jeszcze trwało, padało i dygotało wewnątrz niego, a on stał ze zgiętymi kolanami pod wielkim brzemieniem zmęczenia, zdumienia i wściekłości, pozwalając, by Beatty go bił nie podnosząc nawet ręki.

— Montag, ty idioto, Montag, ty cholerny głupcze! Powiedz, dlaczego naprawdę to zrobiłeś?

Montag nie słyszał, był daleko, w głębi duszy uciekał, nie było go już, pozostawił tylko swe martwe, pokryte sadzą ciało, by zataczało się przed innym szalejącym głupcem.

— Montag, uciekaj stamtąd! — powiedział Faber.

Montag nasłuchiwał.

Beatty uderzył go w głowę, aż się zatoczył. Zielona kulka, w której szeptał i krzyczał głos Fabera, upadła na chodnik. Beatty chwycił ją uśmiechając się. Przybliżył ją do ucha.

Montag usłyszał odległy głos: — Montag, nic ci się nie stało?

Beatty wyłączył zieloną kulkę i wsadził ją do kieszeni.

— Widzę — rzekł — że jest w tym więcej, niż przypuszczałem. Spozregłem, że nachylasz głowę nasłuchujesz. Najpierw pomyślałem, że masz muszelkę radiową. Ale kiedy potem zaczęłaś się robić taki sprytny, dziwiłem się, co to takiego. Dobrze, zbadamy to i weźmiemy się do twojego przyjaciela.

— Nie! — krzyknął Montag.

Nacisnął bezpiecznik miotacza płomieni. Beatty wpatrywał się uporczywie w palce Montaga, a jego oczy rozszerzyły się cokolwiek, Montag dostrzegł w nich zaskoczenie i sam spojrzął na swe ręce, by zobaczyć, co nowego zrobiły. Rozmyślając o tym później, nie mógł nigdy ustalić, czy to ręce, czy też reakcja Beatty'ego na te ręce dały mu ostatnią podniechęć do morderstwa. Ostatni przeciągły grzmot lawiny sypał kamieniami wokół jego uszu, nie dotykając go.

Beatty uśmiechnął się swym najbardziej czarującym uśmiechem. — Oto jedyny sposób, by zapewnić sobie słuchaczy. Wymierzyć broń w człowieka i zmusić go, by wysłuchał, co mówimy. Więc mów. Co to będzie tym razem? Dlaczego nie rzygasz na mnie Szekspirem, ty niedołączny snobie? „Groźby twe niczem są dla mnie, Kasjuszu; bo mnie uczciwość tak warownie zbroi, że one koło mych uszu przechodzą jak ów wiatr, którym gardzę”. Może tak, co? No, więc dalej, ty niedouczonego miłośniku literatury, naciskaj spust. — Postąpił jeden krok ku Montagowi.

Montag powiedział tylko: — Nigdy nie paliliśmy tego, co należy...

— Daj to, Guy — powiedział Beatty z nieruchomym uśmiechem.

I już był wrzeszczącą pożogą, skaczącym, miotającym się konwulsyjnie manekinem, pozbawionym cech ludzkich czy też cech jakiegokolwiek żywej istoty, skręcającym się na murawie płomieniem, zaś Montag strzelał weń bez przerwy potokiem płynnego ognia. Rozległ się syk, jak by ktoś plunął obficie śliną na rozpalony do czerwoności piec, bulgotanie i trzeszczenie, jak gdyby sypano solą na jakiegoś monstrualnego czarnego ślimaka, by spowodować straszliwe skraplanie się i spłynięcie żółtej piany. Montag zamknął oczy, wrzeszczał, wrzeszczał i walczył sam z sobą, by podnieść ręce do uszu, by zakryć i odciąć ten wrzask. Beatty miotał się i miotał, aż wreszcie skręcił jak zwęglona woskowa lalka i leżał w milczeniu.

Pozostali dwaj strażacy nie ruszyli się z miejsca.

Montag zwalczył ogarniające go mdłości na tyle, by wycelować w nich miotacz ognia.

— W tył zwrot! — krzyknął.

Odwrócili się, ich twarze były jak wygotowane mięso, spływały potem. Każdemu zadał po jednym ciosie w głowę strącając hełmy i zwalając ich z nóg. Upadli i leżeli bez ruchu.

Szelest jedyne go jesiennego liścia.

Odwrócił się. Mechaniczny pies był tuż przy nim.

Znajdował się w połowie trawnika, wychodząc z cieni, poruszając się z taką płynną łatwością, że wyglądał jak jedna zwarta chmura czarnoszarego dymu, która nadpływa w ciszy.

Uczył ostatni skok w powietrze spadając na Montaga z wysokości jakichś trzech stóp nad jego głową, wyciągając pajęczę nogi wyszczerzył prokainową igłę jak jedyny zły ząb. Montag przyjął potwora jednym kwiatem ognia, pojedynczym cudownym kielichem, który zwinął się w płatkach, żółtych, błękitnych i pomarańczowych wokół metalowego psa i okrył go nową szatą, gdy pies uderzył w Montaga i odrzucił go dzieśnięć stóp do tyłu na pień drzewa. Montag nie wypuścił jednak z ręki miotacza płomieni. Czuł, że pies drapał i chwycił jego nogę i wbił w nią igłę na moment przedtem, nim ogień wyrzucił psa w powietrze, połamał jego metalowe kości i stawy i wyrwał z niego

wnętrznosci w jednym błysku czerwieni jak raca przytwierdzona do ulicy. Montag leżał patrząc, jak martwo-żywy zwierz skręca się w powietrzu i umiera. Nawet teraz zdawało się, że chce jeszcze raz zerwać się do niego i dokończyć zastrzyku, który rozprzestrzenił się w nodze Montaga. Czuł jednocześnie strach i ulgę, że zdążył uskoczyć w porę i samochód pędzący z szybkością dziewięćdziesięciu mil na godzinę tylko musnął mu błotnikiem kolano. Bał się wstać, bał się, że w ogóle nie będzie mógł utrzymać się ze sparaliżowaną nogą. Otępienie w otępieniu przechodziło w następne otępienie...

A teraz?...

Ulica pusta, dom spalony jak starożytny fragment dekoracji teatralnych, inne domy pogrążone w ciemności, pies tu, Beatty tam, dwaj pozostali strażacy w innym miejscu, a salamandra...? Popatrz na potężną maszynę. To również powinno zniknąć.

No, pomyślał, zobaczymy, jak wielkiego doznaliśmy szwanku. Wstawaj na nogi teraz. Powoli, powoli... no.

Stał i miał tylko jedną nogę. Druga była jak kawał spalonego pnia sosny, który dźwigał ze sobą na pokutę za jakiś nieokreślony grzech. Kiedy oparł na niej swój ciężar, przysnic srebrnych igiełek przeszył mu łydkę i wytrysnął z kolana. Płakał. Dalej! Dalej, nie możesz przecież tu zostać!

W niektórych domach przy ulicy znów zaczęły zapalać się światła, może w związku z tym, co dopiero minęło, albo ze względu na nienormalną ciszę zalegającą po walce — tego Montag nie wiedział. Kuśtykał wokół ruin, ciągnąc swą bezwładną nogę, kiedy zostawała z tyłu, mówiąc, jęcząc i wykrzykując rozkazy, przeklinając ją i błagając, by pracowała dla niego teraz, kiedy jest to sprawą życia i śmierci. Słyszał pewną ilość ludzi wykrzykujących w ciemności i nawołujących się. Dotarł do tylnego podwórka i uliczki. Beatty, myślał, nie jesteś teraz problemem! Zawsze mówiłeś, żeby nie zastanawiać się nad problemami, tylko palić je. Toteż ja zrobiłem teraz jedno i drugie. Żegnaj, kapitanie.

I kuśtykał zaułkiem w ciemności.

Za każdym razem, ilekroć postawił nogę na ziemi, czuł się, jak by doń strzelono. Jesteś głupiec, myślał, cholerny głupiec, straszny głupiec, idiota, straszny idiota, cholerny idiota i głupiec, cholerny głupiec. Popatrz, jakiegoś bałaganu narobił i kto to posprząta, popatrz na ten śmietnik i co ty broisz? Do diabła z tą twoją dumą i temperamentem, tyś to wszystko zdziałał, od samego początku rzygasz na wszystko i na samego siebie. Ale też wszystko na raz, wszystko nagromadziło się jedno na drugim. Beatty, kobiety, Mildred, Klarysa, wszystko. Nie ma wymówki, nie ma wytłumaczenia. Durniu, cholerny durniu, idź i sam się wydaj w ręce policji!

Nie, będziemy ratować, co się da, będziemy robić, co można. Jeśli mamy spłonąć, weźmy z sobą jeszcze cośkolwiek. Dalej!

Przypomniał sobie książki i zawrócił. Na wszelki wypadek.

Znalazł parę książek, tam gdzie je zostawił koło płotu. Mildred, niech ją Bóg błogosławi, nie zauważyła kilku tomów. Cztery książki pozostały na miejscu. Głosy jęczały w ciemności, a promienie latarek krążyły dokoła. Inne salamandry ryczały w oddali, policyjne syreny wyciem torowały sobie drogę przez miasto.

Montag wziął cztery pozostałe książki i skakał, szarpał się, podrygiwał posuwając się zaułkiem, aż nagle upadł, jak gdyby odcięto mu głowę. Coś zmusiło go do zatrzymania się i zważyło z nóg. Leżał w tym miejscu, gdzie upadł, i łkał ze skurczonymi nogami i twarzą przyciśniętą do żwiru.

Beatty chciał umrzeć.

Wśród płaczu Montag uświadomił sobie na pewno, że to musi być prawda. Beatty chciał umrzeć. Po prostu stał nie próbując naprawdę się ocalić, tylko stał, żartując, kpiąc, myślał Montag, a ta myśl wystarczyła, by powstrzymać jego łkanie i pozwolić mu na przerwę dla zaczerpnięcia powietrza. Jakie to dziwne, dziwne — tak pragnąć śmierci, by pozwolić krążyć dokoła człowiekowi z bronią, a potem, zamiast milczeć i pozostać żywym, chodzi się wrzeszcząc na ludzi, kpiąc z nich, póki nie doprowadzi się ich do szaleństwa, a wtedy...

W oddali odgłos biegnących stóp.

Montag usiadł prosto. Trzeba się stąd wydostać. Dalej, wstawaj, wstawaj, nie możesz tu siedzieć! Ale nadal płakał i to właśnie należało skończyć. Teraz już mu przechodziło. Nie chciał zabijać nikogo, nawet Beatty'ego. Jego ciało skurczyło się i zmarszczyło, jak gdyby zostało zanurzone w kwasie. Zaczął wymiotować. Widział Beatty'ego jak tkwiącą w trawie trzepoczącą pochodnię. Ugryzł się w dłoń. Nie chciałem tego, nie chciałem, och, Boże, nie chciałem...

Usiłował złożyć wszystko do kupy, wrócić do normalnego schematu życia sprzed paru dni, sprzed sita i piasku, pasty Denhama, owadzich głosów, robaczków świętojańskich, alarmów i wyjazdów — za dużo na kilka krótkich dni, za dużo naprawdę na całe życie.

Ktoś biegł w odległym końcu uliczki.

— Wstawaj! — powiedział do siebie. — Do diabła, wstawaj! — powiedział do nogi i stanął. Ból przewiercał go, jak by mu wbijano gwoździe w kolano, potem igły, a wreszcie tylko zwykłe szpileczki — a gdy uczynił jeszcze z jakieś pięćdziesiąt podskoków i szarpnięć — kalecząc dłoń drzazgami z desek płotu, klucie było niby rozpryskujący się prysznic z wrzącej wody na tej nodze. I wreszcie noga stała się jego własną nogą. Bał się, że w biegu może złamać bezwładną kostkę. Teraz wciągając całą noc przez otwarte usta i ledwie wydechając ją, tak że cały jej mrok kładł się ciężarem w jego duszy, ruszył w końcu niepewnym krokiem. W ręku niósł książki.

Pomyślał o Faberze.

Faber pozostał tam w parującym kawale smoły, który nie miał teraz nazwiska ani tożsamości. Spalił również Fabera. Poczuł się nagle tak wstrząśnięty tym faktem, że zdawało mu się, iż Faber naprawdę nie żyje, upieczony jak karaluch w tej małej zielonej kapsułce, wyrzuconej i straconej w kieszeni mężczyzny, który teraz nie był niczym innym jak szkieletem spiętym asfaltowymi ścięgnaми.

Musisz pamiętać, spal ich, bo oni ciebie spalą, myślał. Teraz wszystko jest zupełnie proste.

Przeszukał kieszenie, znalazł w nich pieniądze i zwykłą muszelkę radiową, w której rozmawiało z sobą miasto w chłodnej czarnej nocy.

„Komunikat policyjny. List gończy: zbieg w mieście. Popęłnił morderstwo i zbrodnię stanu. Guy Montag. Zawód: strażak. Ostatnio widziany...”

Biegnąc minął sześć przecznic i wreszcie uliczka rozszerzyła się w pustą autostradę, szeroką jak dziesięć ulic. Autostrada wyglądała jak pozbawiona łodzi rzeka, zamarznęta w ostrym świetle wysokich białych lamp łukowych. Zdawało mu się, że można by utonąć, próbując się przez nią przeprowić. Była za szeroka, zbyt otwarta. Była to ogromna scena bez dekoracji, zapraszająca go, by przez nią przebiegł i został łatwo dostrzeżony w jaskrawym świetle, łatwo złapany, łatwo zastrzelony.

Muszelka radiowa mruzczała w jego uchu.

„...szukajcie biegnącego mężczyzny... szukajcie biegnącego mężczyzny... szukajcie samotnego mężczyzny poruszającego się na piechotę... szukajcie...”

Montag cofnął się w cień. Tuż przed nim znajdowała się stacja benzynowa, niby wielka zaspą porcelanowego śniegu, a koło niej stały dwa srebrne samochody i tankowały paliwo. Teraz musi być czysty i mieć reprezentacyjny wygląd, jeśli chce iść, a nie biec, przejść spokojnie przez szeroką szosę. Dałoby mu dodatkowy margines bezpieczeństwa, gdyby się umył i uczesał, zanim ruszy dalej, dokąd...?

Tak, pomyślał, dokąd ja uciekam?

Do nikąd. Nie miał dokąd iść, naprawdę nie miał przyjaciela, do którego mógłby się zwrócić. Z wyjątkiem Fabera. I wtedy uświadomił sobie, że przez cały czas instynktownie biegł ku domowi Fabera. Lecz Faber nie może go ukryć: taka próba byłaby samobójstwem. Jednak wiedział, że musi się zobaczyć z Faberem, choćby na kilka krótkich minut. U Fabera będzie mógł uzupełnić swój szybko wyczerpujący się zapas wiary w możliwość przeżycia. Chciał po prostu wiedzieć, że na świecie znajduje się człowiek podobny do Fabera. Chciał ujrzeć żywego człowieka a nie spalonego jak tamten, pokrytego łuską jak ciało w innym ciele. I Faberowi oczywiście trzeba zostawić trochę pieniędzy, by mógł je wydać po ucieczce Montaga. Może zdoła się wydostać na otwartą przestrzeń i żyć w pobliżu rzek i autostrad, wśród pól i pagórków.

Donośny, warkliwy szept zmusił go do spojrzenia na niebo.

Helikoptery policyjne startowały w tak dużej odległości, że zdawało się, iż ktoś zdmuchnął puszek z suchego dmuchawca. Dwa tuziny z nich warczały, krążąc niezdecydowanie w odległości trzech mil, jak motyle zaskoczone jesienią, a potem pikowały ku ziemi jeden po drugim, tu i tam, miękko siadając na ulicach, gdzie zamieniwszy się znowu w samochody, z wyciem przelatywały po jezdniach albo równie nagle znowu wyskakiwały w powietrze, kontynuując poszukiwania.

Stał przed stacją benzynową, zaś jej pracownicy obsługiwali teraz klientów. Podchodząc od tyłu, Montag wszedł do męskiej toalety. Przez aluminiową ścianę usłyszał głos z odbiornika radiowego: „Wojna została wypowiedziana”. Pompowano benzynę. Mężczyźni w samochodach rozmawiali i pracownicy stacji rozmawiali o maszynach, benzynie i zapłacie za benzynę. Montag stał, usiłując uzmysłwić sobie wstrząs spokojnego oświadczenia z radioaparatu, lecz nic się nie działo. Wojna będzie musiała poczekać na niego, aż do niej przymaszeruje w jednoosobowym szeregu za godzinę czy za dwie od tej chwili.

Umył ręce i twarz i wytarł się ręcznikiem do sucha, starając się zachowywać jak najciszej. Wyszedł z toalety, ostrożnie zamknął drzwi i wreszcie stanął znowu na krawędzi pustej autostrady.

Leżała przed nim, jak partia, którą należy wygrać, rozległa szeroka kręgielnia w chłodnym poranku. Szosa była czysta jak powierzchnia areny, przed zjawieniem się na niej pewnych nieznanymi ofiar i pewnych nieznanymi zabójców. Powietrze nad tą rozległą szeroką rzeką drżało już tylko od ciepła ciała Montaga. Było niewiarygodne, jak czuł, że jego temperatura może zmusić całe najbliższe otoczenie do wibracji. Był fosforującym celem: wiedział o tym, czuł to. A jednak musiał zacząć swój marsz.

W odległości trzech przecznicy zapaliły się reflektory samochodowe. Montag głęboko wciągnął powietrze. Płuca były niby płonące miotły w jego piersi. Usta wyschły od biegu. W gardle miał smak krwawego żelaza, a w stopach — zardzewiałą stal.

Co to za światła? Gdy tylko zacznie iść, zaraz będzie mógł stwierdzić, jak szybko te samochody zdołają tu podjechać. Jak daleko może być do przeciwnego krawężnika? Wydawało się, że ze sto jardów. Może nawet nie sto, lecz trzeba to sobie wyobrazić, obliczyć, że gdy będzie szedł bardzo powoli, spacerkiem, potrwa trzydzieści do czterdzieści sekund, zanim przejdzie na drugą stronę. Samochody, jeśli ruszą, wyminą pięć przecznicy w ciągu piętnastu sekund. Tak więc, jeśli nawet w połowie drogi zacznie biec...?

Wysunął prawą stopę, potem lewą i znowu prawą. Szedł przez pustą szosę.

Nawet gdyby ulica była całkowicie pusta, nie miałby pewności, że przejdzie bezpiecznie, albowiem samochód mógł się nagle ukazać zza wzniesienia, cztery przecznice dalej, i nadlecieć, nim się zdąży dwanaście razy odetchnąć.

Postanowił nie liczyć kroków. Nie patrzył ani w lewo, ani w prawo. Światło lamp łukowych wydawało się równie jasne i zdradzieckie jak południowe słońce i niemniej upalne.

Nastłuchiwał dźwięku samochodu nabierającego szybkości o dwie przecznice dalej z prawej strony. Jego ruchome reflektory skakały gwałtownie na wszystkie strony i uchwyciły Montaga.

Idź dalej.

Montag skurczył się, przycisnął mocniej książki i wyczerzył wolę, by nie zlodowacieć ze strachu. Instynktownie przebiegł kilka kroków, potem wykrzyknął głośno do siebie i zmusił się, by dalej iść wolno. Był w połowie ulicy, lecz ryk motoru wznosił się w coraz wyższej tonacji, gdy samochód zwiększał szybkość.

Policja, oczywiście. Widzą mnie. Ale teraz powoli, powoli, spokojnie, nie odwracaj się, nie patrz, nie wyglądaj na zainteresowanego. Idź, tak właśnie trzeba, idź, idź.

Samochód pędził. Samochód ryczał. Samochód zwiększał szybkość. Samochód jęczał. Samochód huczał jak piorun. Samochód nadlatywał. Nadlatywał jak świszczący pocisk wystrzelony z niewidocznej strzelby. Robił sto dwadzieścia mil na godzinę. Zbliżał się do stu trzydziestu mil. Montag zacisnął zęby. Gorąco pędzących reflektorów paliło jego policzki, tak się przynajmniej zdawało, kłuło jego powieki i pokrywało kwaśnym potem całe jego ciało.

Zaczął bełkotać idiotycznie i gadać do samego siebie i wreszcie załamał się, i ruszył biegiem. Wyciągał nogi, jak mógł najdalej. Boże! Boże! Upuścił książkę, zawahał się, o mało nie zawrócił, zmienił zamiar, skoczył naprzód wrzeszcząc w betonowej pustce. Samochód pędził za swym uciekającym żerem, był już w odległości dwustu stóp, stu stóp, dziewięćdziesięciu, osiemdziesięciu, siedemdziesięciu. Montag biegł chwytając powietrze, wymachując rękami, wyrzucając nogi w górę i w dół, coraz bliżej, krzycząc, wołając, oczy miał rozpalone do białości, a głowa szarpała się, by przeciwstawić się połykającemu żarowi. Samochód został połknięty przez własne światło, był teraz lecącą pochodnią — tylko dźwiękiem i płomieniem. Już prawie go dotykał!

Potknął się i upadł.

Już po mnie! Wszystko się skończyło!

Lecz upadek Montaga rozstrzygnął wszystko. Na moment przed uderzeniem rozszalały samochód odchylił się małym łukiem. Już go nie było. Montag nie ruszał się, rozkrzyżowany, z głową na betonie. Doleciał go huragan śmiechu wraz z błękitnymi spaliniami samochodu.

Jego prawa dłoń leżała przed nim wyciągnięta płasko. Kiedy ją podniósł, ujrzał na samym koniuszku środkowego palca delikatny, szeroki może na jedną szesnastą cala czarny ślad, gdzie opona dotknęła go przy mijaniu. Z niedowierzaniem popatrzył na tę czarną kreskę, wstając na nogi.

To nie była policja, pomyślał.

Popatrzył na bulwar. Był teraz czysty. Samochód pełen dzieci w różnym wieku. Bóg wie, prawdopodobnie od dwunastu do szesnastu lat. Jechały z gwizdaniem, wrzaskiem,

piskiem, ujrzały człowieka, bardzo niezwykły widok, człowieka idącego pieszo, rzadkość niesłychana — i po prostu powiedziały „wykończmy go”, nie wiedząc, że był zbiegiem, panem Montagiem, po prostu grupka dzieci o zlodowaciałych od wiatru twarzach, dzieci, które wyjechały sobie w nocy, by przelecieć pięćset lub sześćset mil w kilka księżycowych godzin, a przybycie do domu lub nieprzybycie o wschodzie słońca, w stanie żywym czy martwym — właśnie było przygodą.

Zabiliby mnie, myślał Montag, chwiejąc się na nogach i dotykając rozciętego policzka. Bez żadnego powodu byliby mnie zabili.

Szedł ku odległemu chodnikowi rozkazując każdej stopie, by się podnosiła i opuszczała. Jakimś cudem podniósł rozsypane książki, nie mógł sobie przypomnieć, żeby się schylał czy je dotykał. Przekładał je z ręki do ręki, jak gdyby trzymał przy pokerze karty, w których się nie mógł zorientować.

Ciekawe, czy to ci sami, co zabili Klarysę?

Urwał i nieświadomie powtórzył to znowu, bardzo głośno:

— Ciekawe, czy to ci sami zabili Klarysę?!

Z krzykiem popędził za samochodem.

Z oczu ciekły mu łzy.

Ocaliło go to, że upadł. Kierowca tego wozu, widząc, że Montag leży, instynktownie rozważył możliwość, że jeśli przejedzie przez ciało przy takiej szybkości, może wyrzucić samochód wraz z jego pasażerami. Lecz gdyby Montag pozostał stojącym celem...?

Montag zatrzymał w sobie oddech.

Z dużej odległości na bulwarze, cztery przecznice dalej, samochód zwolnił, zakręcił na dwóch kołach i teraz pędził z powrotem migając po niewłaściwej stronie ulicy, nabierając szybkości.

Lecz Montag już uciekł, ukryty w bezpiecznym ciemnym zaułku, do którego rozpoczął długą podróż, godzinę czy minutę temu? Stał drżąc wśród nocy, wyglądając, gdy samochód mijał go pędem, a potem wysliznął się znowu na środek szosy, z huraganem śmiechu w powietrzu, i zniknął.

Poruszając się dalej w ciemności Montag widział helikoptery opadające ku ziemi jak pierwsze płatki śniegu długiej, zbliżającej się zimy...

Dom był pogrążony w milczeniu.

Montag podszedł od tyłu, pełznąć wśród mokrego od rosy zapachu narcyzów i róż, i mokrej trawy. Dotknął drzwi z siatką, stwierdził, że są otwarte, wśliznął się do środka, nasłuchując poruszał się po ganku.

Pani Black, czy pani śpi? — myślał. To niedobrze, lecz pani mąż robił to innym, nigdy nie pytał, nigdy się nie zastanawiał i nigdy nie martwił. A teraz, skoro jest pani żoną strażaka, kolej na panią i pani dom za wszystkie domy, które pani mąż spalił, i ludzi, których zniszczył bezmyślnie.

Dom nie odpowiadał.

Ukrył książki w kuchni i znowu wyszedł na uliczkę i popatrzył na dom, który spał nadal, ciemny i spokojny.

W drodze przez miasto, gdy helikoptery trzepotały na niebie jak kawałki podartego papieru, zadzwonił na alarm z samotnej budki telefonicznej obok zamkniętego na noc sklepu. A potem stał w chłodnym nocnym powietrzu, czekając, aż w odległości usłyszał głos syren pożarowych, zbliżających się coraz bardziej, i warczenie salamander, nadlatujących, by spalić dom pana Blacka, który był w pracy, zmusić jego żonę, by stała drżąc w nocnym chłodzie, gdy dach wystrzeli płomieniami i runie w ogień. Lecz teraz jeszcze spała.

Dobranoc, pani Black, pomyślał.

— Faber!

Następne stuknięcie, szept, długie oczekiwanie. Wreszcie, po minucie, małe światełko zabłysło wewnątrz małego domku Fabera. Po następnej przerwie tylne drzwi otworzyły się.

Stali patrząc na siebie w półmroku, Faber i Montag, jak gdyby nie wierzyli nawzajem w swe istnienie. Wreszcie Faber poruszył się, wyciągnął rękę, chwycił Montaga, wciągnął go do wnętrza, posadził na krześle, znów podszedł do drzwi i nasłuchiwał. Syreny jęczały w porannej dali. Wrócił i zatrzasnął drzwi.

Montag powiedział:

— Byłem głupcem przez cały czas. Nie mogę tu zostać długo. Wyruszam w dalszą drogę, Bóg wie dokąd.

— Przynajmniej byłeś głupcem we właściwych sprawach — rzekł Faber. — Myślałem, że nie żyjesz. Kapsułka radiowa, którą ci dałem...

— Spalona.

— Słyszałem, jak kapitan do ciebie mówi, i nagle wszystko zamilkło. O mało nie wyszedłem z domu, by cię szukać.

— Kapitan nie żyje. Znalazł kapsułkę, usłyszał twój głos, miał zamiar przeprowadzić śledztwo. Zabiłem go z miotacza płomieni.

Faber usiadł i przez pewien czas nie mówił nic.

— Mój Boże, jak coś podobnego mogło się stać? — powiedział Montag. — Zaledwie onegdaj wszystko było w jak najlepszym porządku i nagle spostrzegłem, że się topię. Ile razy człowiek może się topić i nadal pozostać żywy? Nie mogę oddychać. Beatty nie żyje, a był niegdyś moim przyjacielem; Millie odeszła, myślałem, że jest moją żoną, ale teraz nie wiem. I dom cały spalony. Nie mam pracy, jestem uciekinierem i podrzuciłem po drodze książki do domu strażaka. O Chryste, ile rzeczy zrobiłem w jednym tygodniu!

— Zrobiłeś to, co musiałeś zrobić. To zbierało się od długiego czasu.

— Tak, wierzę, że tak jest, jeśli nawet nie wierzę w nic poza tym. To zbierało się, by wybuchnąć. Czułem to od długiego czasu, coś w sobie gromadziłem i robiłem jedno, a czułem co innego. Boże, to wszystko we mnie było. To cud, że nie wypływało jak tłuszcz na wodzie. A teraz jestem tutaj, niszcząc twoje życie. Mogą mnie wytropić tutaj.

— Pierwszy raz od wielu lat czuję, że żyję — rzekł Faber. — Czuję, że robię to, co powinienem był robić przed wiekiem. W tej chwili się nie boję. Może dlatego, że wreszcie postępuję słusznie. Może dlatego, że się zdecydowałem pochopnie i nie chcę wyglądać na tchórza wobec ciebie. Przypuszczam, że będę musiał popełniać jeszcze bardziej gwałtowne czyny, jeszcze bardziej się narażać, lecz nie pokpię sprawą i nie przestraszę się znowu. Jakie masz plany?

— Uciekać dalej.

— Wiesz; że zaczęła się wojna?

— Słyszałem.

— Boże, czy to nie śmieszne? — powiedział stary człowiek. — Wojna wydaje się tak odległa, ponieważ mamy własne kłopoty.

— Nie miałem czasu pomyśleć. — Montag wyciągnął sto dolarów. — Chciałbym, żeby to zostało u ciebie. Użyj tego w sposób właściwy, kiedy mnie nie będzie.

— Ale...

— Do południa mogę już nie żyć. Weź to.

Faber skinął głową. — Jeśli się uda, uciekaj do rzeki, a potem w dół, i jeśli natrafisz na tory kolejowe, prowadzące w głąb kraju, idź wzdłuż nich. Jeśli nawet obecnie wszystko transportuje się drogą powietrzną i większość linii kolejowych została opuszczona, szyny leżą nadal i rdzewieją. Słyszałem, że w całym kraju są jeszcze obozowiska włóczęgów. Nazywają je obozami wędrownymi, a jeśli odejdiesz dość daleko i będziesz się dobrze rozglądał, podobno przy torach aż do samego Los Angeles są całe gromady dawnych absolwentów Harvardu. Większość z nich jest poszukiwana przez policję i ścigana w miastach. Ale, jak sądzę, jakoś żyją. Nie ma tych ludzi zbyt wielu i przypuszczam, że rząd nigdy nie uważał ich za dość niebezpiecznych, by robić na nich obławę. Możesz się zaszyć wśród nich na pewien czas, a potem skontaktuj się ze mną w St. Louis. Wyjeżdżam autobusem dziś o piątej rano, by spotkać się tam z tym byłym drukarzem. Wreszcie i ja wychodzę na świeże powietrze. Pieniądze będą wykorzystane właściwie. Dziękuję. — i z Bogiem. Chcesz się przespać parę minut?

— Muszę uciekać.

— Zaraz zobaczymy.

Szybko wprowadził Montaga do sypialni i podniósł obraz na ścianie, odkrywając ekran telewizyjny wielkości karty pocztowej.

— Zawsze chciałem czegoś bardzo małego, do czego mógłbym podejść, co w razie potrzeby można zakryć dłonią, a nic, co by mnie ogłuszało wrzaskiem, nic potwornie wielkiego. Więc widzisz.

Włączył aparat.

„Montag — powiedział aparat i zapalił się. — M-O-N-T-A-G. — Jakiś głos przeliterował nazwisko. — Guy Montag. Nadal ucieka. Helikoptery policyjne prowadzą pościg. Sprowadzono nowego mechanicznego psa z innego okręgu...”

Montag i Faber popatrzyli na siebie.

„...Mechaniczny pies nigdy nie zawodzi, nigdy od czasu pierwszego zastosowania tego niewiarygodnego wynalazku nie popełnił omyłki w tropieniu. Nasza stacja jest dumna, że ma dziś możliwość towarzyszyć psu helikopterem telewizyjnym, gdy ruszy on w swą drogę do celu...”

Faber nalał dwie szklaneczki whisky. — To się nam przyda.

Wypili.

„...powonienie tak czułe, że mechaniczny pies może zapamiętać i rozróżnić bez pomylki i bez przełączenia mechanizmu dziesięć tysięcy wskaźników zapachowych na dziesięciu tysiącach ludzi!”

Faber zadrżał troszeczkę i popatrzył po domu, na ściany, drzwi, klamkę, krzesło, na którym Montag teraz siedział. Montag dostrzegł jego spojrzenie. Poczuł, że jego nozdrza rozszerzają się, i wiedział, że próbuje odnaleźć ślad samego siebie, a jego nos stał się nagle dość subtelny, by poczuć ścieżkę, którą Montag wydeptał w powietrzu tego pokoju, pot jego ręk, który przylgnał do klamki, niewidzialny, lecz tak obfity jak wisiorzki małego żyrandola; Montag był wszędzie, tu i na dworze, i na wszystkim, był fosforyzującą chmurą, upiorem, który jeszcze raz uniemożliwił oddychanie. Widział, że Faber zatrzymuje oddech ze strachu, by nie wciągnąć tego upiora do swego ciała, może już jest zarażony widmowymi oparami i woniami uciekającego zbiega.

„Mechaniczny pies ląduje teraz obok spalonego domu!”

I na małym ekranie pojawił się spalony dom, tłum, coś przykryte arkuszem papieru, a z nieba trzepocząc jak groteskowy kwiat spływał helikopter.

Więc muszą dać swoje widowisko, myślał Montag. Cyrk musi toczyć się dalej, nawet jeśli wojna rozpocznie się w ciągu najbliższej godziny...

Zafascynowany obserwował widowisko, nie chcąc się ruszyć z miejsca. Wydawało się tak dalekie i bez żadnego związku z nim: to był film odległy, istniejący sam w sobie, cudowny. Obserwowało się go nie bez dziwnej przyjemności. To wszystko dla mnie, myślał, to wszystko dzieje się z mojego powodu, mój Boże.

Gdyby chciał, mógłby się wyciągnąć wygodnie i obserwować całe polowanie w jego szybkich fazach, przez zaułki, ulice, puste szosy, skrzyżowania, boiska, z przerwami od czasu do czasu na niezbędne reklamy handlowe, przez nowe zaułki do płonącego domu państwa Black i wreszcie do tego domu, gdzie on i Faber siedzą wygodnie i popijają whisky, podczas gdy elektryczny pies, węsząc na ostatnim tropie, milczący jak oddech samej śmierci, stanie wreszcie pod tamtym oknem. Wówczas Montag, gdyby miał och-

tę, mógłby wstać, podejść do okna i, nie spuszczać oka z telewizora, otworzyć je, wychylić się, spojrzeć do tyłu i ujrzeć samego siebie udramatyzowanego, przesadzonego, opisanego, jak stoi tam w ramach małego ekranu, bezstronnie obserwując rozgrywający się dramat, wiedząc, że w innych salonach występuje w naturalnej wielkości, w pełnych barwach, w trzech wymiarach! A gdyby jego oko zerknęło dość szybko, mógłby jeszcze zobaczyć się na moment przed unicestwieniem, w chwili zastrzyku, ku przyjemności niezliczonych widzów telewizyjnych, których parę minut temu obudził ze snu szaleńczy ryk, wzywający ze ścian, by przyszli obserwować wielką grę, polowanie, jednoosobowy karnawał.

Czy będzie miał czas się odezwać? Czy jeśli pies go chwyci w obliczu dziesięciu, dwudziestu czy trzydziestu milionów ludzi, będzie mógł podsumować całe swe życie w ostatnim tygodniu jednym prostym zdaniem czy słowem, które by z nimi pozostało na długo potem, gdy pies zawróci, zaciskając Montaga w swych metalowych szczękach, i zniknie w ciemności, zaś kamera pozostanie nieruchoma ukazując stworzenie rozplywające się w dali? Co powiedziałby w jednym słowie, w kilku słowach, co rozpalonym żelazem wryłoby się na tych wszystkich twarzach i obudziło je?

— Tam — szepnął Faber.

Z helikoptera wysliznęło się coś, co nie było ani maszyną, ani zwierzęciem, co nie było ani martwe, ani żywe, połyskujące bladozieloną poświatą. Stało w pobliżu dymiących ruin domu Montaga, a ludzie przynieśli mu porzucony miotacz płomieni i podsadzili pod nos. Dało się słyszeć warczenie, szczekanie, pomruk.

Montag potrząsnął głową, wstał i wypił resztę whisky.

— Czas już na mnie — powiedział. — Bardzo za to przepraszam.

— Za co? Mnie? Mój dom? Zasługuję na wszystko. Pędź, na miłość boską. Może potrafię ich tu zatrzymać...

— Poczekaj. Nie ma sensu, żeby ciebie wykryli. Kiedy stąd wyjdę, spal narzutą z łóżka, której dotknąłem. Spal w ściennej spalarni krzesło z salonu. Wytrzyj meble alkoholem, wytrzyj klamki u drzwi. Spal dywan z salonu. Włącz klimatyzację we wszystkich pokojach i rozpyl wszędzie płyn przeciwko owadom, jeśli go masz. Następnie włącz spryskiwaczki trawników i zmyj hydrantem chodnik. Przy odrobinie szczęścia potrafiemy zabić ślad, przynajmniej tutaj.

Faber ucisnął jego dłoń. — Spróbuję. Powodzenia. Jeśli będziemy obaj w dobrym zdrowiu w następnym tygodniu, od dziś za tydzień, napisz na poste restante do St. Louis. Szkoda, że nie mogę się z tobą kontaktować przez uszne radio. To by bardzo się przydało nam obu. Lecz mój ekwipunek był ograniczony. Widzisz, nigdy nie myślałem, że go kiedykolwiek użyję. Stary głupiec ze mnie. Bezmyślny. Głupi, głupi. Więc nie mam innej zielonej kulki, by ci ją ofiarować. Idź już!

— Jeszcze jedna rzecz. Szybko. Dawaj jakąś walizkę, napełnij ją najbrudniejszym jakie masz ubraniem, włóż stary garnitur, im brudniejszy tym lepszy... koszulę, jakieś stare pantofle i skarpetki...

Faber zniknął i wrócił za minutę. Zakleili tekturową walizę czystym plastrem. — To, żeby zatrzymać stary zapach pana Fabera, oczywiście — powiedział Faber pocąc się przy robocie.

Montag wytarł walizę whisky. — Nie chciałbym, żeby pies złapał dwa zapachy na raz. Czy mogę zabrać tę whisky? Będę jej później potrzebował. Chryste, mam nadzieję, że się to uda!

Znów uścisnęli sobie ręce. Wychodząc z drzwi Montag zerknął na ekran. Pies był w drodze, milcząco węsząc porywisty nocny wiatr. Towarzyszyły mu helikoptery telewizyjne. Biegł pierwszą uliczką.

— Do widzenia!

I Montag znalazł się za drzwiami, i biegł niosąc na wpół pustą walizkę. Usłyszał, że za jego plecami włączają się spryskiwaczki trawy wypełniając ciemne powietrze deszczem, który zaczął padać delikatnie, a potem jak gęsta ulewa, zmywając chodniki i ściekając w uliczkę. Parę kropli tego deszczu niósł ze sobą na twarzy. Zdawało mu się, że stary człowiek jeszcze raz powiedział do widzenia, ale nie był tego pewny. Szybko oddalał się od domu, biegł prosto ku rzece.

Montag biegł.

Czuł, że pies zbliża się jak jesień, chłodno, sucho i szybko, jak wiatr, który nie porusza trawy, nie trzaska oknami, nie zakłóca swym ruchem nawet cieni liści na białych chodnikach. Pies nie poruszał świata. Niósł ze sobą swą ciszę, tak że można było odczuć, że w całym mieście cisza kondensuje się za człowiekiem jak ciśnienie atmosferyczne. Montag czuł, że ciśnienie wzrasta, i pędził.

W drodze ku rzece zatrzymał się, by zaczerpnąć powietrza i zerknąć do blado oświetlonych okien rozbudzonych domów, i widział sylwetki ludzi obserwujących na ścianach swych salonów mechanicznego psa, mgiełkę neonowego oparu, która poruszała się tu i tam na swych pajęczych nogach. Taras Wiązów, ulica Lincoln, Dębowa, park i już uliczka prowadząca ku domowi Fabera!

Miń, myślał Montag, nie zatrzymuj się, idź dalej, nie zakręcaj!

Na ścianie salonu dom Fabera ze spryskiwaczkami pulsującymi w nocnym powietrzu.

Pies zatrzymał się drżąc.

Nie! Montag chwycił się futryny okna. Tędy! Tu!

Igła z prokainą wysuwała się i chowała, wysunęła i schowała. Jedna kropla specyfiku snów ściekła z igły, gdy ta zniknęła w pysku psa.

Montag wstrzymał oddech jak zaciśniętą pięść w swej piersi.

Mechaniczny pies odskoczył i zawrócił od domu Fabera, i znów pobiegł uliczką.

Montag zerknął na niebo. Helikoptery zbliżały się — wielki rój owadów ciągnący ku jednemu światelku.

Z wysiłkiem Montag przypomniał sobie, że to nie jest filmowy epizod, który może oglądać w swym biegu do rzeki. To działo się w rzeczywistości, był świadkiem własnej partii szachów, ruch za ruchem.

Krzyknął, by dodać sobie ostatniego bodźca, by odejść od okna tego ostatniego domu i fascynującego seansu tam się rozgrywającego! Zaklął i już ruszył biegiem. Uliczka, ulica, uliczka, ulica i powiew od rzeki. Noga w górę, noga w dół, noga w górę, noga w dół. Niebawem będzie biegło dwadzieścia milionów Montagów, jeśli kamery go uchwycą. Dwadzieścia milionów Montagów pędzących jak w starodawnej farsie filmowej Keystone'a, policjanci, rabusie, ścigający i ścigani, myśliwi i zwierzyna, widział to tysiące razy. Za nim biegło teraz dwadzieścia milionów naszczekujących milcząco psów, odbijając się echem wśród salonów: trzy przerzuty z prawej ściany do środkowej, potem do lewej ściany, przerwa, prawa ściana, środkowa ściana, lewa ściana, przerwa!

Montag wepchnął w ucho muszelkę radiową.

„Policja wzywa wszystkich mieszkańców okolicy Tarasu Wiązów, by postępowała jak następuje: każdy, w każdym domu, na każdej ulicy otwiera frontowe lub tylne drzwi albo wygląda z okien. Zbieg nie może uciec, jeśli wszyscy w następnej minucie będą wyglądali ze swych domów. Uwaga!”

Oczywiście! Dlaczego nie zrobili tego przedtem! Czyż w ciągu tylu lat nie wypróbowano tego sposobu! Wszyscy wstają, wszyscy wyglądają! Nie mogą go nie dostrzec! Jedyne mężczyzna biegnący w samotnym mieście, jedyny człowiek korzystający ze swych nóg!

„Liczę teraz do dziesięciu! Jeden! Dwa!”

Czuł, jak miasto wstaje.

„Trzy!”

Czuł, jak miasto zwraca się ku tysiącom drzwi. Szybciej! Noga do góry, noga w dół!

„Cztery!”

Senni ludzie w swych korytarzach.

„Pięć!”

Czuł, jak ręce dotykają klamek!

Zapach rzeki był chłodny i podobny do rześistego deszczu. Gardło Montaga było jak spalona rdza, a oczy wyschły już od napędzanych przez wiatr łez. Wrzeszczał, jak gdyby ten wrzask mógł go popchnąć do przodu, przerzucić nad setką ostatnich jardów.

„Sześć, siedem, osiem!”

Kłamki poruszyły się przy pięciu tysiącach drzwi.

„Dziewięć!”

Wybiegł zza ostatniego szeregu domów na stok prowadzący w dół, ku gęstej poruszającej się ciemności.

„Dziesięć!”

Drzwi otworzyły się.

Wyobrażał sobie tysiące twarzy wyglądających na podwórka, na uliczki, spoglądających w niebo, twarzy ukrytych za zasłonami, bladych, przerażonych nocnych twarzy, spoglądających jak szare zwierzęta z elektrycznych klatek, twarzy o szarych bezbarwnych oczach, szarych językach i szarych myślach przezierających przez nieruchome mięśnie twarzy.

Lecz był już nad rzeką.

Dotknął jej, by się upewnić, że jest realna. Brodził w niej i w ciemności rozebrał się do naga, spryskał całe ciało, ramiona, ręce i głowę mocnym alkoholem, napił się go i wciągnął trochę do nosa. Potem ubrał się w stary garnitur i buty Fabera. Własne ubranie wrzucił do rzeki i obserwował, jak odpływa. Następnie trzymając w ręku walizkę siedł w wodzie, aż stracił grunt i poczuł, jak rzeka go unosi w ciemność.

Odpłynął już ze trzysta jardów w dół rzeki, gdy pies dotarł do brzegu. W górze unosił się wielki huczący wachlarz helikopterów. Burza światła padła na rzekę, a Montag zanurkował w wielkiej iluminacji, jak gdyby słońce przedarło się zza chmur. Czuł, jak rzeka unosi go dalej w ciemność. Światła zwróciły się ku lądowi, helikoptery skrzyły znów nad miasto, jak gdyby odnalazły inny trop. Zniknęły. Pies zniknął. Teraz była tylko chłodna rzeka i Montag odpływający w nagłym spokoju od miasta, świateł i pościgu, z dała od wszystkiego.

Zdawało mu się, że za sobą zostawił scenę i wielu aktorów. Zdawało mu się, że zostawił wielki seans i wszystkie pomrukiujące upiory. Oddalał się od zatrwającej nierealności do rzeczywistości, która była nierzeczywista, ponieważ była nowa.

Czarny ład przesunął się obok i Montag zmierzał do otwartej przestrzeni wśród wzgórz. Po raz pierwszy od wielu lat gwiazdy przesunęły się nad nim w jakichś procesjach drżącego ognia. Widział wielkiego molocha gwiazd na niebie, który groził, że runie w dół i zmiążdży go.

Płynął na plecach, kiedy waliza zaczerpnęła wody i zatonęła; rzeka była łagodna i leniwa, odchodziła w dal od ludzi, którzy jedli cienie na śniadanie, opar na obiad i wyziewy na kolację. Rzeka była bardzo rzeczywista: niosła go wygodnie i przynajmniej zapewniała mu wolny czas, by mógł zastanowić się nad minionym miesiącem, rokiem i całym życiem. Nasłuchiwał powolnego bicia serca. Jego myśli przestały pędzić wraz z krwią.

Widział teraz księżyc nisko na niebie. Księżyc i światło księżycy spowodowane przez co? Przez słońce, oczywiście. A co daje światło słońcu? Jego własny ogień. I słońce pali się, i pali, dzień po dniu. Słońce i czas. Słońce i czas, i płomień. Ogień. Rzeka kołysała go łagodnie. Ogień. Słońce i każdy zegar na ziemi. Wszystko połączyło się razem i stało się jednością w jego duszy. Po długim okresie pływania na łądzie i krótkim okresie pływania w rzece wiedział, że nigdy, w całym życiu już nie wolno mu palić.

Słońce paliło każdego dnia. Paliło czas. Świat pędził w koło i obracał się dokoła swej osi, a czas łatwo spalał lata i ludzi tak czy owak, bez jakiegokolwiek pomocy Montaga. Tak więc, jeśli on palił rzeczy ze strażakami, a słońce paliło czas, to oznacza, że wszystko płonęło!

Ktoś musi przestać palić. Słońce, oczywiście, nie przestanie. Więc wygląda na to, że musi przestać Montag i ludzie, z którymi pracował jeszcze przed paru godzinami. Gdzieś musi zacząć się znowu gromadzenie i odkładanie i ktoś musi odkładać i gromadzić, tym czy innym sposobem, w książkach, płytach, ludzkich głowach, wszelkimi sposobami, które zapewniają bezpieczeństwo od moli, rybików, rdzy, suszy i ludzi z zapalnikami. Świat był pełen palenia wszelkich odmian i rozmiarów. Teraz musi szybko otworzyć swe podwoje cech tkaczy azbestu.

Czuł, że pięta uderza o brzeg, dotyka żwiru, kamieni i wlecze się po piasku. Rzeka przyniosła go ku brzegowi.

Popatrzył na wielki czarny stwór bez oczu czy światła, bez kształtu, z jednym jedynie wymiarem, który ciągnął się tysiące mil bez przerwy. Na Montaga czekały tu trawiste wzgórza i bory.

Zawahał się przed opuszczeniem kojącego prądu wody. Obawiał się psa. Drzewa mogą nagle ugiąć się pod wielkim wiatrem pędzących helikopterów.

Lecz słyhać było jedynie zwykły wiatr jesienny, wysoko w górze, płynący jak druga rzeka. Dlaczego pies nie nadbiegł? Dlaczego poszukiwania skierowały się ku ładowi? Montag nasłuchiwał. Nic. Nic.

Millie, pomyślał. Patrz na ten kraj. Słuchaj go! Nic i nic. Tyle ciszy. Millie, ciekawe, jak byś to zniosła? Czy krzyczałybyś, krzyczałybyś: milcz, milcz! Millie, Millie. I był smutny.

Millie nie było i psa nie było, tylko suchy zapach siana, nadlatujący od jakiegoś odległego pola, prowadził Montaga. Przypominał farmę, którą odwiedził, kiedy był bardzo młody, był to jeden z tych rzadkich przypadków, kiedy odkrył, że coś istnieje za siedmioma zasłonami nierzeczywistości, za ścianami salonów i za blaszanymi wałami miasta — krowy żują trawę, świnię wylegają się w ciepłych kałużach w południe, a psy szczekają na białe owce na wzgórzu.

Teraz suchy zapach siana, ruch wód skłoniły go do myślenia o przespaniu się w świeżym sianie w samotnej stodole, z dala od hałaśliwych autostrad, za spokojnym domem farmera, pod prastarym wiatrakiem, który trajkocze nad głową dźwiękiem mijających lat. Leżałby wysoko na stryszku stodoły przez całą noc, nasłuchując głosu odległych zwierząt, owadów i drzew, nieznaczących ruchów i szelestów.

Myślał, że podczas nocy usłyszy szelest jak by zbliżających się stóp. Będzie słuchał w napięciu i usiadzie. Szmer oddali się. Położy się znowu i zerknie z okna pod dachem, bardzo późno w nocy, i ujrzy światła gasnące na farmie, a bardzo młoda i piękna ko-

bieta usiądzie w jakimś nieoświetlonym oknie, splatając włosy. Trudno będzie ją ujrzeć, lecz jej twarz będzie jak twarz dziewczyny tak bardzo odległej teraz w jego przeszłości, dziewczyny sprzed tak dawnych czasów, dziewczyny, która znała się na pogodzie i nigdy nie opalały jej iskry, dziewczyny, która wiedziała, co oznacza, kiedy potrze się mniszkiem podbródek. Potem odejdzie od ciepłego okna i zjawi się znowu na górze w oświetlonym księżycem pokoiku. Wtedy wśród dźwięku śmierci, dźwięku odrzutowców przecinających niebo na dwie czarne połowy za horyzontem, będzie leżał na stryszku, ukryty i bezpieczny, obserwując te obce nowe gwiazdy nad krawędzią ziemi, uciekające od miękkiej barwy brzasku.

Rankiem nie będzie potrzebował snu; mimo wszystkich ciepłych zapachów i westchnień ciemna wiejska noc da mu wypocząć i wyspać się, choć jego oczy będą szeroko otwarte, a jego usta, kiedy przyjdzie mu na myśl ich dotknąć, ułożą się w półuśmiechu.

A w dole drabiny będzie czekało na niego coś niewiarygodnego. Ostrożnie zejdzie po szczeblach w różowym świetle wczesnego poranka, tak świadom świata, że zadrży stojąc nad maleńkim cudem i wreszcie schyli się, by go dotknąć.

Szklanka świeżego mleka, kilka jabłek i gruszek u stóp drabiny.

To było wszystko, czego teraz pragnął. Jakiegoś znaku, że olbrzymi świat przyjmie go i da mu dużo czasu, którego potrzebuje, by przemyśleć wszystko, co musi przemyśleć.

Szklanka mleka, jabłko, gruszka.

Wyszedł z rzeki.

Łąd ruszył ku niemu jak fala przyływu. Montag był zmiażdżony przez ciemność i wygląd kraju, i milion zapachów w wietrze, który ścinał lodem jego ciało. Opadł do tyłu pod nagłym przyływem ciemności, dźwięków i zapachów, huczało mu w uszach. Zatoczył się. Gwiazdy migały mu przed oczami jak płonące meteory. Miał ochotę skoczyć znowu do rzeki i pozwolić się nieść bezpiecznie dokądkolwiek bądź. Ten wznoszący się ciemny łąd był jak ów dzień dzieciństwa Montaga, kiedy pływał i nagle nie wiadomo skąd olbrzymia fala runęła na niego, wtrącając go w słony muł i zieloną ciemność, a woda paliła jego usta i nos, piekła w żołądku, wyła! Za dużo wody!

Za dużo ładu.

Z czarnej ściany przed nim doleciał szept. Kształt. W tym kształcie dwoje oczu. Noc patrzyła na niego. Las widział go.

Pies!

Po wszystkich tych wysiłkach, po całym tym biegu i poceniu się, topieniu się prawie, przybyć tak daleko, pracować tak ciężko i myśleć, że się jest bezpiecznym, i oddychać z ulgą, i wyjść na łąd po to tylko, by wreszcie spotkać...

Pies!

Montag wyrzucił z siebie ostatni zduszony krzyk, jak gdyby coś takiego było ponad wytrzymałość ludzką.

Kształt eksplodował. Oczy zniknęły. Kupki liści pofrunęły ku górze suchą ulewą. Montag pozostał samotny w dzikim lesie.

Była to sarna. Wciągał w płuca ciężki zapach piżma jak perfumę zmieszaną z krwią i lepki wyziew zwierzęcia, zapachy kardamonu, mchu i leśnych ziół w tej ogromnej nocy, gdzie drzewa biegły ku niemu, odskakiwały, biegły, odskakiwały, w rytmie serca, za jego oczyma.

Ziemia była pokryta chyba miliardem liści. Brodził w nich, w suchej rzece pachnącej gorącym goździkowcem i ciepłym kurzem. A inne zapachy! Był zapach niby pokrajanego kartofla, napływający z dali, surowy, chłodny i biały od księżyca przez większą część nocy. Był zapach jak by kiszonych ogórków wyciągniętych ze słoja i zapach podobny do pietruszki na stole w domu. Był zapach lekki i żółty jak musztarda. Był zapach jak by kwiatów goździka z sąsiedniego ogródka. Opuścił rękę i poczuł, że jakiś chwast podnosi się i gładzi ją jak dziecko. Potem palce pachniały lukrecją.

Stał oddychając i im dłużej wdychał w siebie przyrodę, tym bardziej wypełniały go wszystkie jej szczegóły. Nie był pusty. Było tu więcej niż potrzeba, by go wypełnić. Zawsze będzie więcej niż potrzeba.

Szedł potykając się w suchej fali liści.

W centrum obcości coś znanego.

Trafił stopą w coś, co zabrzączało głucho.

Powiódł ręką po ziemi, jard w jednym kierunku, jard w drugim.

Szyna kolejowa.

Szyna, która wychodziła z miasta i rdzewiała na wsi, biegnąc przez bory i lasy, opuszczona teraz, przy rzece.

Tu odnalazł swą drogę, dokądkolwiek miał zamiar iść. Tu była jedyna znajoma rzecz, magiczne zaklęcie, którego może przez chwilę potrzebować, dotykać go, czuć je pod stopami, gdy się będzie poruszał wśród krzaków jeżyny i jezior zapachu, dotyku i czucia, wśród szeptów i opadających liści.

Szedł dalej torem.

I ze zdziwieniem stwierdził, jak bardzo jest pewien jednego faktu, którego nie mógł udowodnić.

Ongiś, bardzo dawno temu, Klarysa szła tędy, gdzie on szedł teraz.

W pół godziny później, zmarznięty, poruszając się ostrożnie po torach, całkowicie świadom swego całego ciała, twarzy, ust, oczu wypełnionych ciemnością, uszu wypełnionych dźwiękiem, nóg pokłutych ostami i pokrzywami, ujrzał ogień przed sobą.

Ogień pojawiał się i znikał jak mrugające oko. Zatrzymał się przerażony, że mógłby zgasić ogień jednym oddechem. Lecz ogień nie gasł, a Montag zbliżał się ostrożnie, obchodząc go z daleka. Zajęło mu prawie piętnaście minut, zanim podszedł naprawdę dość blisko i wtedy stanął spoglądając z ukrycia. Ten mały ruch, biały i czerwony kolor, dziwny ogień, bo oznaczał dla Montaga coś zupełnie innego niż dotychczas.

Ogień nie palił, tylko ogrzewał.

Widział wiele rąk wyciągniętych do tego ciepła, rąk bez ramion, ukrytych w ciemności. Nad rękami nieruchome twarze, które poruszały się, drżały i migotały tylko od ognia. Nie wiedział, że ogień może wyglądać w ten sposób. Nie pomyślał nigdy w życiu, że ogień równie dobrze może dawać, jak zabierać. Nawet jego zapach był inny.

Nie wiedział, jak długo stoi, ale przyszła mu do głowy głupia, choć rozkoszna myśl, iż jest zwierzęciem wychodzącym z boru, zwabionym przez ogień. Był pokrytym futrem stworzeniem, o wodnistym oku, z nozdrzami i kopytami, rogami i krwią, która pachnie jak jesień, jeśli się ją rozleje na ziemi. Stał długi czas nasłuchując ciepłego trzaskania płomieni.

Wokół ognia zebrała się cisza i cisza malowała się na twarzach ludzi, i był w nich czas, dość czasu, by siedzieć przy tym rdzewiejącym torze pod drzewami, patrzeć na świat i obracać go przed oczyma, jak gdyby tkwił w środku ogniska — kawał stali, którą ci ludzie kuli. To nie tylko ogień był inny. To również cisza. Montag posunął się ku tej szczególnej ciszy, która obejmowała cały świat.

A potem rozległy się głosy i rozmowa, a on nie mógł usłyszeć nic, co głosy mówią, lecz ich dźwięk podnosił się i opadał spokojnie, a głosy obracały światem i patrzyły na niego; głosy znały kraj i drzewa, i miasto, które leży u końca toru za rzeką. Głosy mówiły o wszystkim, nie było niczego, o czym nie mogłyby mówić, wiedział to z samej intonacji, tempa i stałej nuty ciekawości i zdziwienia.

I wtedy jeden z ludzi podniósł głowę, i zobaczył go po raz pierwszy, a może po raz siódmy, i jakiś głos zawołał do Montaga:

— Już dobrze, może pan wyjść!

Montag cofnął się w cień.

— Wszystko w porządku — odezwał się głos. — Witamy pana.

Montag podszedł wolno do ognia i pięciu starych mężczyzn siedzących dokoła, ubranych w granatowe bawełniane spodnie i marynarki, i granatowe koszule. I nie wiedział, co do nich powiedzieć.

— Niech pan siada — zapraszał mężczyzna, który wyglądał na przywódcę tej grupy. — Może trochę kawy?

Patrzył, jak ciemny parujący płyn wlewa się do składanego blaszanego kubka, który mu z kolei wręczono. Pożądliwie chleptał napój i czuł, że mężczyźni przyglądają mu się z zaciekawieniem. Poparzył sobie usta, ale to nie przeszkadzało. Twarze mężczyzn były brodate, lecz brody wyglądały czysto i porządnie, a ręce też były czyste. Wstali jak gdyby na powitanie gościa, a potem usiedli znowu. Montag pił kawę.

— Dziękuję — powiedział. — Dziękuję bardzo.

— Miło nam pana powitać, Montag. Nazywam się Granger — mężczyzna wyciągnął małą buteleczkę bezbarwnego płynu. — Niech pan również i to wypije. To zmieni skład pańskiego potu. Za pół godziny będzie pan woniał jak dwóch innych ludzi. Skoro pies pana ściga, musi pan to wypić do dna.

Montag wypił gorzki płyn.

— Będzie pan śmierdział jak ryś, ale tak właśnie trzeba — rzekł Granger.

— Zna pan moje nazwisko — rzekł Montag.

Granger skinął głową w kierunku małego odbiornika telewizyjnego na baterię, stojącego przy ognisku. — Obserwowaliśmy pogoń. Przypuszczaliśmy, że pan skręci na południe w dół rzeki. Słyszeliśmy, że się pan tłucze po lesie jak pijany łoś, więc nie kryliśmy się, jak zazwyczaj. Przypuszczaliśmy, że znajduje się pan na rzece, gdy kamery telewizyjne zwróciły się znowu ku miastu. To dziwne. Obława trwa nadal. Tylko że w innym kierunku.

— W innym kierunku?

— Ano, popatrzmy.

Granger podniósł przenośny telewizor. Obraz był senną marą, skondensowaną, podawaną łatwo z ręki do ręki w lesie, pełną migoczących barw i lotu. Jakiś głos krzychał:

„Obława trwa w północnej części miasta! Helikoptery policyjne śledzą 87 Aleję i park Klonowego Gaju!”

Granger skinął głową. — Łżą. Zgubił ich pan przy rzece. Nie chcą się do tego przyznać. Wiedzą, że nie mogą zbyt długo przetrzymywać widzów. Pokaz powinien się skończyć szybko, błyskawicznym zakończeniem. Gdyby zaczęli przeszukiwać całą tę diabelną rzekę, mogłoby im to zająć całą noc. Więc węszą teraz za jakimś kozłem ofiarnym, by wszystko zakończyć z traskiem. Proszę uważać. Złapią Montaga w ciągu najbliższych pięciu minut!

— Ale jak...

— Proszę uważać.

Obiektów tkwiący w brzuchu helikoptera skierował się teraz na pustą ulicę.

— Widzi pan? — szepnął Granger. — To będzie pan: dokładnie na końcu tej ulicy znajduje się nasza ofiara. Widzi pan, jak kamera podchodzi? Rozbudowuje scenę. Wzrost napięcia. Długie ujęcie. Właśnie teraz jakiś biedak wyszedł na spacer. To się rzadko zdarza. Dziwak. Niech pan nie myśli, że policja nie zna obyczajów różnych dziwaków — takich ludzi, którzy spacerują nad ranem dla rozrywki albo z powodu bezsenności. W każdym bądź razie policja ma go w swej kartotece od miesięcy, może od lat. Nigdy nie wiadomo, kiedy tego rodzaju informacja może się okazać użyteczna. A dziś okazuje się, że jest naprawdę bardzo użyteczna. Pozwala na zachowanie twarzy. Ach, Boże, patrzcie!

Ludzie przy ognisku nachylili się. Na ekranie jakiś mężczyzna wychodził zza rogu. Mechaniczny pies nagle wyskoczył na ekran. Reflektory helikoptera strzeliły w dół jak dziesięć jaśniejących kolumn, budując klatkę wokół mężczyzny.

Jakiś głos krzyknął: — Oto Montag! Obława skończona!

Niewinny człowiek stał zdumiony, w ręku trzymał palący się papieros. Wpatrywał się w psa, nie wiedząc, co to jest. Prawdopodobnie nigdy nie wiedział. Zerknął na niebo jęczące głosem syren. Kamera popędziła w dół. Pies wyskoczył rytmicznie w powietrze z poczuciem tempa, które było niewiarygodnie piękne. Jego igła wystrzeliła. Przez chwilę trwała w zawieszeniu przed ich oczami, jak gdyby dając czas obszernej widowni, by mogła wszystko ocenić: zarys twarzy ofiary, pustą ulicę i stalowe zwierzę trafiające jak kula w tarczę.

„Nie ruszaj się, Montag!” — rozległ się głos z nieba.

Kamera spadła na ofiarę, podobnie jak i pies. Oboje dosięgli go jednocześnie. Ofiara została schwytana przez psa i kamerę w jeden potężny, pajęczy, śmiertelny uścisk. Człowiek wrzasnął. Wrzasnął. Wrzasnął!

Obraz zniknął.

Milczenie.

Ciemność.

Montag wykrzyknął w milczeniu i odwrócił się.

Milczenie.

A potem po pewnym czasie do mężczyzn siedzących wokół ogniska, bez żadnego wyrazu na twarzach, spiker na ciemnym ekranie powiedział: „Pościg skończony, Montag nie żyje. Zbrodnia przeciwko społeczeństwu została pomszczona”.

Ciemność.

„A teraz zapraszamy państwa do podniebnej sali w hotelu Lux na «Pół godziny tuż przed świtem». W programie...”

Granger wyłączył aparat.

— Nie pokazali dokładnie twarzy człowieka w soczewce. Zauważył pan? Nawet pańscy najlepsi przyjaciele nie mogliby powiedzieć, że to nie był pan. Wyeksponowali to tylko na tyle, by każdy mógł uzupełnić sobie fantazję. Cholera — szepnął. — Cholera.

Montag nie powiedział teraz nic, lecz siedział drżąc, z oczyma utkwionymi w czarnym ekranie.

Granger dotknął jego ramienia. — Witamy po zmartwychwstaniu. — Montag skinął głową. Granger kontynuował: — Powinien się pan teraz zapoznać z nami wszystkimi. To jest Fred Clement, były profesor katedry Thomasa Hardy’ego w Cambridge, przedtem nim uniwersytet przekształcono w Szkołę Inżynierii Atomowej. A oto doktor Simmons z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles, specjalista od Ortegi y Gasset. Profesor West miał niezłe osiągnięcia na polu etyki — obecnie całkowicie zapomnianej dyscypliny — na Uniwersytecie Columbia. Ksiądz Padover przed jakimś trzydziestu laty wygłaszał trochę odczytów i ze względu na zapatrywania stracił swe stadko między jedną niedzielą a drugą. Od pewnego czasu włączy się razem z nami. Jeśli chodzi o mnie, to napisałem książkę pod tytułem „Palce i rękawiczka — właściwy stosunek między jednostką a społeczeństwem” i oto gdzie jestem! Witam pana, Montag!

— Ja nie należę do was — powoli odezwał się Montag. — Zawsze byłem idiotą.

— Jesteśmy do tego przyzwyczajeni. My wszyscy popełniliśmy słuszne omyłki, inaczej nie znaleźlibyśmy się tutaj. Kiedy byliśmy poszczególnymi jednostkami, pozostawała nam tylko wściekłość. Uderzyłem strażaka, który przed laty przyszedł spalić moją bibliotekę. Od tego czasu jestem zbiegiem. Chce się pan do nas przyłączyć, Montag?

— Tak.

— A co pan ma do ofiarowania?

— Nic. Myślałem, że mam część księgi Eklezjasty i może trochę Objawienia, ale nawet tego teraz nie mam.

— Eklezjasta byłby doskonały. Gdzie była ta książka?

— Tu — Montag dotknął swego czoła;

— Ach — Granger uśmiechnął się i skinął głową.

— Coś niedobrze? Czy to niewłaściwe? — powiedział Montag.

— Lepiej niż właściwe — doskonałe! — Granger zwrócił się do Księdza. — Czy mamy księgę Eklezjasty?

— Jedną. Niejaki Harris w Youngstown.

— Montag. — Granger mocno potrząsnął ramieniem Montaga. — Niech pan chodzi ostrożnie. Niech pan dba o swe zdrowie. Gdyby coś miało się stać Harrisowi, pan jest księgą Eklezjasty. Widzi pan, jak ważny się pan stał w ostatniej minucie!

— Ale zapomniałem!

— Nie, nic nigdy nie ginie. Mamy sposoby, by trochę potrząsnąć pana pamięcią.

— Ale próbowałem sobie przypomnieć!

— Nie trzeba. Przyjdzie samo, kiedy będziemy potrzebowali. Wszyscy mamy fotograficzną pamięć, ale spędziliśmy życie ucząc się, jak zablokować rzeczy, które istotnie w niej tkwią. Tu obecny Simmons pracował nad tym zagadnieniem przez dwadzieścia lat i teraz opracowaliśmy metodę, dzięki której możemy przypomnieć wszystko, cokolwiek kiedyś czytaliśmy. Czy chciałby pan któregoś dnia przeczytać na przykład „Rzeczpospolitą” Platona?

— Oczywiście!

— Jestem „Rzeczpospolitą” Platona. Chce pan przeczytać Marka Aureliusza? Pan Simmons jest Markiem.

— Cześć! — odezwał się Simmons.

— Cześć — powiedział Montag.

— Chciałbym panu przedstawić Jonathana Swifta, autora tej złośliwej książki politycznej pt. „Podróże Guliwera”! A ten tu kolega to Karol Darwin, ten to Schopenhauer, a tamten jest Einsteinem, a ten tu obok mnie to pan Albert Schweitzer, naprawdę bardzo miły filozof. My jesteśmy wszystkimi, Montag. Arystofanesem i Mahatmą Gandhim, i Budda, Konfucjuszem, Thomasem Love Peacockiem, Thomasem Jeffersonem i Lincolnem do wyboru. Jesteśmy również Mateuszem, Markiem, Łukaszem i Janem.

Wszyscy śmieli się cicho.

— To niemożliwe — powiedział Montag.

— To fakt — odpowiedział uśmiechając się Granger. — My również palimy książki. Czytamy książki i palimy je, bojąc się, by ich nie znaleziono. Mikrofilmy nie opłacają się: zawsze podróżujemy i nie chcemy zakopywać filmów i potem wracać w tamto miejsce. Zawsze istnieje możliwość wykrycia. Lepiej trzymać to wszystko w naszych starych głowach, gdzie nikt nie może tego widzieć ani podejrzewać. Jesteśmy mieszanką historii, literatury i prawa międzynarodowego, wszystko tu mamy: Byrona, Toma Paine, Machiavellego i Chrystusa. Pora jest późna. Wojna się rozpoczęła. My jesteśmy tutaj, miasto tam, całe zakutane w swój płaszcz o tysiącu barw. Co myślisz, Montag?

— Myślę, że byłem ślepy próbując na swój sposób podchodzić do rzeczy, podrzucając książki w domach strażaków i wszczynając alarmy.

— Robił pan to, co mógł. W skali krajowej to mogłoby dać bardzo ładne wyniki. Ale sądzimy, że nasz sposób jest prostszy i lepszy. Chcemy tylko zachowywać wiedzę, która, jak się zdaje, będzie nam potrzebna, nietkniętą i bezpieczną. Na razie nie chcemy nikogo podniecać ani gniewać. Albowiem, jeśli my zostaniemy zniszczeni, nasza wiedza umrze, być może na zawsze. Jesteśmy przykładnymi obywatelami na swój sposób: wędrujemy po starych traktach, wylegujemy się nocą na pagórkach, a ludzie z miast pozostawiają nas w spokoju. Od czasu do czasu zdarza się, że nas zatrzymają i rewidują, lecz nie znajdują przy nas nic, co by nas oskarżało. Organizacja nasza jest giętka, bardzo luźna i fragmentaryczna. Niektórzy przeprowadzili sobie operacje plastyczne twarzy i palców. Oczekuje nas straszliwa robota: czekamy, aż wojna się zacznie i równie szybko skończy. To nie jest przyjemne, lecz przecież nie mamy władzy, jesteśmy dziwaczną mniejszością wołającą na puszczy. Kiedy wojna się skończy, może się jakoś potrafimy przydać na świecie.

— Myślicie, że wtedy będą was słuchać?

— Jeśli nie, będziemy musieli po prostu czekać dalej. Będziemy przekazywać ustnie książki naszym dzieciom, a im każemy z kolei przekazywać je innym ludziom. Oczywiście w ten sposób wiele zostanie stracone. Ale ludzi nie można zmusić do słuchania. Powinni przyjść sami we właściwym czasie, dziwiąc się, co się stało i dlaczego świat eksplodował pod nimi, To nie może trwać wiecznie.

— Ilu was jest?

— Tysiące na drogach i porzuconych torach kolejowych; włóczędzy z zewnątrz, biblioteki wewnątrz. Początkowo wcale tego nie planowaliśmy. Każdy człowiek miał książkę, którą chciał pamiętać i istotnie pamiętał. Potem po mniej więcej dwudziestu latach, spotykając się w naszych wędrowkach, stworzyliśmy luźną siatkę i opracowaliśmy plan. Przede wszystkim musieliśmy sobie wpoić prostą zasadę, że my nie jesteśmy ważni, że nie wolno nam siebie przeceniać; nie powinniśmy się czuć wyższymi niż ktokol-

wiek inny na świecie. Nie jesteśmy niczym więcej niż obwolutami książek, i tyle tylko znaczymy. Niektórzy z nas żyją w małych miasteczkach. Rozdział pierwszy „Waldena” Thoreau w Green River, rozdział drugi w Willow Farm w stanie Maine. Istnieje nawet wioska w Maryland, zaledwie o dwudziestu siedmiu mieszkańcach, co nigdy nie będzie tknięta przez bombardowanie, która jest kompletnym wydaniem esejów niejakiego Bertranda Russella. Można by tę wioskę niemal wziąć do ręki i przerzucać kartki — tyle a tyle kartek na każdego mieszkańca. Kiedy wojna się skończy któregoś dnia, któregoś roku, książki będzie można napisać na nowo, będzie się wzywać ludzi jednego po drugim, by recytowali, co wiedzą, i wszystko zostanie utrwalone w druku aż do następnego ciemnego wieku, kiedy to wszystko trzeba będzie zacząć na nowo. Ale w człowieku istnieje coś cudownego: nigdy nie można go tak zastraszyć ani zniechęcić, by zrezygnował z budowania wszystkiego na nowo, ponieważ wie, że jest to bardzo ważne i godne budowania.

— A co będziemy robili dzisiaj? — zapytał Montag.

— Będziemy czekali — powiedział Granger. — I na wszelki wypadek pójdziemy troszeczkę z prądem rzeki.

Zaczął zasypywać ognisko piaskiem.

Inni mu pomagali i Montag pomagał, i w tym pustkowiu wszyscy mężczyźni poruszali rękami gasząc razem ogień.

Stali nad rzeką w świetle gwiazd.

Montag patrzył na połyskującą tarczę swego wodoszczelnego zegarka. Piąta. Piąta rano. Nowy rok nastąpił w ciągu jednej godziny, a brzask czekał za odległym brzegiem rzeki.

— Dlaczego mi wierzycie? — zapytał Montag.

Jakiś mężczyzna poruszył się w ciemności.

— Wystarczy na pana spojrzeć. Nie widział się pan ostatnio w lustrze. Poza tym miasto nigdy na tyle o nas nie dbało, by podjąć tego rodzaju zorganizowany pościg, aby nas znaleźć. Paru maniaków o głowach napełnionych wierszami nie może im zaszkodzić. Wiedzą o tym, my o tym wiemy, wszyscy wiedzą. Póki znaczna część ludności nie wędruje cytując Magna Charta i Konstytucję, wszystko jest w porządku. Wystarczą strażacy, by interweniować od czasu do czasu. Nie, miasta nie troszczą się o nas. A pan wygląda odpowiednio.

Szli brzegiem rzeki na południe. Montag usiłował ujrzeć twarze ludzi, stare twarze, które zapamiętał przy świetle ogniska, pomarszczone i zmęczone. Doszukiwał się światłości, odwagi, triumfu nad jutrem, których nie można było tu dojrzeć. Może oczekiwał, że ich twarze będą płonęły i jaśniały wiedzą, którą ci ludzie w sobie noszą, będą żarzyły się jak latarnie wewnętrznym światłem. Ale całe światło pochodziło od ognia, a ci lu-

dzie nie wyglądali inaczej niż wszyscy inni, którzy przebiegli długą przestrzeń, znaleźli odpowiednią kryjówkę, widzieli, jak się niszczy dobre rzeczy, zaś teraz, bardzo późno, zebrali się, by czekać na zakończenie zabawy i zgaszenie świateł. Nie byli wcale pewni, czy rzeczy, które nosili w swoich głowach, przyczynią się, by każda przyszła jutrzienka zabłysła jaśniejszym światłem, nie byli pewni niczego poza tym, iż książki stały szeregiem za ich spokojnymi oczyma, książki czekały z nie rozciętymi stronicami na czytelników, którzy mogą przybyć w późniejszych latach, jedni z czystymi, a drudzy z brudnymi palcami.

Montag zerkał to na jedną twarz, to na drugą, kiedy szli razem.

— Nie należy sądzić książki po obwołucie — powiedział ktoś.

I wszyscy zaśmieli się cicho, idąc w dół rzeki.

Rozległo się wycie i odrzutowce z miasta przeleciały nad głowami na długo przedtem, nim mężczyźni zdążyli spojrzeć do góry. Montag wpatrywał się w miasto, daleko za rzeką, wyglądające teraz tylko jak lekka świetlista mgiełka.

— Moja żona tam została.

— To bardzo przykre. W ciągu najbliższych paru dni w miastach nie będzie bezpiecznie — powiedział Granger.

— To dziwne, wcale mi jej nie brak, to dziwne, że nic właściwie nie odczuwam — powiedział Montag. — Chwilę temu uświadomiłem sobie, że gdyby nawet umarła, nie byłoby mi jej naprawdę żal. To niedobrze. Coś musi być ze mną nie w porządku.

— Niech pan słucha — powiedział Granger ujmując go pod ramię i przytrzymując krzaki, by umożliwić mu przejście. — Kiedy byłem chłopcem, umarł mi dziadek. Był rzeźbiarzem. Był również bardzo dobrym człowiekiem, który miał w sobie ogromnie dużo miłości do ludzi i przyczynił się do budowy nowych domów w miejsce starych ruder w naszym mieście. Zawsze robił dla nas zabawki i w ciągu swego życia wykonał milion różnych rzeczy — jego ręce zawsze były czymś zajęte. A kiedy umarł, nagle uświadomiłem sobie, że nie płaczę po nim, lecz po rzeczach, które robił. Płakałem, ponieważ nie będzie ich robił nigdy więcej, nigdy nie wyrzeźbi nowego kawałka drzewa, nie pomoże nam hodować gołębi na podwórku, nie zagra na skrzypcach ani nie będzie nam opowiadał żarcików. Był częścią nas, a kiedy umarł, wszystkie jego czynności zamarły i nie było nikogo, kto by je mógł wykonywać dokładnie w ten sam sposób co on. On był indywidualnością. Był ważnym człowiekiem. Nigdy nie zapomniałem o jego śmierci. Często myślę, jak cudowne rzeźby się nie narodziły dlatego, że on umarł. Ileż dowcipu braknie światu i ile gołębi pocztowych nie tkniętych jego rękami. On kształtował świat. Pracował dla świata. Świat został pozbawiony dziesięciu milionów subtelnych czynności tej samej nocy, kiedy jego zabrakło.

Montag szedł w milczeniu.

— Millie, Millie — szeptał. — Millie.

— Co?

— Moja żona, moja żona. Biedna Millie, biedna, biedna Millie. Nie mogę sobie nic przypomnieć. Myślę o jej rękach, ale nie widzę, żeby w ogóle cokolwiek robiły. Tylko zwisają jej po bokach albo leżą na kolanach lub tkwi w nich papieros, i to wszystko.

Montag odwrócił się i spojrzał do tyłu.

Co dałeś miastu, Montag?

Popioły.

Co inni jego mieszkańcy dawali sobie nawzajem?

Nicość.

Granger stał patrząc w tym samym kierunku co Montag.

— Każdy musi — mówił — zostawić coś po sobie, kiedy umrze. Tak powiadał mój dziadek. Dziecko, książkę, obraz, dom czy płot, czy choćby parę sporządzonych przez siebie butów. Czy uprawiony ogród. Coś, czego jego ręka dotknęła w jakiś sposób, tak że dusza ma dokąd iść po jego śmierci, a kiedy ludzie patrzą na to drzewo czy ten kwiat, który on zasadził, wtedy on tam jest. Mówił, że nie ma znaczenia, co człowiek robi, póki coś zmienia i zostawia na tym swój ślad. Różnica między człowiekiem, który tylko strzyże trawniki, a prawdziwym ogrodnikiem polega na dotyku, jak powiadał. Strzygącego trawę zupełnie jak by w ogóle nie było, ogrodnik pozostaje tam przez całe pokolenia.

Granger poruszył dłonią. — Ongiś, pięćdziesiąt lat temu, mój dziadek pokazywał mi parę filmów z rakietami V-2. Czy widział pan kiedykolwiek grzyb bomby atomowej z odległości dwustu mil? Wygląda jak łepiek od szpilki, jest niczym. Wśród całego spuszczenia, które go otacza.

Mój dziadek puszczał film o V-2 dziesiątki razy i miał nadzieję, że któregoś dnia nasze miasta otworzą się i wpuszczą naturę i dzikość w obręb swych murów, by przypomnieć ludziom, że zajmujemy małą przestrzeń na ziemi i że żyjemy wśród tej dzikości, która może zabrać to, co nam dała, równie łatwo, jak by na nas dmuchnęła, czy wysłać morze, by pokazało nam, że nie jesteśmy tacy wielcy. Kiedy wśród nocy zapominamy, jak blisko otacza nas dzikość, powiadał mój dziadek, któregoś dnia ona wejdzie i chwyci nas, gdyż zapomnieliśmy, jak może być straszliwa i realna. Widzi pan? — Granger zwrócił się ku Montagowi. — Dziadek umarł przed tylu laty, ale gdyby pan otworzył moją czaszkę, na Boga, jestem pewny, w zwojach mego mózgu znalazłby pan grube odciski jego kciuka. On mnie modelował. Jak już mówiłem, był rzeźbiarzem. „Nienawidzę pewnego Rzymianina o nazwisku Status Quo! — mówił do mnie. — Napęlniaj oczy cudami — mówił — żyj tak, jak byś miał paść trupem za dziesięć sekund. Oglądaj świat. Jest bardziej fantastyczny niż jakiekolwiek marzenie sporządzone czy opłacane w fabrykach. Nie pytaj o gwarancję, nie pytaj o bezpieczeństwo, gdyż nigdy nie było takiego zwierza. A gdyby istniał, byłby spokrewniony z tym wielkim leniwcem, który wisi na drzewie uczepiony łapami, głową w dół, codziennie przez cały dzień, przesypiając życie. Do diabła z tym — mówił — potrząśnij drzewem i zwał wielkiego leniwca”.

— Patrz! — krzyknął Montag.

I wojna zaczęła się, i skończyła w owej minucie.

Później ludzie, którzy otaczali Montaga, nie mogli powiedzieć, czy naprawdę cokolwiek widzieli. Może jedynie najdrobniejszy błysk światła i ruchu na niebie. Może bomby były już tu, a odrzutowce dziesięć mil, pięć mil, jedną milę nad nimi, przez najdrobniejszą chwilę, jak ziarno sypnięte po niebie dłonią wielkiego siewcy, a bomby spadały z przerażającą szybkością, ale i gwałtowną powolnością w dół na poranne miasto, które odrzutowce zostawiły za sobą. Właściwie bombardowanie było całkowicie skończone, w chwili gdy odrzutowce dostrzegły swój cel i nastawiły celowniki na pięć tysięcy mil na godzinę. Wojna się skończyła równie szybko jak błysk kosy. Gdy tylko otwarto wyrzutniki, było już po wszystkim. Zanim bomby uderzyły, przez trzy pełne sekundy z całego czasu historii, samoloty nieprzyjacielskie przebyły już połowę widzialnego świata, jak kule karabinowe, w które dziki wyspiarz może nie wierzyć, ponieważ są niewidoczne; jednak serce zostaje nagle rozszarpane, ciało pada na ziemię w nieskoordynowanych ruchach, krew ze zdumieniem stwierdza, że jest na wolnym powietrzu, mózg trwoni kilka swych cennych kosztownych wspomnień i zdumiony umiera.

To było niewiarygodne. To był jedynie gest. Montag ujrzał zamach wielkiej metalowej pięści nad odległym miastem i wiedział, że wycie odrzutowców, które teraz nastąpi, będzie mówiło po dokonanym czynie: „Rozpadnij się, nie zostaw kamienia na kamieniu, zgiń. Umrzyj”.

Montag wstrzymywał przez chwilę swym sercem i wyciągającymi się bezradnie dłońmi bomby na niebie. — Uciekaj! — krzyczał do Fabera. — Uciekaj! — wzywał Klarysę. — Uciekaj, uciekaj stamtąd! — wołał do Mildred. Lecz przypomniał sobie, że Klarysa nie żyje. A Faber wyjechał. Gdzieś w głębokich wiejskich wąwozach autobus był w drodze między jedną ruiną a drugą. Chociaż spustoszenie jeszcze nie nastąpiło, znajdowało się jeszcze w powietrzu, było już tak pewne, jak tylko można. Nim autobus ujedzie dalsze pięćdziesiąt jardów po autostradzie, stacja końcowa będzie bez znaczenia, a stacja wyjazdowa zmieni się z metropolii w kupę złomu.

A Mildred...

Uciekaj stamtąd, uciekaj!

Widział ją w jakimś hotelowym pokoju w ostatniej połowie sekundy jej pozostajej, a bomby o jeden jard, stopę, cal nad budynkiem. Widział ją, jak się pochyła ku wielkim połyskującym ścianom barwy i ruchu, gdzie „rodzinka” mówi, mówi, mówi do niej, gdzie „rodzinka” bełkocze i szczebiocze, wypowiada jej imię i uśmiecha się do niej, nie wspominając nic, że bomba znajduje się o cal, o pół cala, teraz o jedną czwartą cala nad dachem hotelu. Pochylając się ku ścianie, jak gdyby cały ten głód patrzenia miał znaleźć tam sekret jej bezsennego niepokoju. Mildred pochylając się nerwowo, niespokojnie, jak gdyby chciała zanurzyć się, wskoczyć, wpaść w to migotliwe nasilenie barwy, by utopić się w jej jasnej szczęśliwości.

Pierwsza bomba uderzyła.

— Mildred!

Może, kto wie? Może wielkie stacje nadawcze z ich promieniami koloru, światła, mowy i szczebiotu pierwsze uległy zniszczeniu?

Padając płasko Montag widział czy czuł albo wyobrażał sobie, że czuje czy widzi, jak ściany ciemnieją w obliczu Mildred, usłyszał jej krzyk, ponieważ w milionowej pozostałej jeszcze części sekundy ujrzała własną twarz odbitą tam w lustrze zamiast kryształowej kuli, a była to tak straszliwie pusta twarz, twarz samotna, w pokoju, nie poruszająca niczego, wygłodzona i pochłaniająca samą siebie, że ostatecznie rozpoznała ją jako swoją własną i zerknęła szybko ku sufitowi, gdy sufit i cała konstrukcja hotelu runęły na nią przygniatając milionem funtów cegły, metalu, tynku i drzewa i porywając ją z sobą, by przytłoczyć innych ludzi w rojowiskach na dole, w szybkiej drodze do piwnicy, gdzie eksplozja pozbyła się ich na swój szaleńczy sposób.

Pamiętam... Montag przyciskał się do ziemi. Pamiętam. Chicago. Chicago dawno temu. Millie i ja. To tam się spotkaliśmy! Pamiętam teraz. Chicago. Dawno temu.

Wybuch uderzył powietrze nad rzeką, rzucił ludźmi jak kostkami domina, wzbili tryskające fontanny na wodzie, dmuchnął chmurą kurzu i zagrał żałobnie na drzewach wielkim wiatrem płynącym ku południowi. Montag skulił się, skurczył, zaciskając oczy. Raz zerknął. I w tym momencie zamiast bomb ujrzał w powietrzu miasto. Miasto i bomby zamieniły się miejscami. Przez jedną z tych nieprawdopodobnych chwil miasto stało odbudowane i nierozpoznawalne, wyższe niż kiedykolwiek, wyższe niż człowiek je zbudował, przekształcone ostatecznie we fresk z drobin zmiażdżonego betonu i iskier rozszarpanego metalu, wisiało jak odwrócona lawina w milionie barw, w milionie dziwacznych szczegółów, drzwi tam, gdzie powinno być okno, sufit zamiast podłogi, boczna ściana zamiast tylnej. A potem miasto przewinęło się i runęło w dół martwe.

Dźwięk jego śmierci rozległ się później.

Montag leżał z zasypianymi pyłem oczami, mokry cement drobnego pyłu sklejał jego teraz zamknięte usta. Chwytał powietrze i krzyczał lub myślał znowu: pamiętam, pamiętam, pamiętam jeszcze coś innego. Co to jest? Tak, tak, część Eklezjasty i Objawienia. Część tej książki, jej część, szybko teraz, szybko, zanim ucieknie, zanim wstrząs przeminie, zanim wiatr zamrze. Księga Eklezjasty. Mam. Powtarzał ją sobie milcząco, leżąc płasko na drżącej ziemi, powtarzał wielokrotnie jej słowa i były wierne bez żadnego wysiłku i nigdzie nie było w nich pasty do zębów Denhama, a tylko sam prorok, stojący w jego duszy, patrzący na niego...

— Koniec — powiedział jakiś głos.

Mężczyźni leżeli dysząc jak ryby wyrzucone na trawę. Trzymali się ziemi, jak dzieci ściskają znane im przedmioty, obojętne jak chłodne czy martwe, obojętne, co się sta-

ło albo stanie, ich palce zaciskały się kurczowo w błocie, wszyscy krzyczeli, by zapobiec pęknięciu bębenków usznych, by ocalić zdrowy rozsądek, otwierali usta, a Montag krzyczał wraz z nimi, wznosząc protest przeciwko wiatrowi, który szarpał ich twarze, szczypał usta, rozkrwawiał nosy.

Montag patrzył, jak wielka kurzawa opada i wielka cisza zalega nad światem. I gdy tak leżał, zdawało mu się, że widzi każde poszczególne źdźbło pyłu i każde źdźbło trawy, słyszy każdy krzyk i głos, i westchnienie wzbijające się teraz nad światem. Cisza opadała wraz z opadającym pyłem i z całym wytchnieniem, którego będą potrzebowali, by pojąć zmysłami rzeczywistość tego dnia.

Montag patrzył na rzekę. Pójdziemy brzegiem rzeki. Popatrz na stare tory. Albo pójdziemy tamtędy. Lub pójdziemy teraz po autostradach i będziemy mieli czas, by wszystko w siebie wchłonąć. A pewnego dnia, gdy wszystko się już w nas odpowiednio ułoży, spłynie potem z naszych rąk i ust. I niejedno będzie złe, ale wystarczająco dużo będzie słusznego. Zaczniemy dziś naszą drogę i zobaczymy świat i sposób, w jaki świat się porusza i mówi, jak naprawdę wygląda. Chcę teraz widzieć wszystko. A chociaż nic z tego nie będzie mną, gdy we mnie wejdzie, po pewnym czasie zbierze się wewnątrz i stanie się mną. Popatrz na świat dokoła, Boże, mój Boże, popatrz na świat dokoła, poza mną, przede mną — jedyny sposób, by go naprawdę dotknąć, to włożyć go tam, gdzie będzie ostatecznie mną, gdzie będzie we krwi, gdzie krąży dokoła, tysiąc razy, dziesięć tysięcy razy w ciągu dnia. Zatrzymam go, tak że nigdy nie ucieknie. Pewnego dnia będę mocno trzymał świat. Teraz dotknąłem go tylko jednym palcem. To dopiero początek.

Wiatr zamarł.

Inni ludzie leżeli przez pewien czas na krawędziach snu, jeszcze nie gotowi do powstania i rozpoczęcia czynności dnia, jego ogni i pokarmów, jego tysiącznych szczegółów, przesuwania stopy za stopą i ręki za ręką. Leżeli zerkając spod zakurzonych powiek. Można ich było słyszeć, jak oddychali szybko, potem wolniej i wolniej...

Montag usiadł.

Jednak nie ruszył się dalej. Inni czynili podobnie. Słońce dotykało czarnego horyzontu delikatnym czerwonym dotknięciem. Powietrze było chłodne i pachniało nadchodzącym deszczem.

W milczeniu Granger wstał, klnąc bez ustanku pod nosem, spróbował, jak mu działają ręce i nogi, a po twarzy ciekły mu łzy. Powłócząc nogami ruszył ku rzece, by popatrzyć w górę.

— Ruina — powiedział po długiej chwili. — Miasto wygląda jak kupa proszku do pieczenia. Koniec.

Po długiej przerwie dorzucił:

— Zastanawiam się, ilu wiedziało, że to nadchodzi? Ciekawe, ilu było zaskoczonych?

A w całym świecie, myślał Montag, ile innych miast jest martwych? A tu, w naszym kraju, ile? Sto, tysiąc?

Ktoś zapalił zapałkę, przytknął ją do kawałka wyjętego z kieszeni papieru i wsadził to pod kupkę trawy i liści, a po pewnej chwili dorzucił parę patyczków, które były mokre i trzeszczały, ale potem zajęły się i ogień zapłonął większym płomieniem we wczesnym poranku, gdy słońce weszło, a ludzie wreszcie odwrócili głowy od rzeki i ściągnęli do ognia, niezgrabnie, nie mając nic do powiedzenia, zaś słońce zabarwiło ich głowy, gdy się schylali.

Granger rozwinął pergamin z kawałkiem boczką.

— Przekąsimy coś niecoś. Potem pójdziemy w górę rzeki. Mogą nas potrzebować.

Ktoś wyciągnął małą patelnię, położono na nią boczek i postawiono na ogniu. Po pewnej chwili boczek zaczął syczeć i podskakiwać na patelni, a jego trzaskanie wypełniło aromatem poranne powietrze. Ludzie w milczeniu przyglądali się temu rytuałowi.

Granger popatrzył na ogień. — Feniks — rzekł.

— Co?

— Niegdyś, dawno przed Chrystusem, był taki diabelnie głupi ptak zwany feniksem. Co paręset lat budował sobie stos pogrzebowy i spalał się na nim. Musiał być bliskim krewnym człowieka. Lecz za każdym razem po tym spaleniu powstawał z popiołów, odrodzony całkowicie na nowo. I wydaje się, że my robimy to samo, stale od nowa, lecz mamy jedną cechę, której feniks nigdy nie posiadał. My wiemy, co za cholerne głupstwo właśnie popełniliśmy. Znamy wszystkie cholerne głupstwa, które popełniliśmy przez tysiące lat i ponieważ to wiemy i zawsze mamy to przed oczyma, któregoś dnia przestaniemy wznosić te przeklęte stosy pogrzebowe i wskakiwać na nie. W każdym pokoleniu zbieramy coraz więcej ludzi, którzy pamiętają.

Zdjął patelnię z ognia, poczekał, aż boczek ostygnie, a potem jedli go w zamyśleniu.

— No, a teraz chodźmy — rzekł Granger. — I pamiętajcie: wy nie jesteście ważni. Nie jesteście niczym. Któregoś dnia ładunek, jaki nosimy, może komuś pomóc. Ale nawet, kiedy bardzo dawno temu mieliśmy książki w ręku, nie wykorzystywaliśmy tego, czego się z nich dowiedzieliśmy. Wciąż obrażaliśmy umarłych. Wciąż pluliśmy na groby wszystkich biedaków, którzy umarli przed nami. W następnym tygodniu, miesiącu czy roku spotkamy wielu samotnych ludzi. A kiedy spytają nas, co robimy, możecie powiedzieć: pamiętamy. Oto gdzie znajduje się nasze zwycięstwo na dłuższą metę. A któregoś dnia będziemy pamiętać tak wiele, że zbudujemy największą koparkę parową w historii, wykopimy największy grób wszystkich czasów, wrzucimy doń wojnę i zasypimy. Chodźcie więc. Najpierw zbudujemy fabrykę luster, a przez następny rok nie będziemy produkowali nic poza lustrami, i będziemy długo się w nich przeglądać.

Skończyli jedzenie i zagasili ogień. Dzień rozjaśniał się dokoła, jak by ktoś podkręcił knot w różowej lampie. Na drzewach posiadały z powrotem ptaki, które przedtem uciekły.

Montag zaczął iść i po chwili spostrzegł, że inni idą za nim kierując się na północ. Był zaskoczony i odsunął się na bok, by pozwolić Grangerowi wyjść naprzód, lecz Granger popatrzył na niego i skinął głową. Montag szedł pierwszy. Patrzył na rzekę i niebo, i rdzewiejące tory prowadzące daleko, tam, gdzie leżą farmy, gdzie stoją stodoły pełne siana, gdzie mnóstwo ludzi szło nocą wracając z miasta. Później, po miesiącu czy sześciu miesiącach, ale z pewnością nie dalej niż po roku, będzie znów szedł tędy samotnie, będzie szedł bez przerwy, póki nie zrówna się z ludźmi.

Ale teraz był przed nim długi poranny spacer aż do południa, a mężczyźni jeśli milczeli, to tylko dlatego, że było mnóstwo do myślenia i dużo do zapamiętania. Może później, kiedy słońce wzejdzie wyżej i ogrzeje ich, zaczną rozmowę albo po prostu będą mówić te rzeczy, które pamiętali, by się upewnić, że jeszcze są, by mieć absolutną pewność, że tkwią w nich bezpieczne. Montag czuł powolny ruch słów, powolne brzęczenie. A kiedy nastąpi jego kolejka, co może powiedzieć, co może ofiarować podczas podobnego dnia, by nieco ułatwić drogę? Wszystkie rzeczy mają swój czas. Tak. Jest czas rozwalania i czas budowania. Tak. Czas milczenia i czas mówienia. Tak, wszystko to. Ale co jeszcze. Co jeszcze? Coś, coś... „i z obu stron rzeki drzewo żywota, rodzące owoców dwanaście, na każdy miesiąc podając owoc swój, a liście drzewa ku zdrowiu narodów”. Tak, myślał Montag, to zostawię na południe. Na południe...

Kiedy dojdziemy do miasta.

SPIS TREŚCI

Część pierwsza	3
Ognisko i salamandra	
Część druga	47
Sito i piasek	
Część trzecia	76
Jasny płomień	